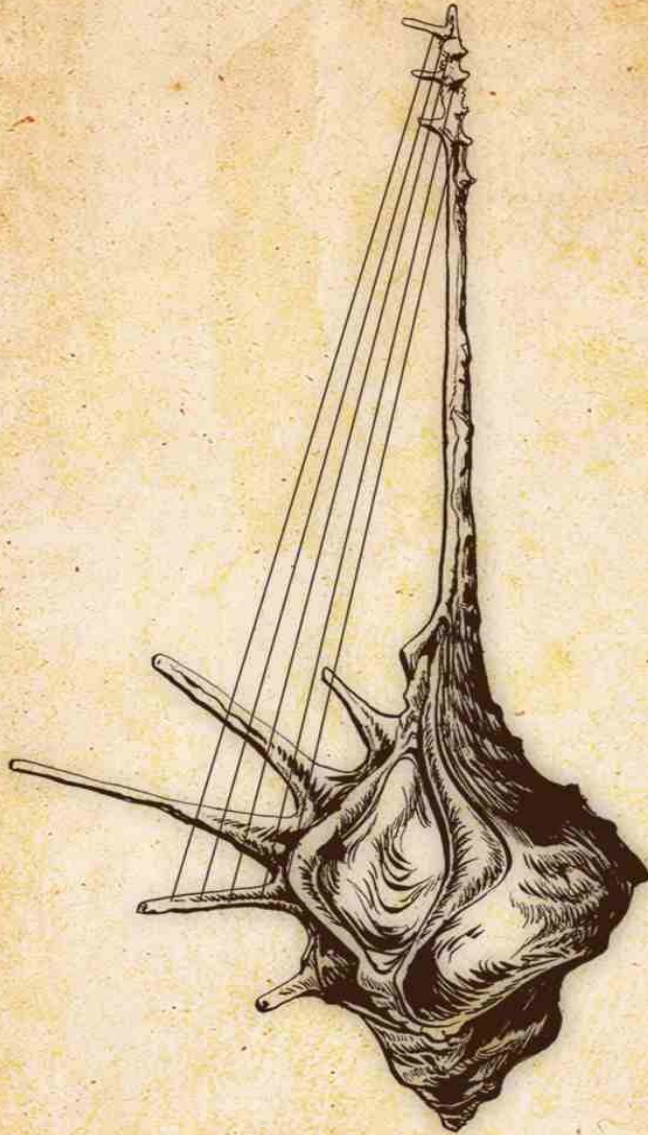


ANNA BORKOWSKA

Gar Ingawi

WYSPA SZCZĘŚLIWA



·T·O·M·

·I·

OCZEKIWANIE

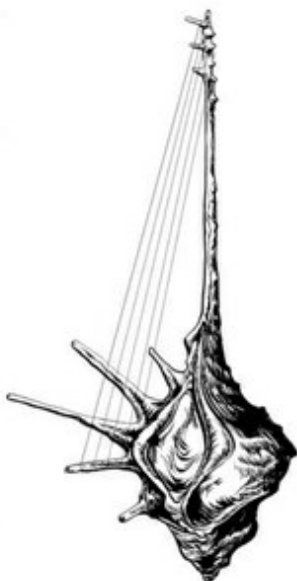
nie adarzą aż do Powrocie Nie, nie nowego nie adarzą aż do Powrocie Nie, nie nowego nie adarzą aż do Powrocie

nie adarzą aż do Powrocie Nie, nie nowego nie adarzą aż do Powrocie Nie, nie nowego nie adarzą aż do Powrocie

ANNA BORKOWSKA

Gar Ingawi

WYSPA SZCZĘŚLIWA



·T·O·M·
·I·
OCZEKIWANIE

WYDAWNICTWO

ZONA ZERO

Okladka, grafika na okładce i portret Autorki

Monika Lipiec

Redakcja

Martyna Posłuszna

Dyrektor projektów wydawniczych

Maciej Marchewicz

Skład i łamanie

Point Plus

ISBN 978-83-947599-0-2

Copyright © by Anna Borkowska

© Copyright for Zona Zero Sp. z o.o., Warszawa 2017

Wydawca

Zona Zero Sp. z o.o.

ul. Łopuszańska 32

02-220 Warszawa

Tel. 22 836 54 44, 877 37 35

Faks 22 877 37 34

e-mail: wydawnictwo@zonazero.pl

Skład wersji elektronicznej

Marcin Kapusta

virtualo

konwersja.virtualo.pl

SPIS TREŚCI

Rozdział pierwszy. Wyspa szczęśliwa

Rozdział drugi. Pogrzeb Taguna

Rozdział trzeci. Książę ludu

Rozdział czwarty. Wygnańcy

Rozdział piąty. Barwy i skrzydła

Rozdział szósty. Wyprawa do Skał Łowcy

Rozdział siódmy. Dżauri naucza

Rozdział ósmy. Na pustym placu

Rozdział dziewiąty. Słowo dane samemu sobie

Rozdział dziesiąty. Brzoza

Rozdział jedenasty. Prafo potrójnej fali

Rozdział dwunasty. Okrężna droga

Rozdział trzynasty. Nahidene

Rozdział czternasty. Nauka rzemiosła

Rozdział piętnasty. Los Delfina

Rozdział szesnasty. Skarga zawieszona

Rozdział siedemnasty. Bardowie

Rozdział osiemnasty. Dwaj przewodnicy

Rozdział dziewiętnasty. Wątpliwości

Rozdział dwudziesty. W pieczarach

Rozdział dwudziesty pierwszy. Pewność

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wyspa szczęśliwa

Na Wyspie Szczęśliwej nikt się niczemu zanadto nie dziwił: na tym między innymi polegało szczęście. Stara pieśń, pochodząca podobno z czasów – może legendarnych – sprzed osiedlenia się Ludu na Wyspie, mówiła:

*Nic się nie zdarzy
aż do Powrotu
Nic się nowego nie zdarzy
aż do Powrotu
Nic godnego uwagi
aż do Powrotu*

Nie dziwiono się więc niczemu, nawet istnieniu nieszczęśliwych. Szczęście było tylko formą czekania, przypuszczalnie najznośniejszą, ale na pewno nie jedyną. Jeżeli ktoś wybierał inną, była to tylko jego sprawa i czasem także (w zależności od rodzaju nieszczęścia) jego najbliższego otoczenia; ale w każdym razie nic dziwnego. Trochę trudniej, jeżeli ktoś nie wybierał żadnej; ale ponieważ to dotyczyło tylko Obcych, po namyśle i temu przestawano się dziwić. Rzadko kto zresztą z dorosłych w ogóle o tym myślał.

Obcy bywali różni, więksi i mniejsi. Zjawiali się na Wyspie bez zapowiedzi i znikali bez wytłumaczenia: może dlatego, że ich o motywy postępowania nie pytano. Jedni handlowali, inni zawijali do portów Wyspy po drodze, po to tylko, żeby odświeżyć swoje zapasy, jeszcze inni sprowadzali się z garnizonami, wydawali zarządzenia i budowali coś, co w swoich różnych językach określali

jako fortalicje albo horodyszczca, albo bazy militarne. Każdy wiedział, że po jakimś czasie mury tych budowli pokryją się mchem, metale przestaną błyszczeć, a Obcy, którzy je zamieszkiwali, odejdą śladem poprzednich w niepamięć zwaną historią. Tak było zawsze: pozostawało Oczekiwanie. A że Or powracał na ogół nie częściej niż co cztery lub pięć pokoleń, zastawał czasem na Wyspie już tylko ślady kolejnego imperium Obcych, którego początków nie oglądał.

Or więc powracał dosyć rzadko i chyba nie zawsze ten sam, ale to znów była wyłącznie jego sprawa. Pojawiał się na wschodnim brzegu i szedł powoli na zachód. W samym środku Wyspy, na skrzyżowaniu dróg, przystawał zwykle i zwracał się na północ, ku Górze, jak gdyby już tym razem zamierzał wejść na nią i pozostać; potem jednak podejmował znowu zwykłą drogę. Na zachodnim brzegu wchodził we mgły i znikał. To Przejście trwało kilka tygodni i wszystko, co miało jakiegokolwiek znaczenie, wszystko, co było godne uwagi, działo się w tym czasie. Potem pozostawało Oczekiwanie.

Droga Ora był to szeroki gościniec, wykładany nieregularnymi, ogromnymi płytami białego kamienia, którego na Wyspie było pełno. Podobne płyty ustawiano pionowo wzdłuż drogi na pamiątkę szczególnie ważnych wydarzeń, które miały miejsce podczas Przejścia. Po obu stronach drogi rosły brzozy, częściowo dlatego, że w ogóle było ich tam dużo, a częściowo sadzone umyślnie, po to, by ich szept uskrzydlał towarzyszące każdemu Przejściu milczenie. Na wschodnim brzegu, w miejscu gdzie droga się zaczynała, znajdował się plac; nigdy tam nie było zupełnie pusto, a bardzo często bywało tłoczno. Była to jakby stolica Wyspy: tu odbywały się sądy, rady i wszelkie uroczystości, tu ogłaszano prawa i budowano stosy pogrzebowe. A z podpaleniem każdego stosu zwlekano przez jedną pełną dobę, aby w ten sposób dać zmarłemu jeszcze ostatnią szansę doczekania Powrotu.

Dookoła Wyspy wichura podnosiła bure morze albo mgła otulała siną, zamarłą toń. Poza te mgły, poza zwałniony horyzont wzrok Ludu nigdy nie sięgał. Za czasów imperium Fehine, kiedy przez

kilka wieków mieszkańcy lądów i mórz spełniali na wyścigi rozkazy władcy pajęczo zwinnego ludu, roznoszone przez niezrównanej szybkości okręty – do świadomości mieszkańców Wyspy dotarło to tylko, że tych giętkich, wysmukłych Obcych, którzy oprzędli ich wybrzeża siecią portów, trzeba było nazywać z szacunkiem „ogai”. Nic więcej. Ale zarazem w tej właśnie sprawie miała się zaznaczyć niezwykła trwałość pamięci Ludu, obejmująca to wszystko, co jakimś cudem zdołało wtargnąć do skarbcza tejże pamięci. Bo imperium Fehine, jak każde inne, upadło po jakimś czasie, a pajęczo wysmukły lud, zachowawszy swoje wrodzone żeglarskie zdolności, stał się z wolna rozproszonym plemieniem obieżyświatów, tłumaczy i handlarzy. Mówili oni wszystkimi językami i wszędzie mieli osady, ale ojczyznę już chyba tylko w najstarszej swojej kolonii, na Wielkim Archipelagu; znali i zatrudniali ich wszyscy, ale nikt ich specjalnie nie szanował. I tylko na Wyspie Szczęśliwej (oni zresztą nazywali ją Wyspą Mgieł) nadal spokojnie określano ich dawnym zaszczytnym tytułem. Z „Feinu-ogai” skrócił się on zresztą później na „Fingai” i tak w tym jednym słowie obojętnego Ludu trwał nadal ślad świetności... której istnienia ten Lud w ogóle nie zauważył.

ROZDZIAŁ DRUGI

Pogrzeb Taguna

Wiadomość o śmierci Taguna Imanu rozeszła się po Wyspie tak szybko, jakby wiosenna mgła rozniosła ją sama bez pomocy gońców, zwłaszcza że tego dnia potrzebowali oni wyjątkowo dużo czasu, żeby w wilgotnym powietrzu rozpalić należycie swoje pochodnie. Tagun był wśród Ludu ostatnim pamiętającym poprzednie przejście Ora; a jakkolwiek Or mógł, oczywiście, przybyć w każdym terminie, mieszkańcy Wyspy przywykli uważać, że koniec pokolenia, które go już widziało, jest jakby hasłem do rozpoczęcia właściwego oczekiwania.

Tagun umarł z wieczora, a już o wschodzie słońca – jeśli wolno nazywać wschodem słońca ten szary tuman, spod którego ledwo o kilka kroków można było dostrzec skraj prawie nieruchomej, czarnej wody – już więc o wschodzie słońca pierwsze większe gromady zaczęły się schodzić i zbierać na placu. Dejno Imanu, przełożony Sług Ognia, ponieważ z racji tak swojego urzędu, jak i bliskiego pokrewieństwa ze zmarłym był obecny przy jego zgonie, nadszedł jednak dopiero koło południa, niosąc gliniany garnek z żarem wziętym z paleniska domu Taguna. Stanął z nim obok stosu, który jego podwładni kończyli właśnie wznosić nieco na lewo od postumentu znicza.

Palenisko znicza było czyste, od lat zmywane przez deszcze; ale i na nim już ustawiono szkielet ogniska, zbudowany z drewniaków wyrzuconych przez morze. Ogładzone przez wodę jak kości, starannie wysuszone, czekały teraz na płomień. Dejno postawił garnek u stóp postumentu: cieniutka smużka drgającego powietrza dawała znać, że wewnątrz znajduje się moc, gotowa w każdej chwili zapłonąć zniczem oczekiwania. Starzec wpatrzył się ponad

paleniskiem w ciemny skraj uciszonej wody, ledwo widoczny ze środka placu – i czekał.

– Tagun Imanu, Tagun Imanu... alawi, Tagun Imanu – zaczęto wołać we mgle. „Alawi” mogło znaczyć i „żegnaj”, i „witaj”, było to najuroczystsze pozdrowienie, którym tylko przy takich pogrzebach zastępowano zwykle: Na’ngawaz (idź szczęśliwie).

Głosy umilkły; od strony lądu słychać już było kroki gromady idącej z ciałem. Z kilku punktów placu dobiegły dźwięki muzyki: szalán, sześć strun napiętych na pudle z kory brzozonej, był od niepamiętnych czasów ulubionym instrumentem Ludu. Gdy jeden grajek uderzał dłonią płasko we wszystkie sześć strun naraz, wybijając rytm, drugi na swoim instrumencie prowadził podstawową, prostą melodię, trzeci zaś improwizował skomplikowane wariacje, których w pamięci nie utrwalano, gdyż wartość ich polegała na tym właśnie, żeby były za każdym razem nowe. Kilka takich trójek, niewidocznych we mgle, rozpoczęło Pieśń Pożegnania i przy jej dźwiękach członkowie rodu Imanu wzniesli na plac ciało swego patriarchy.

Tagun Imanu nie miał jednak czekać na stosie aż do następnego dnia. On oglądał już przejście Ora, a chociaż miał wtedy niecałe trzy lata, nikt nie wątpił, że je oglądał naprawdę: wystarczyło przecież na niego spojrzeć. Ponieważ więc jego stos pogrzebowy oznaczał początek nowej i pełnej nadziei fazy oczekiwania, obrzędowi towarzyszył pewien pośpiech i napięcie, i brak im było żałobnej zadumy. Obcy, który by znalazł się na placu, gdyby mu mgła przesłoniła stos, prawdopodobnie nie zdołałby się zorientować, jakiego to rodzaju uroczystości ogląda. Żałobnicy już zgromadzeni za nic by się nie zgodzili czekać aż do wieczora na przyjście mieszkańców zachodnich wybrzeży Wyspy. Gdy tylko ciało spoczęło na swoim miejscu, Dejno odwrócił oczy od morza, szybko podniósł oburącz z ziemi garnek z żarem i wysypał całą jego zawartość u podnóża stosu, zanim jeszcze ci, którzy ciało wnieśli, zdążyli zeskoczyć w dół.

Oczywiście powinien był poczekać, bo chociaż drewno we mgle zajmowało się z wolna i nikomu z tego powodu nie groziło nawet

osmalenie, Tagun Imanu był przecież kimś, wobec kogo nawet w tak napiętej atmosferze należało do końca zachować właściwe maniery. Nikt jednak spośród tych, którzy byli dość blisko, by ten niestosowny postępek starca zauważyć, nie dziwił się jego niecierpliwiej udręce. Dejno Imanu był zaledwie o trzy lata młodszy od Taguna i był po nim najstarszy na Wyspie: jego szanse doczekania powrotu Ora były więc najmniejsze, a całą jego chwałą – kiedy spocznie już wkrótce na swym własnym stosie i będzie przez jedną dobę czekał na płomienie – okaże się ostatecznie to tylko, że dał życie tym, którzy doczekają: oni sami albo ich potomstwo.

Stos płonął. Stojący najbliżej musieli się cofnąć i utworzyła się dość duża pusta przestrzeń. Lekki wiatr zaczął poruszać tumanami mgły, które to napływały na plac, zakrywając go tym szczelniej, to znowu ustępowały i odsłaniały na chwilę szerokie, dalekie widoki – na milczący, gęsty tłum, na las, gdzie na gałęziach brzoź już nabrzmiewały pąki, czasem – najrzadziej – na ciemne fale, podnoszące się teraz powoli, jak gdyby morzu ktoś zrzucił ciężar z piersi.

Znowu gdzieś w tłumie zadźwięczał szalán. I znowu Dejno Imanu, zamiast czekać, aż się stos dopali, posunął się gwałtownie do przodu, tak blisko, jak żar pozwalał mu podejść, i uchwyciwszy jeden koniec długiej laski, którą mu podano, wsunął drugi między płonące bierwiona. Z tą pochodnią cofnął się do postumentu znicza i równie szybko, niedokładnie, niecierpliwie zaczął ze wszystkich stron podpalać białe drewnienka. Gdy się zajęły, odrzucił laskę, padł twarzą do ziemi i rozplakał się.

Ród Imanu należał w zasadzie do Szczęśliwych, ale udręka starca była zrozumiała i nikt się jej nie dziwił. Teraz, gdy już znicz płonął, nie można było dłużej powstrzymać pieśni. Jednomyślnie (Lud przywykł do porozumiewania się bez wielu słów) odstąpiono od zwykłej kolejności i płaczowi Dejna zawtórowała najpierw Pieśń Nieszczęśliwych:

*O jak się dłużą, dłużą dni!
Wracają z pustym naczyniem*

*nie zaczerpnąwszy wody.
O jak się dłużą, dłużą dni!
Sieją piasek na skale,
wiatr im go w oczy miecie.
O jak się dłużą, dłużą dni!
Robak je w pąku przegryza,
spadają, wiosny nie widzą.
O jak się dłużą, dłużą dni!
Mróz je nad ranem ścina,
martwe zwisają w południe.
O jak się dłużą, dłużą dni!*

Gdybyż nie ta zmiana kolejności!

Gdyby to na tej pieśni skończono, Lud byłby się rozszedł w spokoju zawierającym wprawdzie sporo przygnębienia, ale przynajmniej wykluczającym napięcie i nieusprawiedliwione niczym przekonanie, że już, że koniecznie zaraz. Ale od niej właśnie zaczęto i cały jej wpływ został zatarty przez dalszy ciąg obrzędu. Kiedy przebrzmiała, Agwen Imanu, najmłodszy wnuk zmarłego, położył ręce na ramionach swoich dzieci i popchnął je lekko do przodu. Piętnastoletnia Nulani i dwunastoletni Tagun wyszli na środek placu trzymając się za ręce. Szli lekko, niemal tanecznym krokiem, jako ci, którym przysługiwała największa nadzieja doczekania. Doszli wreszcie do leżącego u podstawy paleniska starca; mieli mu zadać pytanie, którego nikt by się nie ośmielił zadać jego zmarłemu bratu. Jakiś pojedynczy szalán odezwał się, poddając im ton.

– Dejno ogai (czcigodny Dejno) – zaśpiewały dzieci – Dejno ogai, powiedz nam, jak on wygląda?

Któryś spośród Sług Ognia – chyba Zanga Ulawe – pomógł mu się podnieść; inny podał odrzuconą laskę. Wsparty na niej lewą ręką, Dejno wyciągnął prawą ku pytającym.

– Będziecie to wiedzieli, gdy go zobaczycie – odśpiewał.

– Dejno ogai, Dejno ogai – płynęło ku niemu następne pytanie – powiedz nam, co on uczyni?

– Przekonacie się, gdy przyjdzie!

– Dejno ogai, Dejno ogai... kiedy on wróci?

Starzec podniósł rękę płasko nad ich głowami:

– Błogosławię wam, byście go doczekali!

I to miało być zaśpiewane na tę samą melodię, ale zostało wykrzyknięte, jak krzyczy do swoich najbliższych ten, kto czuje, że już głosu nie zdoła wydobyć: nieskładnie, chrapliwie, zbyt ostro. Kto wie – zważywszy muzykalność Ludu – czy ten dysonans przez to, że zaszedł w momencie, w którym najbardziej pożądana była nieskazitelna harmonia, nie podrażnił wrażliwości słuchaczy bardziej jeszcze, niż wszystkie dotąd popełnione podczas tego obrzędu niestosowności. W każdym razie należało go zatrzeć szybko i Ungana Nile, księżę Ludu, dał znak najbliższej trójce muzykantów. Pozostawała do odśpiewania Pieśń Szczęśliwych:

*Cieszcie się świtem!
Kiedy dzień wypływa na powierzchnię,
strząsa wodę z włosów,
mówi: A może dzisiaj?
Cieszcie się świtem!
Cieszcie się południem!
Kiedy dzień otwiera ramiona,
rozgląda się dookoła,
mówi: Kto wie?
Cieszcie się południem!
Cieszcie się wieczorem!
Kiedy dzień przysiada zmęczony,
wyciąga kubek,
mówi: A może jutro?
Cieszcie się wieczorem!
Cieszcie się nocą!
Kiedy dzień nurkuje w głębinę,
uśmiecha się, bo już wie.
Mówi: Na pewno.
Cieszcie się nocą!*

I właśnie w tym momencie odezwał się z morza dźwięk rogu. To oczywiście musieli być jacyś Obcy i byli jeszcze daleko, a Lud nie miał już na wybrzeżu nic więcej do roboty; gdyby się wtedy zaczęto rozchodzić, Obcy przybyliby w godzinę później na plac już pusty. Ale nie odszedł nikt.

ROZDZIAŁ TRZECI

Książę ludu

Rodzina Nile sprawowała rządy nad Wyspą od kilku Powrotów, odkąd jeden z jej członków ożenił się z córką dogasającego rodu poprzednich książąt. Jak na pojęcia Ludu, było to jeszcze dość krótko, coś około jedenastu pokoleń; to jednak nie znaczy, by ktokolwiek poważnie próbował kwestionować prawa rodziny Nile do władzy albo zwłaszcza dowodzić czyichś innych praw. Tego rodzaju rzeczy nikt na ogół na Wyspie nie robił, a to przez prosty brak zainteresowania. Książę i jego najbliżsi musieli z konieczności najwięcej mieć do czynienia z Obcymi, co się mało komu uśmiechało; musieli także dużo krążyć po Wyspie, zaniedbując tym samym codzienną zwykłą pracę, a na to niewielu z Ludu było stać. Opowiadano przy tym, że kolejne pokolenia panującego rodu przekazują sobie jakąś tajemną wiedzę, niesłuchanie trudną do opanowania, i to z kolei odstraszało tych, którzy by może i chcieli spróbować współzawodnictwa, ale nie czuli się na siłach sprostać wygórowanym wymaganiom. Lud Wyspy, jak wiele prymitywnych plemion, bał się bardzo ryzykować śmieszność. Wreszcie – co było najważniejsze – nawet i te słabe i nieskuteczne pokusy sięgania po władzę, na jakie byli narażeni członkowie Ludu, nasilały się i słabły okresowo, przy czym szczyt przypadał na drugie pokolenie po każdym kolejnym Przejściu, a potem dość szybko następował prawie zupełny zanik. Od niepamiętnych bowiem czasów książę Wyspy był jedyną osobą, która nigdy nie uczestniczyła w Przejściu Ora. Tygodnie tego Przejścia spędzał on samotnie w swoim dworze na północnym stoku Góry, czekając, czy też Or już tym razem sam na zawsze obejmie Wyspę we władanie, czy jeszcze nie. Nikt dobrze nie wiedział, co w takim wypadku

miałby do zrobienia księżę: może była to jedna z rzeczy wchodzących w skład tajemnej wiedzy władców. W każdym razie w miarę jak doczekanie Powrotu stawało się coraz realniejsze, topniała szybko (i tak zresztą niewielka) garstka tych, którzy by mieli ochotę wyrzec się udziału w Przejściu dla rzeczy tak ostatecznie nieciekawej jak władza. Także i rozrywki dostępne dla książąt (jak polowanie, któremu oni jedni oddawali się nie z potrzeby, ale dla zabawy) nie stanowiły dość silnej pokusy.

Ungana objął rządy po ojcu, Inu Nile, na pięć lat przed śmiercią starego Taguna Imanu, a więc ze świadomością, że na jego właśnie panowanie musi przypaść nasilenie ewentualnych pretensji do władzy. Nie wydaje się, żeby to wpłynęło w jakimkolwiek stopniu na jego postawę, na przykład czyniąc go agresywnym obrońcą posiadanego skarbu. Ungana był wtedy w pełni sił, odznaczał się spokojem i konsekwencją. Był już wdowcem, a po młodo zmarłej żonie pozostał mu tylko jeden syn, Inutu Nile, następca. Sam Ungana próbował czasem motywy swojego postępowania wyprowadzić z troski, jaką otaczał jedynaka właśnie dlatego, że był to jedynak, i z chęci przygotowania mu odpowiedniego dziedzictwa. Było to jednak złudzenie, w którym nawet on sam nie trwał zbyt długo.

Któż mógłby prześledzić bieg tajemnej wiedzy władców i określić, ile jej pokoleń złożyło się na Unganę?

Dwór z belek świerkowych nasyconych morską solą odziedziczyli książęta Nile po swoich poprzednikach, książętach Ganumi. Właściwie nie był to już ten sam dwór, bo za czasów drugiego księcia Nile spłonął i został odbudowany; ale ponieważ odbudowa polegała oczywiście na dokładnym w każdym calu powtórzeniu poprzedniej konstrukcji, siedziba Ungany była nadal tą samą, a przynajmniej taką samą budowlą, w jakiej od niepamiętnych dynastii rezydowali władcy Ludu. Od zwykłych domów różniła się budulcem i rozmiarem, ale jeszcze bardziej urządzeniem wnętrza, tych zwłaszcza komór, do których nie mieli na ogół wstępu poddani. Gdyby mieli, nie potrafiliby odgadnąć, u których to Obcych właściwie się znajdują, gdyż było tam zgromadzone

wszystko, co ciekawego lub pożytecznego przynieśli w ciągu wieków na Wyspę jej kolejni jednodniowi okupanci.

Inutu, po powrocie z zabaw z innymi dziećmi, mawiał:

– Kiedy ja obejmę rządy, powyrzucam to wszystko.

Ungana potakiwał z uśmiechem:

– Zrobisz, jak zechcesz, synku.

Pamiętał, że i on w tym wieku planował to samo.

Inutu wzdychał:

– Obyż za mojego panowania przyszedł Or! Ja bym nie został w domu, ale bym wyszedł na drogę i póty bym go błagał, ażby się zgodził zamieszkać już na zawsze na Wyspie. Kto wie, może on właśnie na to czeka?

Ungana odpowiadał:

– To całkiem prawdopodobne.

Każdy władca w dzieciństwie zaczynał od tego, póki się nie zetknął boleśnie z biernością Ludu i z jego obojętnością na wszystko poza Powrotem. Nic nie można było z nimi zdziałać: nic. Śpiewali tęskne pieśni i całego szczęścia oczekiwali z zewnątrz, a tego, które było w zasięgu ich ręki, nawet nie próbowali dotknąć. Wyciszeni jak ktoś, kto nasłuchuje bezustannie, zachowywali tylko część uwagi dla spraw codziennych, a więc najłatwiej im było trzymać się mechanicznie starych, wdrożonych kolein, którymi szło się już bez zastanowienia. Gdyby z pomysłem jakiegokolwiek zmiany w ich sposobie życia wystąpił ktoś im równy, na pewno by go wyśmiali; jeśli wysuwał go książę, potakiwali z szacunkiem i zaraz znowu zwracali oczy na wschód. Trudno było stwierdzić, czy w ogóle słuchali. Rozpłomieniali się tylko, jeśli ktoś próbował zlekceważyć ich miłość i tęsknotę.

Każdy władca szybko się uczył przeklinać w duchu tę tęsknotę, przeklinać ją z całą goryczą bezsilności. I musiało tak być od początku, skoro w najstarszych nawet legendach i pieśniach nie było wzmianki o tym, żeby którykolwiek książę uczestniczył w pochodzie Ora. Z drugiej strony nikomu z Ludu nie przychodziło nigdy do głowy, żeby ten zwyczaj mógł być przejawem wrogości albo choćby niechęci władców do Powrotów; uważano go tylko za

tradycyjny ciężar ich urzędu, godzien litości, ale nie potępienia. Stąd wniosek, że władcy mieli dość rozumu, żeby swój pogląd na sprawę starannie ukrywać.

A przecież i oni należeli do Ludu, wychowywali się w jego pojęciach i na jego pieśniach – tych pieśni sami zresztą sporo ułożyli – i mieliby niewiele mniejsze trudności niż inni mieszkańcy Wyspy, gdyby próbowali choćby tylko wymyślić inny sposób życia. Cała rodzina księcia, jego rodzeństwo i jego potomstwo rosło i żyło w niczym niezamąconej miłości do rodzinnych tradycji i do Powrotów. Ren, żona Ungana, umierając cierpiała bardziej nad tym, że nie doczeka już Ora, niż nad odejściem od męża i synka. Nawet Ungana nigdy nie próbował przekazać jej niczego ze swojej gorzkiej wiedzy.

Pierwszych kropli tej goryczy kosztowało się jeszcze bezwiednie w dzieciństwie. Ungana, kiedy patrzył na chmurną buzię małego Inutu, wspominał łatwo, co on sam czuł kiedyś, przechodząc z zapełnionych dziwami, pstrych komór książęcego dworu do domów swoich rówieśników i towarzyszy zabaw. Tu królowała niepodzielnie biel płócien i prostych kamiennych sprzętów i była w tym jakaś szlachetna muzyka, jak gdyby ktoś przeszedł z pełnego niezrozumiałych, drażniących hałasów targowiska portowego Obcych na cichą łąkę, na której gra szalán... Wtedy jeszcze nie wiedział nic o ojcu, ale jakieś napięcie już wyczuwał i jego własna tęsknota do Ora nie była tą bezproblemową miłością, która przepełniała innych. Pełna była rozpaczliwych obietnic wierności za wszelką cenę, chociaż nikt mu nigdy nie powiedział, że jakiegokolwiek przeszkody mogłyby tej wierności stanąć na drodze. Czuł, że ojciec go obserwuje, i myślał, że to płynie z troski albo z potępienia. Potem, piętnastolatka, dopuścił go Inu Nile zgodnie z tradycją do współrządów i Ungana tajemnie bolał nad tym, że ojciec (nieskrępowany w tej sprawie żadnym zwyczajem) wybrał spośród swych czterech synów jego właśnie, najgorszego, bo tak już zmęczonego rozpaczliwymi wysiłkami dostrojenia się do ogólnego tonu, że zdarzało mu się nawet myśleć: „Gdybyż nie było już więcej żadnych Powrotów!”. Świadomość, że to właśnie

o to ojcu chodziło, przyszła jak wyzwolenie. Odtąd przez kilkanaście lat, do śmierci ojca, prawie całe dni spędzali razem, a Lud mówił: „Inu Nile znalazł godnego następcę, który na pewno zrozumie wszystkie te dziwne sekrety”. I dodawano: „Z pokolenia na pokolenie przekazują sobie, jak nieść ten ciężar, który na nich włożono”.

Inutu miał w chwili śmierci starego Taguna lat trzynaście, wkraczał więc w okres najtrudniejszy, pełen wewnętrznych walk i napięć, które w dodatku musiał przewalczyć i znieść samotnie. Nie byłoby to jeszcze dla Ungany powodem do szczególnego zatroskania, gdyby nie nadchodzące wydarzenia, których bliskości on jeden na Wyspie był świadom, a których nasilenie musiało wypaść właśnie na najtrudniejsze lata dojrzewania małego Inutu; i nie można było przewidzieć, jaki wpływ na niego będą miały. Któż zdoła splatać linę dziejów tak, by się żadne włókno nie wymknęło? Wiele, wiele włókien, przygotowanych tajemną wiedzą i pracą poprzedników Ungany – i jego własną – miało się teraz nagle spleść i ujawnić światu; i już nie było można czekać z zadziwieniem węzła, aż się rozjaśni zrozumieniem oczy małego Inutu...

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wygnańcy

Na wschód od Wyspy, zaledwie o dwa dni żeglugi, znajdowała się ziemia, o której Lud dlatego tylko nic nie wiedział, że nie miał zwyczaju zadawać Obcym żadnych pytań. Szeroka, rwąca rzeka Czun dzieliła tę ziemię na dwie krainy; istoty, które tam mieszkaly, dzieliły się z tego powodu na dwa państwa. Kraj południowy był równinny, otwarty, bogaty; na jego płaskowyżu wyrastały wielkie miasta i prawie cała ziemia była uprawiana. Zarzeczce było górzyste, puszczańskie i dzikie: wielu tam jeszcze chodziło w skórach, gdy na nizinach już się nosiło jedwabie. Królowie Równin wcześniej przestali wojować: handel i dyplomacja zajęły w ich polityce miejsce broni i przez całe wieki zastępowały ją z powodzeniem. To oni obalili imperium Fehine i przejęli jego panowanie na lądzie i morzu. Teraz to już ich statki docierały dalej niż czyjekolwiek; ich wywiad wiedział więcej o odległych ludach niż tych ludów najbliżsi sąsiedzi. Ich decyzja budowała i obalała państwa, które postanawiali zaszczyścić swoim przymierzem albo właśnie ukarać niełaską.

Aż stało się to, co było nieuniknione. Kraj Gór, dotąd trzymany w ryzach groźbą i olśnieniem, zaczął nagle sprawiać kłopoty. Tamtejszy władca, o którym mówiono, że własną ręką musi orać ziemię, by móc utrzymać swą liczną rodzinę, nagle wysunął żądania, które byłyby po prostu śmieszne, gdyby królowie Równin mogli się jeszcze bronić przeciw pięści czymkolwiek oprócz śmiechu. Półdzikich, dotąd samowystarczalnych górali nie straszyciło żadne embargo, a gmatwaninę subtelnych układów rozcinali niezmiennie jednym prostym „Nie”. Tanmuk Ósmy, król Równin, oddalił więc swą pierwszą żonę, zamorską księżniczkę

Mdan, dzięki której sprawował kontrolę nad tym, co się działo o pół roku drogi od jego granic – i oświadczył się zdumionemu władcy Krainy Gór o rękę jego najstarszej córki Hagrit, by przez nią zdobyć jako taki wpływ na to, co się działo tuż pod jego bokiem. Wpływu nie zdobył, osiągnął tylko zwłokę, której zresztą nie zdołał wykorzystać. Hagrit, olśniona wspaniałością dworu i państwa swego męża, zapomniała szybko o wszystkim, co obiecywała ojcu; uznana za renegatkę przez własną rodzinę, a za dzikuskę przez swoich nowych poddanych, nie umiała i nie mogła odegrać w polityce żadnej roli. Natomiast dała Tanmukowi syna, którego poprzednio nie mógł mieć w dyplomatycznym, pozornym małżeństwie z istotą wprawdzie rozumną, ale należącą do zupełnie innego gatunku. Tanmuk na wszelki wypadek nazwał syna Dżauri – imieniem groźnego dziadka z Gór – ale jego narodziny i istnienie oboje z Hagrit ukrywali starannie przed narodem i przed nieudolnym wywiadem tegoż dziadka przez lat cztery. A potem rzecz się wydała i stary Dżauri, widząc, że dynastia równinna ożywa, uznał, iż czas już działać.

Z gór spłynęły hordy, którym nie mogły się oprzeć „złocone patyki” – jak określał Dżauri wojsko zięcia – i to już był koniec chwały Równin. Sam Tanmuk czekał na zdobywców do końca w stolicy, siedząc samotnie na swym złotym tronie, i tam też zginął; ale ani Hagrit, ani jej syna nie udało się najeźdźcom znaleźć.

Kraj zaznał biedy pod rządami nowych panów, u których ciągle jeszcze w mocy było prawo pięści, a żądzę łupu zaliczano do cnót wojownika. Toteż przez jakiś czas nie brakowało takich, którzy gotowi byli ukryć i wyżywić małą gromadkę złożoną z kobiety, chłopca, jednego starca i czterech dawnych gwardzistów. Hagrit zresztą umarła już po roku; zdążyła tylko przelać synowi całą swoją nieprzejednaną wrogość do rodu własnego ojca i całą bolesną lojalność wobec pamięci męża. Potem płynęły lata i było coraz trudniej i coraz niebezpieczniej. Nowi władcy z roku na rok lepiej orientowali się w kraju i coraz mniej było takich, dla których pamięć przeszłości była wciąż jeszcze ważniejsza niż wzgląd na

najbliższą przyszłość. Młody Dżauri i stary Czuszir, jeden z dawnych doradców królewskich, dawno już nie zdradzali nikomu swoich prawdziwych imion i coraz częściej przenosili się z miejsca na miejsce; aż wreszcie w całej Krainie Równin zrobiło się dla nich za ciasno. Uciekać byłoby łatwo, gdyż lud górski nie znał dotąd dalekich podróży i pod jego rządami żegluga upadła: wystarczyłoby więc zająć którąkolwiek ze starych łodzi kupieckich, a pościgu można się było nie obawiać. Pozostawało jednak pytanie: dokąd płynąć? Dżauri zgadzał się opuścić kraj tylko pod warunkiem, że tam, dokąd się uda, będzie mógł przygotowywać zbrojny powrót. Czuszir przypominał, że cena, jaką by przyszło płacić za pomoc wojenną którejkolwiek ze znanych potęg, mogłaby się okazać zbyt wysoka.

– W takim razie zostaję – ucinał młody książę każdą taką rozmowę; położenie tymczasem stawało się coraz bardziej beznadziejne. Aż wreszcie znalazła się rada. Czuszir przyniósł ją z portu razem z kupioną od rybaka siatką drang, małych, burych krabów morskich. Był też wyraźnie zakłopotany, że sam dotychczas na ten pomysł nie wpadł i że dopiero przygodna rozmowa w porcie z jakimś włóczęgą morskim (Feinu niewątpliwie, sądząc po oczach i po długości odnóży) naprowadziła go na rozwiązanie.

Z początku zresztą nie wyglądało to ciekawie.

– O dwa dni drogi stąd na zachód – mówił stary – znajduje się Wyspa Niczyja. Zamieszkujące ją istoty są wprawdzie dze-knet (istotami myślącymi) jak my, ale nie należą do żadnej z ras, jakie dotąd widywałeś w portach. Jest to lud senny i obojętny, nie utrzymujący kontaktów z innymi rasami, nikomu nie wrogi, ale i nikomu nie bliski. Od wieków, od niezliczonych pokoleń pozostają tak na uboczu, a to znaczy, że narasta w nich ukryta energia, jak wody spiętrzające się za tamą: kto tę siłę pierwszy odkryje i wykorzysta, będzie miał – kto wie? – może wspaniałą broń w rękę.

Dżauri był jeszcze za młody, żeby cenić siły ukryte i uspięte, które dopiero trzeba odnajdywać i budzić; toteż prawdopodobnie

szybko by przerwał staremu, gdyby sobie w porę nie przypomniał, że wpajana mu od dzieciństwa etykieta wymaga, aby rady wysłuchać do końca. Już i tak często o tym zapominał... Tym razem więc postanowił zapytać nawet uprzejmie... o co by tu, żeby Czuszir mógł się trochę rozgadywać? Na przykład:

– Czy za czasów mojego ojca ta wyspa była znana?

– Oczywiście – odpowiedział chmurnie były pałacowy radca do Spraw Wiadomości Otrzymanych, któremu wcale nie w smak był choćby tylko cień wątpliwości, czy kancelaria Srebrzystozłotego Pałacu wiedziała, czy nie wiedziała o czymś tak blisko położonym jak Wyspa Niczyja. Była to jednak dobra okazja, aby dać młodemu pretendentowi do tronu kolejną lekcję historii, dyplomacji i może nawet, jeśli się uda dobrze połączyć, kosmogonii. Czuszir więc zwinął się ciasniej (jak na swój patykowaty wygląd Dżugidowie są bardzo giętki) i zaczął systematyczny wykład.

Mówił, jak to w zamierzonych czasach dokonano pierwszej inwazji na Wyspę, inwazji jeszcze podówczas zbrojnej, i urządzono na niej dość dogodną bazę wypadową do dalszych podróży. Jak później Feinu wyparli stamtąd Dżugidów, jak następnie z kolei Dżugidowie, rozproszywszy Feinu po lądach i morzach, traktowali ich nie bez racji jako swych poddanych i nie mieli zwyczaju odrabiać za nich ich pracy, toteż nie wysyłali na Wyspę własnej nowej załogi: wystarczało, że rozkazy Dżug-byru dochodzą tam poprzez pajęczonogich obieżyświatów. Toteż bezpośrednich kontaktów z Wyspą Niczyją rzeczywiście od wieków nie było: o tyle więc, i tylko o tyle, pytanie Dżauriego jest słuszne.

Poza tym Dżauri powinien wiedzieć, że wypracowany przez Dżugidów sposób rządzenia zawsze przez pośredników – o ile możliwości w jak najdłuższą hierarchię uszeregowanych – jest najdoskonalszy nie tylko dlatego, że w ten sposób wszyscy podwładni pilnują jeden drugiego, ale i z racji swoich kosmogonicznych uzasadnień. Dżugidowie wiedzą dobrze, iż światem rządzi Mnogość, i to Mnogość wewnętrznie skłócona, w której raz ta, raz inna myśl chwilowo bierze górę, ilość zaś tych myśli jest nieograniczona. Jakkolwiek (a trzeba to dodać dla

ściśłości wykładu, choć może nie jest to zbyt pochlebne dla Ludu Równin) niektórzy mistrzowie Prawiedzy twierdzą, że także i Dżugidowie wyznawali w zamierzchłych czasach kosmogonię Dwóch Braci – jest mimo to rzeczą pewną, że dawno już odeszli od podobnie prostych, prymitywnych wyobrażeń. U wielu innych znanych ludów ta pierwotna kosmogonia jeszcze nie została przewyciężona: ona to leży u podstaw dualistycznych wierzeń takich na przykład Tmutów. Dżugidowie przeciwnie –

Tu Dżauri, który już ten cały wykład znał na pamięć, a interesował się dyplomacją mniej nieco niż taktyką wojenną, kosmogonią zaś wcale, uznał, że najlepszym sposobem sprowadzenia starego radcy z powrotem na właściwy temat jest zapytanie go o wierzenia i zwyczaje ludu zamieszkującego ową wyspę. Poskutkowało: Cuszir natychmiast wystąpił ze szczegółowym wykładem.

– Zacznę od ich wyglądu – mówił – bo nawet i on świadczy, że są jak czysty płat jedwabiu czekający na zapisanie. Są niżsi od nas i poruszają się powoli; ubierają się zawsze na biało, a brzoza jest ich drzewem świętym. Głowy, albo to, co może uchodzić za ich głowy, przykrywają zwykle brzegiem płaszcza, co ich robi z daleka podobnymi do chodzących głazów. Wnętrza ich kamiennych domów są proste, a ich tryb życia nudny i bezbarwny. Ich główną świętością są stele z nieobrobionych kamieni ustawione wzdłuż drogi; napisy na tych stelach upamiętniają wydarzenia, które tylko przez nich mogą być w ogóle uznawane za wydarzenia, nawet gdyby kiedykolwiek miały miejsce, co oczywiście nieprawdopodobne. Te istoty wierzą bowiem, że na ich wyspie zjawia się od czasu do czasu Jasny Brat i przemierza ją ze wschodu na zachód, co jest zresztą jednym więcej dowodem na związek kosmogonii Dwóch Braci z mitem słonecznym. Otóż –

– A Ciemny Brat przemierza ją w przeciwnym kierunku? – Dżauri lubił czasem pokazywać, że pamięta jakieś całkiem drugorzędne szczegóły przekazanych mu dziedzin wiedzy; w tym wypadku – etnografii, która zresztą u Dżugidów była w wielkiej cenie.

– Ciemnego Brata – odrzekł poważnie Czuszir – oni tam jakoś w ciągu wieków zupełnie zgubili, ich mitologia nie wspomina o nim wcale. Ale to właśnie uśpiło w nich wszelką podejrzliwość. I gdyby ktoś –

– Wiem – przerwał Dżauri – Gdyby zjawić się tam i ogłosić się tym ich Jasnym Bratem...

Rzecz wymagała jeszcze wielu przygotowań, ale pomysł podobał się im obu. I w ten sposób Ungana, w przygotowywanym od pokoleń momencie, stworzył fałszywego Ora.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Barwy i skrzydła

Ten nowy gatunek Obcych był wysoki, a na głowach – lub na tym, co w braku lepszego określenia mogło uchodzić za ich głowy – mieli skrzydlate kołpaki. Było ich sześciu. Idący przodem miał na sobie coś bardzo powiewnego i fałdzistego, co lśniło kolorem jaskrów i kaczeńców; za nim szedł drugi w barwach trawy i szpilek sosnowych, wreszcie czterej w barwie jakby pociemniałego polnego maku. Już to samo z daleka dowodziłoby, że są obcy, nawet gdyby nie oznajmili swego przybycia dźwiękiem rogu, nawet gdyby nie widziano, jak przyjechali. Ich łódź miała ogromne białe skrzydła, które wydymał narastający wiatr. Nie zwijając tych skrzydeł, Obcy wpędzili łódź na mieliznę przybrzeżną, tak że zaryła się w piasku: wtedy wyskoczyli z niej wszyscy razem i szli szybko przez płytką wodę w stronę placu. Lud ze starego przyzwyczajenia rozstępował się, by dać im drogę: przez całe pokolenia nikogo nie obchodziło, po co tacy przyjechali ani co zrobią. Przejdą przez plac, oczywiście, i gdzieś sobie pójdą. Z pewnym zdziwieniem (dla wielu pierwszym od dawna) stwierdzono jednak, że Obcy podeszli do znicza i zatrzymali się przy nim. Dejno Imanu patrzył na nich przez płomień, a może raczej przez płomień i przez nich patrzył w morze.

I wtedy zaczęły się dziać rzeczy dziwne. Pierwszą z nich było już to, że Lud, jakkolwiek obojętny, śledził jednak oczami ruchy Obcych, jak gdyby już dopuszczał jakiś związek między ich pojawieniem się a swoim oczekiwaniem. Przez krótką resztę życia Dejno Imanu wyrzucał sobie, że przygotował grunt pod te wydarzenia, bo kiedy w czasie pogrzebu Taguna Imanu tyle razy odstępował od przyjętych zwyczajów, rzucił przez to posiew niepokoju, który zaowocował tak niespodziewanymi wypadkami.

I niewątpliwie Lud osiągnął wtedy szczyt napięcia, po którym – jeśli nadzieja się nie spełni – możliwe jest już tylko zmęczenie i droga w dół. Był to zarazem ten moment, kiedy najłatwiej można wmówić sobie, że nadzieja się właśnie spełnia. Dlaczego ta barwa jaskrów, po raz pierwszy od tylu pokoleń, skojarzyła się nagle Ludowi z olśnieniem? Dlaczego ten głos rogu, choć niepodobny do ukochanej muzyki strunowej, skojarzył się im jednak z Oczekiwaniem tak silnie, że wszystkich zatrzymał na placu? Gdyby ktokolwiek na Wyspie był wprawny, i to bardzo wprawny, w dochodzeniu do źródeł własnych myśli, zdołałby może prześledzić rodowód tych skojarzeń wstecz aż do jakiejś zapomnianej rozmowy – z kim właściwie? – lub jakiejś zasłyszanej, ale niezapamiętanej pieśni... wiele lat temu, jeszcze za czasów Inu Nile – czy całkiem niedawno?

Ale wprawnych w tej sztuce nie było wśród Ludu, toteż ci, którzy znaleźli potem czas na zastanawianie się nad tym, przypisywali wszystko albo tak, jak Dejno, wadliwemu biegowi uroczystości, albo (częściej) zdumiewającemu faktowi, że od samej chwili przybicia łodzi, przez cały czas dalszych wydarzeń tego dnia, nie padło ani jedno słowo, i to musiało zrobić ogromne wrażenie. Lud jeszcze dotąd nie widział milczących Obcych.

A przebieg wypadków był następujący: Obcy w kolorze jaskrów i kaczeńców podniósł coś jakby rękę, w której trzymał długą laskę, i uderzył płasko po zniczu, rozsypując go i gasząc. W tej samej chwili buchnął błękitny płomień: Obcy wznosił laskę do góry i zobaczyli, że to jej koniec tryska ogniem tak, jak nim tryska wrzucony przez pomyłkę w ognisko okruch mur (siarki). Z tą pochodnią Obcy ruszył przez plac w kierunku Drogi Ora.

Na palenisku znicza gasły węgielki. Obok dopalał się stos Taguna Imanu. Dejno rzucił się podsycać znicz, zawołał na Zangę Ulawe, by ten podał mu świeże drewnienka, i dopiero nie otrzymawszy ich, odwrócił się w stronę placu. Zanga i wszyscy Nieszczęśliwi ciągnęli wolno za Obcym, przesuając się pomiędzy resztą Ludu, jak strumyki spływają między kamieniami na dno kotliny, by tam się spotkać i utworzyć rzekę. Ale już i niektórzy

spośród Szczęśliwych ruszali z miejsca – jeszcze niepewni, jeszcze oglądający się na innych, ale już jakby niezdolni zatrzymać się przeciw fali. Zamiast ogromnej gromady ciemnych twarzy Dejno miał teraz przed sobą biel płócien, którymi Lud okrywał głowy, z rzadka tylko – i coraz rzadziej – znaczoną ostrymi, ptasimi profilami tych, którzy jeszcze niezupełnie się odwrócili. Mgła tymczasem rozwiała się już całkiem i świeciło jasne, ostre słońce, ale pochodnia w ręce Obcego nie traciła przez to blasku: parskła, sypała iskrami, była jak coś żywego, co pragnie przemówić albo może i mówi, tylko niezrozumiałym językiem. Dejno widział ją coraz dalej, jak wkraczała na czele tworzącego się pochodu w brzoźową aleję. Przy postumencie znicza stał już sam jeden.

– Oni go wzięli za Ora – usłyszał za sobą głos Ungany. – Nie dokładaj już do ognia, Dejno. Nie będzie więcej Powrotów.

Dejno Imanu przez całe życie nie znał zdziwienia; teraz go zaznał w obfitości, a nie było to doświadczenie radosne. Głos księcia był spokojny, po prostu stwierdzał fakt, i to właśnie było najstraszniejsze. Ungana nie mógł mieć racji, bo ta głupia pomyłka Ludu była przecież na pewno do odrobienia, zresztą i tak musiała się rozpaść sama w ciągu najbliższych godzin; ale stwierdzać coś takiego tak spokojnie! Dejno całe swe oburzenie włożył w niezbyt sensowne pytanie, płynące zapewne ze skojarzenia z kołpakami i żaglami Obcych:

– Czy i tobie marzą się skrzydła?

Ungana jednak był już oddalony o dobre dziesięć kroków i – słyszał czy nie słyszał – nie odwrócił się, by odpowiedzieć. Szedł szybko, nie za tłumem, ale na północny zachód, drogą, która przez portową osadę Tengy, zamieszkaną głównie przez Fingai, prowadziła do jego dworu u podnóża Góry. To było poprawne zachowanie się księcia, który przypadkiem stał się świadkiem Powrotu, więc wobec jego poprzednich słów było już całkiem niezrozumiałe. Działo się coś strasznego, ale tak nowego, że Dejno nie mógł z całego swego życiowego doświadczenia wysnuć nici, na którą te wypadki dałyby się nanizac i uporządkować. Wiedział tylko, że to nie był Or. Skąd wiedział? Tego sobie także nie umiał

wytłumaczyć, najprawdopodobniej ta wiedza i pewność płynęły z długoletniej bliskości ze zmarłym bratem, która jakoś niedostrzegalnie (bo nie przez żadne słowa czy nauki) urobiła go na podobieństwo tamtego.

Więc to jedno było pewne... a dalej? Czy rzeczywiście Lud przez to samo, że ruszył drogą za Obcym, zrezygnował już na zawsze z Oczekiwania? Czy Or, nieoczekiwany, przyjdzie? A jeśli przyjdzie i taki obrót spraw zastanie, czy nie odejdzie natychmiast?

Po niebie płynęły z północy wielkie białe obłoki, przednia straż odległego czoła burzy.

– Dejno ogai, Dejno ogai... czy to był Or?

Dwójka dzieci stała za nim na pustym placu. Trzymały się za ręce jak poprzednio i śpiewały to pytanie na ten sam ton co poprzednio. Z całego rodu Imanu, z całego Ludu Wyspy tylko tych dwoje.

Ale to wystarczyło, żeby starzec zrozumiał, że jeszcze nie spłonęła cała nadzieja: jeszcze może odrosnąć Oczekiwanie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wyprawa do Skał Łowcy

Istoty, do których należała Mdan, niegdyś żona Tanmuka i królowa Państwa Równin, odznaczały się szczególną długowiecznością. Sama Mdan ze względu na wiek mogłaby według pojęć Dżugidów (o czym oni zresztą nie wiedzieli) być matką swojego męża; jednakże kiedy po spędzonych u niego piętnastu latach wróciła do domu, liczyła się tam nadal jeszcze do niestarych panien na wydaniu.

Mdan zastała w ojczyźnie duże zmiany, o których pierwsze wieści dotarły do niej już w drodze. Jej pradziad, który swojego czasu wydał ją był za Tanmuka, przeniósł się właśnie między gwiazdy, a stało się to na skutek silnego wzruszenia, spowodowanego wiadomością o nagłej śmierci następcy tronu. Syn tego ostatniego, a rodzony ojciec Mdan, Kneh Pierwszy, objął więc władzę niesłychanie młodo, co już samo przez się zapowiadało wielkie zmiany w państwie. I rzeczywiście na dworze w Lhed panował ruch i rozgardiasz, jakiego tam od pokoleń nie pamiętano. Kuliste kształty Tmutów, pędzących tam i sam z rozkazami nowego władcy i jego dostojników, przez parę pierwszych dni bawiły Mdan, która odwykła już od widoku swoich rodaków: wyglądało to tak, jakby ktoś bezustannie zsuwał z nici nanizane perły i rozsypywał je po pochylniach. Ale na dworze kręciło się też więcej obcych niż kiedykolwiek przedtem. Kneh szczególnie faworyzował Feinu, pajęczonogich żeglarzy, o których Mdan wiedziała, że stanowią nieocenione kadry wszystkich wywiadów na świecie – ale i że potrafią służyć wszystkim wywiadam jednocześnie.

Jadąc do ojczyzny Mdan nie miała żadnych planów. Była

zmęczona tym krótkim wprawdzie, ale wyczerpującym okresem pracy dyplomatycznej i mając go już za sobą, nie pragnęła po raz drugi wyciągnąć podobnego losu. Osiągnięciami mogła się oczywiście poszczycić, ale nie nadmiernie wielkimi: o to także zadbała starannie. Zdobyła dla Tmutów pewne koncesje na obszarze Dżugne, ale to ich tylko zrównało z prawami Feinu czy Weha. Uzyskała to, że Tanmuk nie wtrącił się do wojny Tmutów z Galgal-pa'asz, mimo że ci ostatni prosili go o interwencję; ale Tanmuk wiedział bardzo dobrze (o czym do końca nie wiedzieli Tmutowie), że legendarny skarbiec Galgal-pa'asz jest już pusty i że ta wojna nie przyniesie kulistemu ludowi nic oprócz strat i sławy. Wreszcie Mdan doniosła bez zwłoki o nadchodzącym końcu imperium Tanmuka – ale to ze świadomością, że pradziad będzie się starał raczej tę pogłoskę dementować, niż wykorzystywać: prowadził politykę szermowania imieniem potężnego protektora częściej jeszcze niż ostrzem broni.

Tak więc Mdan miała prawo się spodziewać, że przypadnie jej w udziale zwykłe życie rodzinne. Tymczasem wpadła w Lhed w sam środek gorączkowych przygotowań i musiała codziennie uczestniczyć w naradach wojennych ojca: odpowiadać po raz dziesiąty i dwudziesty na te same pytania i wyszukiwać w pamięci skrawki informacji, które tak niedawno z ulgą starała się z myśli usunąć.

Buntowała się też w duszy przeciw temu. Kiedyś, o wiele później, Tagun, ucząc się języka Tmutów, spróbował przetłumaczyć na swoją własną mowę ulubioną pieśń Mdan, mianowicie Pieśń o Fali prastarego poety Kerga. Miał z tym, nawiasem mówiąc, mnóstwo kłopotów, gdyż język Tmutów nie zawiera form czasownikowych, które zastępuje traktowanymi jak rzeczowniki nazwami czynności, a w dodatku ton i długość głosek mają w nim wpływ na znaczenie. Prosty, dosłowny przekład refrenu brzmiał więc mniej więcej tak:

Fala – fala – fala.

Fala – faala – faalaa.

Cisza – cisza.

Co oczywiście dla kogoś nieobeznanego z logiką języka Tmutów pozostawało równie niezrozumiałe jak przed przetłumaczeniem. Toteż Tagun z żalem odstąpił od rytmu i niemożliwej do oddania gry akcentów i przełożył tak:

*Fala nie płynie sama,
większa za nią nadchodzi.
Tylko z ciszy jest cisza.*

Otóż Mdan czasem (ale tylko prywatnie, po ukończonych naradach) śpiewała tę pieśń ojcu, czyniąc z niej jeden z argumentów, jakimi usiłowała odwieść go od planów wojennych.

– Za falą płynie fala – mówiła – za podbojem podbój, a za władztwem jeszcze mocniejsze władztwo. Co przyjdzie twojej słonecznej postaci z panowania nad wszystkimi lądami stąd aż do Dżugne? Tylko to, że tym prędzej nadciągnie za tobą następny zdobywca, który z twoim państwem uczyni to samo: bo im większa fala, tym większa i ta, co idzie za nią.

Ojciec czasem się gniewał i nazywał ją Mren („mdan” znaczy księżyc w pełni, a „mren” – księżyc tuż przed zaniknięciem, cieniutki obrąbek, zaprzeczenie świętej kulistości) – a czasem śmiał się z niej, że po króciutkim pobycie u istot jednodniowych wróciła z sercem starszym od jego serca. Potem albo wracał do swoich planów i roztaczał przed nią obraz przyszłej (jak to nazywał) Godziny Tmutów, albo wzywał feineńskich pieśniarzy, co wychodziło na jedno, gdyż ci śpiewali tylko pieśni żagli, pieśni dalekich dróg i morskiego wichru. Kneh Pierwszy w ciągu nieobecności córki najwyraźniej zmienił się w zdobywcę.

I właśnie ta zmiana ją dziwiła. Dawniej, za jej pamięci, polityka w ogóle dla niego nie istniała. Był natomiast zapalonym myśliwym i potrafił spędzać całe miesiące na samotnych wyprawach z Direm–Łowcą. Dir–Łowca nie był Tmutem, trudno właściwie było powiedzieć, kim jest; w każdym razie od jakiegoś czasu, też właściwie nie bardzo wiadomo od kiedy, mieszkał na północ od Lhed, na skalnym brzegu morza. Wbrew rozpowszechnionym w okolicy plotkom, które czyniły z niego sługę ciemności, jeśli nie zgoła pomiot Czarnego Brata, okazał się świetnym towarzyszem

łowieckich wypraw i Kneh ogromnie go polubił. Mdan po powrocie dziwiła się nawet, że go nie widać na dworze.

Potem wpadło jej na myśl, że jeśli kto, to może Dir właśnie ma jeszcze na ojca tyle wpływu, żeby spróbować zachwiać jego decyzją. Czy będzie chciał? Skoro najwyraźniej nie bierze udziału w nowym życiu swego przyjaciela, można wnioskować, że trwa w dawnych upodobaniach, tych, które ich kiedyś zbliżyły. Mdan przez jakiś czas próbowała zasięgnąć wiadomości, nawet rozmowy z ojcem naprowadzała na temat Łowcy, ale to ojcu z niewiadomych przyczyn kojarzyło się najczęściej z tematem dla niej przykrym, bo z jej własną planowaną rolą w wyprawie. Kneh bowiem, jak się okazało, nie miał zamiaru pozostawić odłogiem doświadczenia córki: po zdobyciu Dżugne Mdan miała z ramienia ojca rządzić tą dobrze już sobie znaną krainą. I było jeszcze daleko nie tylko do zwycięstwa, ale nawet do rozpoczęcia wyprawy, kiedy król ustalił, że dla okazania pogardy zwyciężonym (był to przecież jego odwet za wiek zależności) będzie się nimi rządzić nie ze stołecznego Dżug-byru, ale z oddalonej o dwa dni drogi od ich brzegów Wyspy Mgieł. Tam też ma się znajdować główna baza wypadowa przed ostatecznym atakiem. A Mdan powinna...

Więc wysłuchiwała raz jeszcze, co powinna przemyśleć, zbadać i zarządzić w ciągu najbliższego ćwierćwiecza, potrzebnego na przygotowania, i podczas samej wyprawy, i nawet w końcu podczas rządów. Wywnioskowała jednak z tonu rozmowy, że ojciec nie pokłócił się z Direm, tylko po prostu przestał jeździć na polowanie i tak pomału o przyjacielu zapomniał. Tym łatwiej byłoby pewno dogadać się z tym przyjacielem. I należało do niego iść.

Pomimo to Mdan zwlekała z tą wyprawą przez kilka lat. Zważywszy długość życia Tmutów, nie było to bardzo wiele, ale jednak było; a powodów należy szukać nie tylko w trudności wymknięcia się spod Tęczowej Kopyły i znalezienia jakiegokolwiek chętnego towarzysza do takiej podróży, ale i w półświadomych obawach samej Mdan. Najtrudniej pokonać ten strach, który nie płynie z jasnych i wyraźnych wiadomości, ale z dawno zapomnianych bajek.

Aż wreszcie któregoś dnia – a był to pierwszy dzień wiosny i tego rana w ogrodzie po raz pierwszy odezwały się ptaki – Mdan postanowiła działać. Wszystko poszło jak z płatka: ojciec zgodził się bez protestu na jej całodzienną nieobecność, a Ngun, dowódca gwardii, tym razem nie miał nic przeciwko morskiej przejażdżce. W towarzystwie wyznaczonego przezeń oficera imieniem Khu Mdan wsiadła do niewielkiego dysku (spacer miał być zupełnie prywatny i w miarę możliwości incognito) i szerokimi pochylniami stołecznego miasta przejechała do portu. Niebo było ciemnobłękitne, morze gładkie. Z portu, który leżał nieco na zachód od głównych dzielnic miasta, bo w głębi krzywej zatoki, gdzie zbiega łagodnie spływały ku wodzie, widać było wyraźnie szare kopuły stolicy, wznoszące się rzędami coraz wyżej i zwieńczone tęczową pokrywą pałacu; a powietrze było tak przejrzyste, że chyba nawet motyl, gdyby znęcony barwami usiadł na samym szczycie królewskiej kopuły, zostałby zauważony z daleka jako jej dodatkowa ozdoba.

Khu, który był już nie pierwszej młodości, zmęczył się – prawdę mówiąc – drogą do portu. Lądowe dyski Tmutów poruszały się w najnaturalniejszy sposób, bo przez przemieszczanie środka ciężkości, ale właśnie obowiązek tego przemieszczania (czyli rola napędu) spadał na jednego z jadących. Toteż Khu ucieszył się w porcie, że z przedstawionych sobie łodzi Mdan wybrała nie wodny dysk (niezatapialny, lecz powolny i trudny w obsłudze), ale skrzydlate czółno feineńskie. Wprawdzie skrzydła przy bezwietrznej pogodzie były nieprzydatne, ale dwaj Feinu stanowiący załogę czółna byli wprawnymi wioślarzami. Mdan umieściła się na wysokim dziobie łodzi i przez dwie godziny – a płynęli prosto w morze – nie myślała właściwie o niczym, ciesząc się tylko słoną świeżością powietrza, światłem rozpryskiwanej wody, blaskami nieba na morzu i morza na niebie. Łądu dawno już za nimi nie było widać, kiedy koło południa kazała zawrócić.

– Morze służy twojej słonecznej postaci, księżniczko – powiedział jeden z Feinu – Patrz, zrywa się wiatr południowy.

Istotnie nadlatywał ciepły powiew, miękki jak puch gołębia,

a rozweselający jak wino. Łódź była oprzędzona linami; teraz obaj żeglarze błyskawicznie rozciągnęli białe skrzydło i nastavili je skośnie, by móc wziąć kurs powrotny na zachód.

– Polecimy jak grzebień fali – powiedział znowu Feinu – Lepiej będzie twojej słonecznej postaci cofnąć się trochę od sztaby. Bardzo bryzga.

– Przecież to ledwie tchnienie, iskry by nie zgasiło – odpowiedziała Mdan.

– Skoro raz powstał, będzie rósł. Na tych morzach pierwszy raz to widzę, ale wiatr południowy wszędzie jest taki sam, jak wiadomo. Patrz, jak wypełnia żagiel.

Dla planów Mdan była to szczęśliwa okoliczność, ponieważ szybki powrót dawał jej więcej czasu na odszukanie siedziby Dira-Łowcy i na rozmowę z nim. Obejrzała się: Khu już dawno się zdrzemnął, ukołysany pędem i zmęczeniem. Powiedziała cicho:

– Sterujcie trochę na północ od portu. Chcę jeszcze obejrzeć Skały Dira.

Feinu były cudownie trzeźwi, może po prostu za dużo na świecie widzieli rzeczywistych dziwów i strachów, żeby wierzyć także w te zmyślane. Zmienili więc kurs stosownie do polecenia, co tym bardziej ułatwiało bieg łodzi. Ten pęd po wzbierającej fali był jedną z najcudowniejszych chwil w całym życiu Mdan. Czuła się ptakiem i rybą zarazem, czuła bezkres lotu i świeżość kąpieli. Miała jednak także wrażenie, że gdyby zamiast pędzić z przednią strażą wiatru, zdołała się zatrzymać i odwrócić przodem do nadlatującej jego siły głównej, byłoby to jeszcze cudowniejsze, tak cudowne, że nie wiadomo, czy po czymś takim można by w ogóle dalej żyć.

Trwało to może pół godziny, bo aż do momentu, w którym Mdan zobaczyła wychylający się zza horyzontu ciemny, postrzępiony brzeg – ale ku jej zdumieniu leżał on nie po lewej stronie łodzi, a po prawej.

– Patrzcie! Tam! – zawołała – Czyżby zniosło nas aż do Megni?

Feinu siedzący przy sterze wstał, spojrział i nie odpowiadając księżniczce, krzyknął coś w swojej mowie do towarzysza. Ten rzucił się do lin. Obaj byli w tym momencie bardziej niż

kiedykolwiek podobni do olbrzymich pajaków kosaczy i Mdan patrzyła ze zdumieniem, jak na jej oczach, szybko jak myśl, nad łodzią pojawiło się jeszcze drugie białe skrzydło i targnęło masztem do szybszego lotu. Wtedy dopiero Feinu przemówił:

– Podobno twoja słoneczna postać ma przodków między gwiazdami. Proś ich, księżniczko, żebyśmy wyszli z życiem.

– Jak to? Gdzie jesteście?

– Jesteśmy dopiero w połowie drogi i ląd niedługo się nam ukaze, ale czy zdążymy do niego przybić, to inna sprawa. To, co zbliża się po prawej stronie, to nie ziemia, tylko czoło północnej wichury. Dwa wichry idą na siebie wzajemnie: ostatni raz widziano coś takiego za czasów mojego prapradziada, który też znalazł się, jak my, pośrodku...

– I co?

– I zginął.

Mdan przyszło na myśl, że może nie byłoby tak bardzo źle zginąć teraz właśnie, w locie, i tak z pamięcią tego lotu wejść między gwiazdy; ale wybór nie należał do niej, a dwaj Feinu mieli najwyraźniej wielką ochotę żyć dalej – i wszelkie prawo do tego. A w chwilę później i na nią przyszedł strach: śmiertelne przerażenie. Granatowa chmura po prawej stronie, zjeżona błyskawicami, rosła w oczach; fale, dotąd długie i gładkie, nagle spieniły się, skręciły, podzieliły na krótkie odcinki i zaczęły się zderzać ze sobą, pędząc pod różnymi kątami. W tym momencie opadły żagle: przez chwilę powietrze było spokojne i tylko morze kotłowało się chaotycznie. Wtedy to Mdan zobaczyła przed dziobem łodzi ląd: jakże był daleko! Na kopule pałacu, którą już było widać znad horyzontu, tańczyły jeszcze blaski słońca, ale teraz nie był to jasny koloryt pogodnego dnia, tylko światło odbite od czoła burzy, przyćmione, bogate i groźne.

A pułap burzy był już prawie nad łodzią i nagle targnął nią lodowaty wiatr siekający deszczem. Khu, wreszcie oprzytomniały, przeszedł prosto ze słodkiego snu w największe przerażenie i stracił zupełnie głowę – o ile oczywiście można takie wyrażenie stosować do Tmutów. Zaczął się miotać po tyle łodzi, zwiększając

niebezpieczeństwo. Mdan na prośbę żeglarzy przywarła do dna u stóp masztu. Tam była najbezpieczniejsza, ale nie mogła widzieć, ile jeszcze pozostało drogi: mogła tylko czuć drżenie łodzi szarpanej wirami i drżenie masztu pod kotłowaniną sprzecznych porywów wichury.

Fenu tymczasem przechodzili samych siebie w manewrowaniu żaglami. Słowa komendy, raportu czy ostrzeżenia, długie i melodyjne jak wszystkie w ich języku, płynęły nieprzerwanie, Mdan zdawało się, że to te dźwięki rozluźniają i napinają liny zależnie od zmieniającej się co chwila potrzeby. Nagle ich rytm przeszedł w urywane pokrzykiwanie i Mdan nie od razu zdała sobie sprawę, że sternik woła w jej własnym języku, i najwyraźniej chce czegoś od niej.

– O co chodzi? Powtórz! – krzyknęła.

Głos żeglarza z trudem się przedzierał przez wojenną wrzawę dwu wiatrów.

– Księżniczko, jesteśmy blisko. Jesteśmy na północ od portu, naprzeciwko Skał Dira. Ale tu nie można lądować, zresztą koło lądu wiatr północny jest wyraźnie silniejszy. On nas doprowadzi, musimy poddać się jemu...

– Więc róbcie, co potrzeba! Czemu pytasz?

– Wiatr północny żąda ofiary...

– Dobrze! Co mam obiecać?

– Nie takiej ofiary!

Wiatr zatargał łodzią, coś strzeliło u góry, jakby kamień uderzył o kamień: to pękła lina. Feinu wpiął się w olinowanie, coś tam ciągnął i napinał, nie przestając krzyczeć nad głową Mdan:

– ... Spośród nas! Ten z tyłu najpierw, a jeśli to nie starczy, to po kolei my dwaj! Jeśli zostaniesz sama, trzymaj tylko ster!

– Nie pozwalam! – krzyknęła Mdan – Zawracaj! Poddajemy się wiatrowi południowemu!

Znowu coś strzeliło, tylko o wiele silniej, i Mdan, spojrzawszy wzwyż, zdążyła jeszcze zobaczyć, jak ich górny żagiel odlatuje w morze. Potem widziała, jak jeden z Feinu strąca do wody biednego, półżywego z przerażenia Khu. Krzyczała jeszcze:

Zabraniam! Zabraniam! – kiedy obaj żeglarze, nie zwracając już na nią uwagi, zawiśli w olinowaniu, coś tam snując, trzymając, wzmacniając... Chyba bardzo krótko potem, ale tego nie była pewna, wiatr północny dosłownie wdmuchnął ich łódź do portowej zatoki. Tak się skończyła morska przejażdżka Mdan.

I tak też się skończyły jej próby rozmówienia się z Łowcą.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dżauri naucza

Agwen Imanu, mianowany gubernatorem Wschodniej Połaci, był jednym z pierwszych, którzy zdali sobie sprawę, że Dżauri Ogai to nie Or i że ich własne zadowolenie z wydarzeń, których są świadkami, nie jest szczęściem wywołanym przez spełnienie się prastarych marzeń Ludu, ale przeciwnie, aprobatą całkowitej zmiany dotychczasowych pojęć i pragnień. I właśnie tę zmianę uznawał za pożyteczną, jeśli nie zgoła zbawienną.

Odkąd Dżauri Ogai wszedł na Górę i stamtąd zaczął wydawać rozkazy, było to jakby nagle pękły lody na strumieniach, jakby z dnia na dzień drzewa okryły się liśćmi. Cały lud tak to odczuwał. Nowy władca zresztą tyleż pouczał, co i rozkazywał, a ta nowa nauka była jak przyspieszenie bicia serca: rozgrzewała, pobudzała do życia.

– Weźmiecie soku z rośliny gleb-dir, która u was nazywa się hiboe, i zabarwicie nim część waszej przędzy na kolor maku. Potem weźmiecie kory z krzewu min i zabarwicie nim znowu część na kolor kaczeńca. To się nazywa: kolor czerwony i żółty. Potem...

I po paru dniach cała Wyspa upstrzyła się kolorowymi szatami Ludu. Kobiety porównywały swoje osiągnięcia: jednym kolory wyszły lepiej, innym gorzej. Mężczyźni usiłowali dojść przyczyn. Dzieci biegały podniecone: każde chciało, żeby to jego matka barwiła najpiękniej.

A władca uczył znowu:

– Zetniecie do każdej łodzi po jednej prostej jodle. Osadzicie ją pionowo i umocnicie linami. Fingai, którzy mieszkają w Tengii, pokażą wam, jak się to robi. Tymczasem kobiety niech utkają do każdej łodzi skrzydła z gęstego płótna: kobiety Fingai, które

mieszkają w Tengii, pokażą wam, jak się to robi. Na takich łodziach nauczą się pływać daleko.

Dotychczas rybacy stanowili zaledwie jedną piątą Ludu, a pracę ich uważano za najmniej szacowaną; starali się też nie odpływać nigdy od Wyspy poza zasięg wzroku, żeby zawsze móc wrócić prędko i wziąć udział w Przejściu. Teraz nagle zaczęto im zazdrościć, a kiedy oni i ich żony udali się wielkim pochodem do długonogich mieszkańców Tengii na naukę, niejedni z Ludu ruszyli do lasu po budulec na łódź. Kobiety namawiały do tego tych wszystkich, którym to samemu nie przyszło do głowy, a dzieci przechwalały się, czyj ojciec najdalej dopłył. Władca jednak po miesiącu wydał rozkaz, aby ci wszyscy, którzy dotąd nie mają łodzi, nie budowali ich bez jego pozwolenia. W ten sposób dwie trzecie ludności pozostały przy rolnictwie, ale patrzyły na szczęśliwców z nieznaną dotąd na Wyspie zazdrością.

Następny edykt ogai stał się przynajmniej dla niektórych okazją do wybicia się pomimo braku łodzi. Brzmiał tak:

– Waszym dzieciom każecie śpiewać. Z każdej wsi wybierze troje: te, które śpiewają najpiękniej. Te przyślecie na Górę, gdzie będą mieszkać ze mną. Będą się tu uczyć mówić tak jak Obcy: jak Szentu i Dżugidowie, i Fingai... Te dzieci będą miały suknie najpiękniej barwione, a kiedy dorosną, będą wam wydawały rozkazy.

Nikt z Ludu nigdy się nie uczył żadnej obcej mowy, bo i po co? Teraz jednak, po odejściu wybranych dzieci na Górę, ten i ów poszedł po rozum do głowy i powiedział sobie, że przecież nie tylko w stolicy, ale i w obrębie gminy potrzebny jest ktoś, kto by wydawał rozkazy. Toteż wkrótce po wsiach zaroilo się od Obcych, którzy uczyli Lud swoich języków. Dzieci robiły z tego najprzedziwniejszą lingwistyczną mieszankę.

To wtedy Tagun i Nulani, których również zaliczono do wybranych, odmówili pójścia z innymi dziećmi. Ojciec, lojalny wobec nowego rządu, zaprowadził ich tam siłą; a kiedy się okazało, że trwają w buncie i uczyć się nie chcą, sam Dżauri wezwał ich przed swoje oblicze.

– Będę nauczał mój lud – powiedział uroczyście, a wtedy tłum, który już codziennie zbierał się na placu przed siedzibą władcy, zamarł w oczekiwaniu – Będę nauczał mój lud: pokażę mu nowe, szczytne obyczaje.

Przerwał i patrzył na tłum, ciesząc się jego zaśluchaniem. Wynagradzało mu to lata tułaczki i poniżenia. Za jego plecami budowniczości dobrani spośród różnych istot dociągali już mury jego zamku do wysokości pierwszego piętra według miary Dżugidów. Wszędzie leżały stosy obrobionych kamieni, co nie było zbyt stosownym tłem dla uroczystej audyencji, ale Ludowi to i tak imponowało. Zresztą zielone szaty stojących za władcą Ungany i Cuszira tworzyły jakby makatę za tronem. Początkowo Dżauri chciał mieć przy sobie w takich chwilach także swoich czterech starych gwardzistów, ale mu Ungana wytłumaczył, że ich obecność rozpraszałaby tylko uwagę Ludu i odrywała ją od jego osoby; tym bardziej, że nikt by jeszcze nie zrozumiał, po co ci czterej stoją tam z toporami, skoro przecież nie będą teraz rąbać drzewa.

Był to jeden z tych drobiazgów, o które codziennie można się było potknąć w tym dziwnym kraju, a Dżauri wiedział przynajmniej teoretycznie (bo jeszcze nie z doświadczenia), że władca takich właśnie potknięć przede wszystkim powinien unikać. Ungana i Cuszir bezustannie też hamowali jego pośpiech i Dżauri musiał przyznać, że radzą mądrze i skutecznie, i że dzięki ich radom te cztery miesiące, które już upłynęły od jego przybycia, były jak cztery milowe kroki na drodze do upragnionego celu. Pomimo to zżymał się bezustannie, że ta droga jest aż tak długa. W każdym innym kraju po przewyciężeniu trudności dyplomatycznych mógłby zaciągać od razu; tutaj język tubylców nie zawierał w ogóle pojęć takich jak zaciąg, wojna, nawet zabójstwo. Należało je dopiero zaszcześcić i Ungana słusznie radził, żeby z tym zaczekać do pierwszego wypadku jawnego nieposłuszeństwa. Wbrew jednak jego radom Dżauri uznał, że wystarczy do tego nieposłuszeństwo dzieci.

– Słuchajcie! Władca powinien nauczać, a lud powinien według jego nauk postępować. Tak u was było zawsze. Jeżeli jednak są

tacy, którzy go nie słuchają, wasze prawo nie ma na to dotąd rady. Zostawia się takich ich własnym losom, dopóki by sami nie zrozumieli swego błędu. Wasze prawo było zawsze bezradne, a wasz władca słaby. Nie tak jest u ludów skrzydlatych i kolorowych. One dążą do celu szybko, a ich władcy rozporządzają bronią, która nazywa się kara.

Dżauri użył tutaj słowa zupełnie nowego, którego dotąd nie było w języku Ludu: omahine, coś jakby „niedola – cena”. Ungana był autorem tego słowa: przyniósł je na naradę już gotowe, tak jak zwykle na wszystko miewał odpowiedź gotową. Czasem robiło to na Dżaurim niemiłe wrażenie: jakby Ungana recytował z pamięci jakieś stare formuły prawne albo rady mędrców, czekające w kurzu od stuleci na właściwe zastosowanie.

– Tak mówią władcy kolorowych ludów: kto by zawinił, tego spotka kara. A im bardziej zawini, tym większa będzie kara. Wtedy inni zastanowią się nad tym i nie pójdą za jego przykładem. Słuchajcie! Oto ogłaszam potrójne prawo, prawo Trzech Zasad: „Jeżeli ktoś z Ludu, przez władcę nieupoważniony, sza-ar...

Cichy głos Ungany zza jego ramienia:

– Przyśpieszy koniec życia.

– ... przyśpieszy koniec życia innego spośród Ludu, takiego do mnie przyprowadzicie, a ja go osądzę i przyśpieszę koniec jego życia.

Jeżeli kto z Ludu, przeze mnie nieupoważniony, powie do drugiego z Ludu: »Twoje jest moje«, i weźmie tę rzecz, albo nic nie powie, ale weźmie – takiego do mnie przyprowadzicie, a ja go osądzę i odbiorę mu tę rzecz i wiele innych.

Jeżeli kto z Ludu, przeze mnie nieupoważniony, powie do drugiego z Ludu: »Ty dla mnie«, i będzie mu wydawał rozkazy, i każe mu pracować dla siebie, takiego do mnie przyprowadzicie, a ja go osądzę i schowam go w miejscu ciemnym, gdzie nie będzie oglądał słońca, i tam mu każę pracować dla mnie”.

Za każde więc nieposłuszeństwo będzie kara. Jeżeli ktoś na wschodnim brzegu Wyspy...

Ungana skrzywił się. Dżauri w tym swoim pośpiechu burzył

jedną ręką to, co zbudował drugą. Prawo Trzech Zasad miało w ich planach służyć przede wszystkim temu, żeby Lud uświadomił sobie po raz pierwszy możliwość skracania cudzym kosztem drogi do powodzenia; miało stworzyć pojęciowe podstawy pod przyszłe zróżnicowanie społeczne. Trzeba więc było poprzestać na ogłoszeniu teraz tylko tych zakazów, które były w rzeczywistości jeśli nie zachętami, to przynajmniej podsunięciem myśli. To natomiast, co naprawdę chcieli zwalczać, mianowicie tradycje Ludu, należało zostawić na kiedy indziej, a najlepiej – prześladować bez wyraźnego formułowania żadnych zakazów. Mieszając jedno z drugim zwalniało się tylko bieg przemiany.

Przeciw temu zwolnieniu sam Ungana zresztą nie miał nic. Przemiana szybka i płytka mogła służyć tylko celom Dżauriego, powolna zaś i dogłębna – jego własnym. Pomimo to drażniło go to polityczne partactwo. Zwrócił uwagę na Czuszira i wyczuł w nim podobną reakcję, ale jednocześnie zwiększoną niechęć do siebie: najwyraźniej weszli już ze starym Dżugidem w to stadium znajomości, w którym nic tak nie denerwuje jak zbieżność poglądów.

Dżauri tymczasem ogłaszał uroczysty zakaz noszenia białych płaszczy, palenia znicza i gromadzenia się na Placu Wschodnim. O dwojgu dzieciach, które były formalną przyczyną całego tego wystąpienia, zupełnie zapomniał.

– ... Takiego do mnie przyprowadzicie, a ja go ukarzę. I nie będziecie mnie więcej nazywać „ogai”, jak nazywacie każdego ojca rodu, ale „Tanu” (jeden). Powiedziałem.

Byłby odwrócił się i odszedł, gdyby nagle tuż przed nim nie zjawił się Inutu. Chłopiec był oczywiście ubrany na biało: głowę, jak dawniej robili dorośli, nakrył brzegiem płaszcza, i stanawszy na środku, oznajmił głośno, drżąc z wysiłku, by okazać zupełny spokój:

– Idę na Wschodni Plac. Kto ze mną?

Zapadła cisza. Dżauri byłby najchętniej kazał na miejscu ukreślić łeb bezczelnemu smarkaczowi, ale nie mógł zrażać sobie Ungany, i w dodatku było tu przecież jeszcze dwoje tamtych – przypomnieli

mu się teraz – a masowe ukrećanie łbów niedorostkom, jak wiedział z historii, na ogół źle się kończy. Co innego było jednak powściągnąć gniew tamą rozsądku, a co innego znaleźć szybkie wyjście z sytuacji, i to jeszcze w miarę możliwości z honorem. Przedłużającą się ciszę przerwał spokojny głos Ungany:

– Kto z tobą? Tacy jak ty, z tobą, i tylko tacy!

Na plac spłynęła ulga niemal dotykalna. Ungana zwrócił się teraz do władcy:

– Tanu, oto właśnie stało się jasne, że nieposłuszeństwo twoim rozkazom mogą okazać tylko głupie dzieci albo (co wychodzi na jedno) zdziecinniali starcy. Niechże więc tak będzie, niech Plac Wschodni zostanie dla takich! I niechaj cała reszta Ludu omija ich z pogardą!

– Tak będzie – powiedział Dżauri krótko i odwrócił się, jakby sam pierwszy chciał dać przykład tej pogardy. Skierował się ku bocznej ścieżce, która zakosami po stromym zboczu prowadziła w dół do dworu Ungany. Musiał tam jeszcze mieszkać, póki zamek nie stanął pod dachem. Ungana, nie spojrzawszy już więcej na syna, ruszył za władcą; Czuszir szedł trzeci. Idąc sapał i burczał, tyleż może z wysiłku, co i ze złości, bo zejście było strome; wreszcie nie mógł już dłużej zachować swych myśli dla siebie.

– Czyż ci nie mówiłem, Dżauri-gwe – odezwał się po fingajsku – że jedynym niebezpiecznym mieszkańcem Wyspy jest on właśnie? Za dobrze sobie radzi!

– Ale to nie ty znalazłeś wyjście! – rzucił Dżauri.

– Sam byś je znalazł w chwilę później. Nie uzależniaj się tak od niego.

Ungana szedł w milczeniu, udając, że nie rozumie. Pierwszy raz zresztą tamci dwaj mówili o nim przy nim, nawet w jakiejś obcej mowie. Groźba, która wisiała nad nim, wyraźnie rosła, a przychodziła zdecydowanie za wcześnie. Uznał, że musi na czas jakiś uspić podejrzliwość Czuszira.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Na pustym placu

Kiedy Ungana mówił o zdziecinniałych starcach, użył liczby mnogiej dla podkreślenia ogólnej zasady, ale w rzeczywistości miał na myśli – i mógł mieć na myśli – tylko jednego: Dejna Imanu oczywiście. Wszyscy wiedzieli, że dawny przełożony Sług Ognia pełni teraz samotnie i nieprzerwanie swoją służbę, nie oddalając się od Znicza, a przynajmniej od stojącego na skraju placu domku strażników. Nikt tylko nie wiedział i chyba nikt się nie troszczył, z czego stary tam żyje; tyle że ci wszyscy, którzy mieli coś do roboty na polach i drogach w zasięgu wzroku, mogli miesiąc po miesiącu przekonywać się naocznie, że płomyk Znicza pali się nadal, a dookoła postumentu nadal snuje się biały cień, ledwo na białym tle placu widoczny. Ale nie patrzyli w tę stronę zbyt długo. Nie ze strachu: tego się dotąd nie nauczyli. Raczej z nadmiaru innych zainteresowań.

Dejno zaś już tymczasem zapomniał o patrzeniu w głąb Wyspy. Znicz i morze pochłaniały całą jego uwagę. Z podtrzymywaniem ognia nie miał trudności: przez całe długie życie Taguna Imanu zbierano paliwo i był go wielki zapas w domku straży. Nad dopalającym się żarem Dejno stawiał co rano wymyślną konstrukcję z drewniek, na której zawiłe kształty, pełne tak symbolicznych aluzji, jak i głębokiej znajomości siły płomienia przy każdej wilgotności i pogodzie, składały się wieki Oczekiwania. Budował więc Skalę przy wietrze północnym, spiczastą Fokę przy zachodnim, Wieżę przy wschodnim, a Brzożę przy południowym; inaczej w jasnym słońcu, inaczej we mgle. Potem siadał twarzą do morza, plecami oparty o postument, patrzył i czekał. Czasami nucił cicho, sam nawet o tym nie wiedząc. Czasami jego dłonie,

zwykle splecione, rozsuwały się w geście ni to bezradności, ni to oddania. Czekał.

I było tak, jakby w niego jednego zlała się nagle cała ta tęsknota, która dotychczas musiała wystarczyć na obdzielenie liczego Ludu. Pamięć i myśli o wszystkim innym powoli tracił. Gdzieś na powierzchni uwagi tłukł się jeszcze ból i żal spowodowany przez straszne wydarzenia, ale Dejno coraz bardziej i coraz wyłącznie żył w głębi, a tam była już tylko tęsknota. Żył więc tęsknotą i utożsamiał się z tęsknotą, i coraz bardziej stawał się sam po prostu wielką tęsknotą, palącą i śpiewną.

Tagun, Inutu i Nulani zastali go tak właśnie siedzącego pod Zniczem i mieli z początku trochę trudności z porozumieniem się z nim. W ciągu ostatnich miesięcy Dejno wyraźnie przygłuchł i odzwyczaił się od czyjegokolwiek towarzystwa. Kiedy jednak w końcu zrozumiał, że dzieci mają zamiar zostać przy nim, ożywił się znacznie. Zerwał się na nogi, zaprowadził je do domku straży, tam wyznaczył im miejsca i rozdał obowiązki takie, jakie zwykle należały do Sług Ognia. Zauważyli jednak, że przez cały ten czas ani na chwilę nie odwrócił się zupełnie plecami do morza. Mniej więcej po godzinie radosnej krzątaniny umilkł nagle i oparł się o ramię stojącego najbliżej Inutu.

– Tak, tak... – powiedział po chwili – Chciałem... aha. Przecież musimy czekać.

I tam gdzie stał, na środku placu, osunął się na ziemię, siadając na podwiniętych nogach. Wpatrzył się w morze i przestał odpowiadać na zwracane do siebie pytania. Dzieci przysiadły obok niego stropione.

– Zramolał do reszty – powiedział cicho Inutu – Żeby tylko jeszcze zdążył nas nauczyć wszystkiego.

– Chyba zasnął – szepnęła Nulani.

– I co będzie?

– Nic. Kiedyś przecież się obudzi. Najlepiej wy obaj idźcie łowić ryby, a ja tu zostanę przy nim. Wiatr mu miecie piasek w oczy, trzeba go osłaniać.

– A uważaj dobrze, co powie po przebudzeniu – powiedział Tagun

wstając.

Ale Dejno nie odezwał się już ani się nie ruszył aż do wieczora. Chłopcy wrócili z połowu i z kolei oni usiedli przy nim, podczas gdy Nulani przygotowywała posiłek. Ale nawet kiedy wróciła z misą, stary nie reagował na żadne zaproszenia. Zjedli więc bez niego i rozciągnęli się na ziemi. Słońce schodziło już za Górę za ich plecami; fale, jak zwykle o zachodzie, przyglądały grzywy, mały, cichły. Powietrze napełniło się liliowym półświatłem, a morze stało się jak skóra węża o łuskach z gładzonej miedzi, pełnącego coraz wolniej. Wreszcie umilkł nawet szum brzoź: południowa bryza, która utrzymywała się przez cały dzień, zamarła.

I wtedy Dejno powiedział nagle:

– Już niedługo.

Dzieci zerwały się z ziemi:

– Co, ogai? Co niedługo?

A on uśmiechnął się jak ktoś, kto na przekór ciekawości otoczenia starannie ukrywa przygotowaną niespodziankę.

– Już niedługo nauczę was wszystkiego. Zaczniemy od jutra.

Rzeczywiście następnego dnia, ledwo słońce weszło, zebrał ich wokół Znicza i zaczął ich uczyć, jak się buduje Fokę: Fokę tym razem, ponieważ wiatr od rana zerwał się zachodni. Połowę tego dnia spędzili na budowaniu próbnych Fok na różnych wystawionych na wiatr kamieniach; Dejno chodził od jednego z dzieci do drugiego, poprawiał i wyjaśniał. Był jakby trochę zdziwiony, kiedy około południa Nulani zatroszczyła się o coś do jedzenia; zwolnił ich wtedy natychmiast na obiad, ale sam żadnego posiłku nie przyjął.

– Naprawdę, nie jestem głodny – tłumaczył im z pewnym zawstydzeniem – I nie pamiętam już, kiedy ostatni raz byłem. To tak bywa na starość...

Kiedy wrócili, kazał im pozbierać drewnienka starannie i zanieść z powrotem do składu, ponieważ zbliżał się deszcz. Potem im jeszcze pokazał, jak w takim wypadku należy dodatkowo Znicz zabezpieczyć, a wreszcie polecił, żeby się schowali pod dach.

– Ale ty, ogai?

– Ja? – odpowiedział ze zdziwieniem – Tak, oczywiście... Ja też pójdę z wami.

Więc siedział z nimi, ale w proggu, nie tracąc z oczu morza, bitego teraz na drobne cząsteczki przez ulewę, jakby ktoś tłukł na świecące okruchy przezroczyste fingajskie naczynia. Milczeli długo, jak zwykle milczał Lud Wyspy dawniej, przed odmianą. Domek, jak wszystkie na Wyspie, miał nawet dach kamienny, po prostu ściany na pewnej wysokości sklepiały się ku sobie, aż się zetknęły ostrym grzbietem; toteż grubość kamienia tłumiła szum uderzeń deszczu i było tylko słyszeć wiatr targający brzożami. Nulani poddała się tej muzyce – byłoby jeszcze lepiej, gdyby mieli chociaż jeden szalán – i zagarnięta przez nią jak listek, pofrunęła na spotkanie radości. Tagun nawet nie słuchał wiatru: on takich pomocy nie potrzebował, by utożsamić się z Oczekiwaniem. Inutu patrzył z zazdrością na nich oboje, zasłuchanych, zapatrzonych, nieruchomych.

On sam kręcił się na kamiennej posadzce jak gdyby wiatr, wzmagający się na zewnątrz, docierał także i do niego. Z początku myślał, że za chwilę zacznie się jakaś rozmowa: to było całkiem oczywiste, na pewno Dejno ma im wiele do powiedzenia. Inutu mógłby słyszeć godzinami, wtedy potrafiłby siedzieć zupełnie bez ruchu, żeby nic z opowieści nie utracić. Zamknąłby oczy, skoro nie ma tu na co patrzeć, i cały by się zamienił w słuch. Nikt jednak nie zaczynał rozmowy i po jakimś czasie Inutu zrozumiał nagle, że ta cisza to nie jest tylko wstęp do czegoś, co oni tu przyszedli zrobić, ale właśnie sama czynność, sam cel. I to go przeraziło.

On dotąd przywykł albo bawić się z innymi dziećmi, albo siedzieć w wewnętrznych izbach Świerkowego Dworu, gdzie może i nie było gwarno, ale przynajmniej było barwnie i zajmująco. Buntował się dziecięcym buntem przeciwko temu bogactwu, ale do niego przywykł i teraz nieświadomie odczuwał jego brak. W kamiennym domku straży, wśród milczących Sług Ognia, nie było na czym zatrzymać uwagi i syn książęcy czuł ssącą pustkę, gorszą od głodu. Kiedy rzucił publiczne wyzwanie samemu Władcy i kiedy to się

skończyło przyprowadzeniem na Plac tamtych dwojga, czuł się jak wybawiciel i największy bohater na Wyspie; teraz zdał sobie sprawę, że właśnie on jeden z Ludu nigdy nie uczył się najważniejszego: Oczekiwania. Bo przecież miał być kiedyś księciem...

Zacisnął zęby i powiedział sobie, że wobec tego nauczy się teraz. A przynajmniej wytrzyma te godziny pustki – ile ich jeszcze będzie? Czy aż do zmroku? A już w każdym razie opanuje to nieskładne kręcenie się za plecami trzech nieruchomych postaci. Żeby to sobie ułatwić, oparł się o ścianę...

I po chwili spał już głęboko.

Następnego dnia było jeszcze gorzej: nie można było nawet budować próbnym figur Znicza, ponieważ deszcz lał od rana i użyte do tych ćwiczeń drewnianka nie nadawałby się już potem do właściwego celu. Dejno sam ustawił kolejną Fokę na palenisku, a później przez cały dzień trwała cisza, z rzadka tylko i na krótko przerywana.

I tak już odtąd płynęły dni. Przy zmiennych wiatrach uczyli się co rano budować Fokę, Wieżę albo Skałę, tylko do Brzozy przez długi czas nie było okazji. Po południu zawsze siedzieli w ciszy; pod Zniczem, jeśli była pogoda, albo w domku podczas deszczu. Inutu pobrał i schudł, zrobił się niecierpliwy i szorstki, ale trwał w swojej decyzji, chociaż czuł coraz wyraźniej, że go to może kosztować zdrowie, jeśli nie zgoła życie.

Któregoś dnia, kiedy w pewnym oddaleniu od innych wznosił mozolnie drewnianą Wieżę, Dejno podszedł do niego i zamiast jakiejś uwagi o robocie powiedział cicho:

– Gdyby strunę szalánu tak napiąć, dawno by pękła.

Chłopiec wyprostował się i chmurnie spojrział mu w oczy. Zrozumiał, ale nie odpowiedział. Był zaskoczony, że Dejno mimo ciągłego zapatrzenia w morze widzi tak dobrze i to, co się dzieje obok niego; poza tym słyszał w głowie starego ton litości i to go ubodło, tym bardziej, że właśnie litości nad sobą tak bardzo potrzebował. Więc milczał. A Dejno ciągnął dalej:

– Rozważ, może wystarczy, żeś tamtych przyprowadził. Może

dość, że Tagun zostanie tu po mnie. Bo ty sam... może nie wytrzymasz.

– Nie jestem gorszy. Wytrzymam.

Ale odtąd musiał toczyć ze sobą dodatkową walkę: żeby nie pójść jednak za radą Dejna Imanu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Słowo dane samemu sobie

Pewnego rana, mniej więcej w miesiąc po zamieszkaniu na Placu, Inutu zajęty był budowaniem Wieży w specjalnej odmianie przewidzianej na mglistą pogodę i na oczekiwany dopiero wiatr wschodni. Mgła była bardzo gęsta; Inutu nie widział dookoła siebie nic oprócz białej ściany, zza której dochodziły, bardzo zresztą wyraźnie, głosy jego towarzyszy. Tagun pytał o jakieś subtelności konstrukcji, Dejno mu odpowiadał. Nulani nie było słychać, i kiedy jakiś cień zarysował się obok we mgle, Inutu w pierwszej chwili myślał, że to ona; ale spojrzał uważniej i zobaczył ojca.

Ungana przesunął oczami po jego robocie. Nie wydawał się ani gniewny, ani podejrzanie serdeczny: spokojny po prostu i może trochę zmęczony. Zapytał, jakby go to mogło obchodzić:

– Dlaczego oni tam tak krzyczą?

– Dejno jest trochę głuchy – wyjaśnił Inutu – a we mgle głos lepiej niesie niż zwykle.

– Brzmi to jak kłótnia Fingajów w ostatniej fazie przed bójką – powiedział ojciec i w tym momencie Inutu odczuł jakąś radosną wspólnotę z nim, a obojętną obcość wobec tamtych głosów zza mgły. Trwało to jednak tylko chwilę, bo natychmiast potem Ungana – jak ktoś, komu nie zależy na łatwych triumfach – zadał to jedno pytanie, które musiało z nich zrobić znowu przeciwników:

– Jak długo jeszcze masz zamiar tu zostać?

Inutu nastroszył się od nowa.

– Do końca życia, jeśli będzie trzeba – odpowiedział.

Ojciec nie wydawał się tą odpowiedzią szczególnie przejęty. Usiadł obok i kazał sobie wyjaśnić zasady budowy. Głosy za mgłą ucichły tymczasem, i to stropiło Inutu. Zamilkł, bojąc się, że tamci

usłyszą i przyjdą, i zobaczą, z kim on rozmawia, i będą myśleli...

Ungana zapytał natychmiast:

– Czy ktoś ci zabronił mówić ze mną?

– Ależ nie! Nikt! Ja tylko... żeby nie...

Zanim zdążył wyplątać się z niezgrabnie zaczętego zdania, stało się to, czego się tak obawiał: szelest kroków, sylwetka we mgle. Nulani.

– Dejno pyta – zaczęła podchodząc, i w tej chwili poznała księcia. Skłoniła się płynnie jak fala i głos jej zabrzmiał radością:

– To ty, ogai? Jesteśmy ci winni wielką wdzięczność. Uratowałeś nas wtedy przed Władcą...

– Zdumiewające – powiedział Ungana. – Ileż ty masz lat, Nulani, że to już rozumiesz?

– Szesnaście, ogai. Ale do tego wystarczyłoby sześć.

– Nie wiem. Brak na to dowodów. – Nawet nie patrzył na Inutu mówiąc; i tak było wiadomo, o jakie dowody chodzi. – Ale o co pyta Dejno Imanu?

– Chciał wiedzieć, kto tutaj przyszedł. Powiem mu, że to ty, ogai. Czy pozwolisz podać sobie wody?

Ungana wstał.

– Chciałem tylko zobaczyć się z Inutu, korzystając z tej mgły – powiedział – Jeśli to będzie możliwe, będę czasem do was zaglądał, ale dzisiaj muszę już wracać.

Skinął głową synowi i zniknął we mgle, a Inutu nagle zapragnął pobiec za nim. Niemal już poderwał się z ziemi, ale się zawstydził: jeśli Nulani zobaczy... Kiedy się jednak obejrzał, stwierdził, że i Nulani już nie ma; jej głos usłyszał po chwili w stronie Znicza. Wtedy skulił się i zaczął płakać.

Przez całą resztę dnia był wściekły na siebie, na ojca i na Dejną Imanu. Ciszę zniósł tego popołudnia wyjątkowo dobrze: doszedł w jej czasie do trzech sprzecznych decyzji, obmyślił w najdrobniejszych szczegółach kilka planów zupełnie nie do pogodzenia i nawet nie zauważył, kiedy nadszedł wieczór.

A rano ucieszył się na widok bielejącej dookoła mgły, jak się już dawno z niczego nie cieszył. I ojciec rzeczywiście przyszedł znowu.

Byli zupełnie sami i było im dobrze ze sobą, tak dobrze, że Inutu nawet nie zauważył, kiedy zaczął mówić o sprawach najważniejszych; nawet nie wiedział, kiedy opowiedział ojcu wszystko, co go gnębiło, jak komuś, kto rozumie, podziela troskę i pomoże. A wyrzuciwszy to z siebie, uczuł ulgę i nawet jakby umocnienie na drodze, którą obrał. Niemalże już oczekiwał, że w odpowiedzi usłyszy jakąś radę, która do końca rozproszy wszelkie trudności.

Ojciec jednak powiedział:

– Próbujesz być czymś, czym nie jesteś i czym nigdy być nie miałeś. Nic dziwnego, że ci nie wychodzi, i nie twoja wina. Czy Dejno aż tak już zapatrzył się w morze, że tego nie rozumie?

– Dejno rozumie! – zawołał Inutu – Sam mi powiedział...

Urwał, bo pojął nagle, iż przed ojcem i przed sobą samym przyznał się otwarcie, że już właściwie obie strony zawyrokowały o jego nieprzydatności do służby na Placu. I ojciec oczywiście podchwycił:

– Co ci Dejno powiedział?

– Że gdyby strunę szalánu tak napiąć, toby pękła.

– Miał rację. Powtarzam ci: jesteś czym innym, i to nie tylko ty: także i ja, i mój ojciec, i jego przodkowie, wiele pokoleń. To tak, jakby młody łosoś uparł się nagle, że będzie żył na lądzie.

– Abalahinda (istoty myślące) to nie ryby – odpowiedział Inutu – Sam tak zawsze mówiłeś. Powtarzałeś: „Abalahinda to nie ryby, a ty jesteś księciem pośród abalahinda: zapragnij i wykonaj”.

– Dobrze, że przynajmniej tyle z moich nauk zapamiętałeś – powiedział Ungana – Ale nawet abalahé nie potrafi sprawić, żeby mu wyrosły płetwy, jeśli zapragnie żyć pod wodą. Czy nie przekonałeś się już, że próbujesz czegoś równie niemożliwego?

Inutu milczał. Wiedział, że ojciec ma rację, chociaż on sam dotychczas jeszcze nie ośmielił się ująć swoich przeżyć z ostatniego miesiąca w aż tak wyraźne stwierdzenie klęski. I nawet teraz, w duszy już mu przyznając słusność, nie zdołałby tego zrobić głośno. Oczywiście sam nie potrafił określić, co go od tego powstrzymywało; zbyt wiele szarpało nim sprzecznych pragnień,

żeby niedorostek w jego wieku mógł się w tej gmatwaninie połapać. Czuł w każdym razie, że chociaż bardzo się męczy na Placu, to jeszcze większą męką byłby powrót do domu. On, który niedawno tak odważnie wystąpił przeciw woli potężnego Tanu – on miałby teraz przyznać, że to była tylko dziecinada?

– Nie – powiedział wreszcie – Nie będzie niemożliwe. Muszę tylko trochę bardziej chcieć. Chcieć jak księżę.

– Żałosne to twoje chcenie i twoje księstwo – odrzekł Ungana, patrząc na wymizerowaną i mroczną twarz jedynaka – I niedługo ich już, niezależnie od twojej woli. Słuchaj, Inutu. Ja nie mogę już dłużej powstrzymywać wyroku, który zawisł nad wami. Tanu osądził –

– Tanu to ty, naprawdę – przerwał Inutu – Kręcisz nim, jak sam zechcesz.

– Nie całkiem i nie zawsze! A zwłaszcza nie w sprawach drobnych, które muszę mu odstępować, żeby zachować kontrolę nad wielkimi. Teraz zresztą od jakiegoś czasu muszę w ogóle wtrącać się jak najmniej, bo on mi przestał ufać: ale to dla ciebie zanadto skomplikowane. W każdym razie wolałbym, żeby cię tu już nie było, kiedy on się zabierze do położenia końca tej waszej zabawie.

– To nie jest wcale –

– Cicho, synku. Dla Dejna to nie jest zabawa i może dla tamtych dwojga także nie, ale w twoim wypadku to w każdym razie nie jest prawda. I, jak powiedziałem, rozleci się już niedługo.

Inutu poczuł jakąś rozpaczliwą radość na myśl, że tak się stanie, że coś z zewnątrz – a nie on sam – siłą położy kres tej męce. Jak dobrze; choćby to się nawet okazało przykre... Ale i tej radości nie mógł przecież okazać, a zresztą pomyślał, że tym bardziej może zdobyć się na to, żeby przez ten krótki czas jeszcze jakoś wytrzymać.

– A przecież Tanu obiecał zostawić nas w spokoju – powiedział.

– Dokładnie mówiąc, to nic nie obiecał, tylko pozwolił wam zebrać się tutaj. A gdyby nawet i obiecał, to nie należy do istot, które by się tym przejmowały; to się nazywa „dyplomacja”.

– Wszystko jedno. Ja słowa nie złamię.

– Komu je dałeś?

Tak, rzeczywiście, komu je dał? Właściwie...

– Sobie...

Ungana podniósł się z ziemi.

– W takim razie wszystko jest jasne. Do rychłego zobaczenia, Inutu.

To, co teraz zostawało do zrobienia, żeby mógł syna odzyskać, sprowadziło się do nieprzeciwdziałania decyzji Władcy. Sposób przeprowadzenia tej decyzji (pomysł Cuszira, zatwierdzony wczoraj już przez Władcę) był może nieco zbyt ostry jak na pierwszą na Wyspie sprawę karną, ale ze względu na Inutu nie było innego wyjścia, jak wszystko to poprzeć. Jeżeli mały następca rosnącego tronu ma wyjść z tej przygody odmieniony, a na to już czas najwyższy – to warto (myślał Ungana) zapłacić za to cenę choćby i kilku innych istnień. Nie mówiąc już o tym, że ten sposób, dobrze rozegrany, otwierał pewne dodatkowe możliwości. I na to także już był czas najwyższy, żeby spleść Zamysł Książąt z Godziną Tmutów.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Brzoza

Następnego dnia Dejno Imanu zerwał się jeszcze przed świtem i obudził dzieci.

– Wstawajcie! – powiedział – Dziś budujemy Brzozę.

Mgła nadal leżała gęsto, ale tylko nad ziemią: kto wyszedł na plac, o dziesięć kroków nie mógł widzieć swego towarzysza, nad głową jednak coraz wyraźniej widział gwiazdy. Nie czekając, aż dzieci będą gotowe, Dejno pośpieszył do Znicza. Kiedy wreszcie i one się tam udały, niosąc od razu odpowiedni zapas paliwa, zobaczyły z daleka dziwny widok. Mgła gęstniała coraz bardziej i osiadała coraz niżej, a ponad nią, w czystym powietrzu, widać było głowę Dejna jak gdyby zza muru; w oddali ponad mgłą i morzem różowił się już świt. Stary czyścił palenisko, poruszał się zwawo i zręcznie. Skończywszy, zaczął dyrygować nową budową, po raz pierwszy pozwalając im brać w niej udział. Jak zwykle, tłumaczył im jednocześnie właściwości Brzozy i jej dostosowanie do cech południowego wiatru. Kiedy skończyli i rozejrzeli się dookoła, mgły już nie było i tylko gęsta warstwa rosy leżała na ziemi. Słońce stało już dosyć wysoko i zrywał się właśnie pierwszy łagodny podmuch oczekiwanego wiatru.

– Wracajcie – powiedział Dejno.

Spojrzeli na niego ze zdziwieniem. A ćwiczenia? Przynieśli przecież od razu tyle drewniek, żeby dla wszystkich wystarczyło na próbne konstrukcje. Dejno jednak powtórzył:

– Wracajcie. A to odnieście z powrotem. I nie wychodźcie nigdzie.

Byli zdumieni, ale posłuchali; starannie ułożyli na miejscu paliwo, usiedli tak jak zwykle i pograżyli się w Oczekiwaniu. Tym razem nawet Inutu zajęty był czymś w rodzaju czekania,

a właściwie snuciem domysłów: kiedy i w jaki sposób Dżauri Tanu wkroczy w tę sprawę i co właściwie z nimi zrobi, i jak by się można w razie czego przed tym czymś ratować, gdyby się okazało, że to jest coś przykrego. Ilekroć spojrzął przez drzwi, widział zza postumentu Znicza nieruchomą sylwetkę Dejna, skuloną tam tak samo, jak miesiąc temu, pierwszego dnia, kiedy do niego przyszli. Co robi Dejno, kiedy zjawi się Władca? A może on, Inutu, powinien o tym starego uprzedzić, skoro wie? Dejno mógłby mieć potem słuszny żal do niego, że nic nie powiedział. I właściwie, co mu szkodzi powiedzieć: tak czy siak Tanu przyjdzie i wszystkiemu położy koniec...

Tymczasem wiatr się wzmaczał. Tagun czuł rosnący niepokój. Zdawało mu się, że coś go szarpie i ciągnie na zewnątrz, na otwartą przestrzeń: na spotkanie. Opierał się temu całą siłą woli ze względu na rozkaz Dejna Imanu, ale około południa nie mógł już opierać się dłużej. Wyszedł więc na plac i zaczął się posuwać w stronę Znicza powoli, jak najciszej.

O parę kroków od postumentu znieruchomiał z przerażenia. Dejno siedział tam nadal tak, jak go zostawili, ale w jego ciele tkwiła szeroka, płaska strzała, taka, jaką zabija się foki; zakrzepła krew tworzyła czarną smugę na białym płaszczu i wielką plamę na kamieniach. Tagun bezwiednie posuwał się bliżej, coraz bliżej, aż wreszcie zajrzał w twarz Dejna: i ona była już zakrzepła, i pozostał na niej ten sam wyraz napiętej tęsknoty, z jakim stary zwykle siadywał pod Zniczem.

Tagun próbował krzyknąć, ale nie mógł. Odwrócił się więc, żeby ruchem ręki wezwać towarzyszy, i wtedy zobaczył Tamtych. Weszli na plac, minęli domek straży i sunęli ku niemu powoli i groźnie. Byli to czterej wysocy Dżugidowie, świta Dżauriego Tanu, i dziesięciu Fingajów: tych ostatnich prowadził Tegatuga, tłumacz, jedyny w tej gromadzie niezbrojny.

Wszystko odbyło się bardzo szybko. Dżugidowie zaszczekali coś po swojemu, Tegatuga przełożył:

– Zabiłeś starego Imanu. Staniesz przed Władcą.

A Tagun w pierwszej chwili rozejrzał się jeszcze, szukając kogoś,

do kogo te słowa mogłyby być skierowane. Nawet kiedy Dżugidowie otoczyli go i zaczęli go owijać sznurem jak wiązkę chrustu, jeszcze nie pojmował, po co to robią. Dopiero kiedy się zorientował, że tak związany jest bezbronny w ich rękach i musi iść tam, gdzie oni go pociągną, nagle zrozumiał: a zrozumiał raczej w przypływie rozpaczliwego jasnowidzenia niż na podstawie jakichkolwiek poprzednio posiadanych skojarzeń czy doświadczeń, bo tyle i tak chytrze zadanej niedoli nie mieściło się dotąd w pojęciach Ludu. A wtedy zacisnął usta i nie odpowiedział im ani słowem. Wzrokiem tylko przesunął po łukach Dżugidów, łącząc je tym spojrzeniem z plamą krwi na ziemi, ale nie bronił się ani nie mówił już nic aż do końca.

Poszli. Po drodze Fingaje wyciągnęli z chatki pozostałe dzieci i cała gromada udała się drogą do Tengi. Nulani, która nie widziała zabitego, była pewna, że wszystko to jest jakąś okropną pomyłką, i że na pewno uda się jeszcze ją wyjaśnić. Inutu krwi także nie widział, ale pamiętał rozmowę z ojcem, toteż zrozumiał sytuację łatwiej niż Tagun. A wtedy zalało go przerażenie i wstyd za ojca, który brał udział w przygotowaniu tej niedoli: wstyd taki, że wydawało się chłopcu, iż już nigdy w życiu ani z ojcem nie zdoła mówić ani z nikim innym na Wyspie. Był więc nawet wdzięczny Fingajom, że ich prowadzą cały czas osobno i nie pozwalają na żadne rozmowy. Wiedział – on właśnie najlepiej – co grozi Tagunowi: i kłócąc się w myślach z ojcem, mówił: „Uratuj go albo więcej na ciebie nie spojrzę!”.

Czego, oczywiście, Ungana słyszeć nie mógł – ale i nie potrzebował.

Przenocowali w Tengi, w gospodzie położonej obok fingajskiej świątynki Wszystkich Wiatrów i poszli dalej następnego rana. Teraz już trzeba było iść prawie cały czas pod górę, co przedłużało drogę; było więc koło południa, kiedy stanęli na dziedzińcu wykończonego właśnie zamku Tanu.

Był tam zebrany tłum większy niż zwykle, Dżauri zwołał go bowiem pod pozorem ogłoszenia jakiegoś nowego edyktu. Wiadomość o dokonanym zabójstwie, pierwszym na Wyspie,

natychmiast obiegła wszystkich obecnych i napełniła ich zgrozą. To, co Czuszir nazywał „procesem pokazowym”, miało więc wszelkie szanse powodzenia i Dżauri bez trudności poprowadził sprawę przez wszystkie jej kolejne zaplanowane fazy. Tegatuga i czterej Dżugidowie oznajmili, że znaleźli Taguna nad ciałem ofiary; kilku mieszkańców wschodniej połaci Wyspy zaświadczyło, że z Placu często odchodziły głośne krzyki, jakby odgłosy kłótni czy nawet bójek. Dżauri Tanu – jakże przezorny i sprawiedliwy! – zatroszczył się następnie o bezsporne ustalenie, czy ktokolwiek poza czwórką stałych mieszkańców znajdował się tego dnia na Placu, i pytał o to Inutu i Nulani, a usłyszawszy zaprzeczenie, kazał usunąć ich na bok, zanim zdążyli mu opowiedzieć niepytani, co naprawdę robił Tagun przez całe przedpołudnie. I tak godzina nie minęła, a już Władca zdołał ustalić ponad wszelką wątpliwość winę chłopca, po czym wygłosił długą mowę, w której jasno dowiódł obecnym, że do takich to właśnie godnych opłakania zbrodni prowadzi pogarda okazywana jego prawom.

Ungana milczał przez cały ten czas, nie zważając na błagalne spojrzenia Inutu. Milczał też Agwen Imanu, ale kiedy Inutu zwrócił na niego uwagę i stwierdził to jego przerażające milczenie, zorientował się jednocześnie, że Agwen i ojciec są połączeni jakąś wspólną myślą, i że ma w tym udział także i Hadon Nile, starszy brat Ungany. Takie łączności, Obcym wszelkich ras niedostępne, wśród Ludu były zjawiskiem dość częstym, toteż Inutu, czujnie już teraz uważający, pochwycił sygnał dany przez ojca stryjowi. Tanu właśnie był skończył swoje przemówienie i można było oczekiwać, że zaraz nastąpi ogłoszenie wyroku. Hadon Nile zrobił krok naprzód.

– Pozwól, Tanu! – zaczął – Nie jest jeszcze przecież zupełnie –

I w tym momencie Ungana z Agwenem pochwycili go i wciągnęli z powrotem między siebie. Dżauri, spojrzawszy w tę stronę, zdążył jeszcze zobaczyć, jak jego dotąd podejrzewany doradca i własny ojciec oskarżonego uciszają niewczesnego obrońcę. I po raz pierwszy czuł, że ma Wyspę naprawdę w ręku, że jego słowo jest tu prawem, a przemądrzały książe jego sługą. A to poczucie

niekwestionowanej wyższości sprawiło, że przychylniej niż poprzedniego wieczora pomyślał o radach Ungany. Bo kiedy układali drobiazgowo przebieg sprawy, ksiązę twierdził, że po pierwszej na Wyspie gwałtownej śmieci nie powinna od razu nastąpić druga, nawet z wyroku Władcy zadana; Czuszir natychmiast nazbierał pełną misę argumentów przeciwnych, ale Czuszir teraz już wiecznie sprzeciwiał się Unganie, i to było nie zawsze mądre, a czasami zgoła nudne. Dżauri, który podczas narady do końca tej sprawy nie rozstrzygnął, teraz – uszczęśliwiony świadomością mocy – przyznał łaskawie rację Unganie.

– Taka jest kara, na którą skazuję winowajcę – powiedział uroczyście – Zostanie on sprzedany żeglarzom fingajskim, którzy zawiozą go do dalekiej ziemi i tam go raz jeszcze sprzedadzą. Tego dotychczas nie robiliście na Wyspie. Sprzedawaliście owoce i użyteczne zwierzęta, ale istot myślących nie sprzedawaliście. Otóż przestępca jest czymś gorszym od zwierzęcia, które się sprzedaje: jest jak zwierzę nieużyteczne i niebezpieczne. Zostanie więc sprzedany jak zwierzę i już więcej na Wyspę nie wróci. Powiedziałem. A dwoje pozostałych dzieci, które z nim mieszkały na Placu, zabiorą rodzice do domu. Powiedziałem.

W tym momencie Inutu zauważył, że trzymający go dotychczas mocno pająkowaty Fingaj rozluźnił chwyt. Wyślizgnął się natychmiast i zaczął się przeciskać przez tłum w kierunku ojca. Miesiąc podświadomej, gryzącej tęsknoty za nim, wczorajsze okropne przeżycie i dzisiejsze nagłe spełnienie przez ojca postawionego mu w myślach warunku – to wszystko sprawiło, że chłopiec miał już tylko jedno pragnienie: bliżej, jeszcze bliżej, już tylko kilka kroków, już tylko prześlizgnąć się między Agwenem Imanu a stryjem –

Dopał i zaczął ojcu szeptać, sam nie wiedział, głosem czy myślą:
– To ty zrobiłeś, ty go uratowałeś, ty, wiem!

Czuł ulgę, radość, dumę; o tym, że Taguna czeka los niemal równie straszny i niezrozumiały, jak ten, który go ominął – zupełnie zapomniał. Wiedział tylko, że odtąd chce iść za ojcem, na

ślepo.

Ojciec położył mu rękę na głowie, ale patrzył nadal w stronę Tanu. Inutu ciągnął:

– Jak to zrobiłeś?

– Chciałby także tak umieć? – zapytał ojciec, ale zanim chłopiec zdążył odpowiedzieć, rozległ się znowu głos Władcy:

– Teraz rozejdźcie się do siebie i pamiętajcie o tym, coście dziś widzieli. Czuszir i Ungana pójdą ze mną.

Ten jeden raz w całym życiu Ungana nie zdołał ukryć tonu triumfu w głosie, kiedy odpowiadał:

– Idę, Tanu. Kazałeś mi wprawdzie odprowadzić do domu mojego syna, ale on już sam pójdzie.

Tak się zaczęła długa tułaczka Taguna. I zanim wiatry i deszcze zmyły z paleniska Znicza resztki ostatniej Brzozy starego Dejna Imanu, jego niedoszły następca, wymieniony za garść kolorowych kamieni, znalazł się w północnym porcie zwanym Durri – a tam, razem z resztą kupieckich towarów, pod pokładem skrzydlatej łodzi, która fingajskim zwyczajem odbiła od brzegu o zachodzie słońca.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Prafo potrójnej fali

Wojowniczy król drapieżnych górskich plemion, pod koniec życia pan połączonych krain Gór i Równin, potrzebował około pięciu lat, by się przekonać, że na tym wspaniałym podboju więcej ostatecznie stracił, niż uzyskał.

W Daggesz, swej dawnej stolicy, panował niegdyś nad ludem niezbyt wprawdzie sytym, ale i nieszczególnie głodnym, zwłaszcza że bardzo wprawnym w zaciskaniu pasa; teraz, w tak zwanym nadal Srebrzystozłotym Pałacu (tylko, że całe srebro i złoto odarto z niego w dniu zdobycia miasta), rządził państwem, którego ludność z roku na rok biedniała, ale już nie umiała znosić biedy.

Tam, dawniej, jego wojownicy po powrocie z wyprawy – a były to wojny nikomu nieznanym, z ludami równie mało znaczącymi – wracali do swoich dworów, by znowu razem z nieliczną czeladzią orać niewielkie kamieniste pólka, kosmate bydło paść na połoninach i skrzykiwać się gromadami na wilki. Sam nawet władca nie uważał sobie za ujmę doglądać osobiście swoich rolników czy pasterzy. Złota z łupów nie wydawano w kraju prawie nigdy, toteż i gromadziło się w skarbcu; jedyna pasja górali, pieśń bohatera, powodowała wprawdzie pewien jego upływ, bo władca nigdy bardom nie żałował, ale z pieśni płynęła chwała tego ludu, rosła z niej jego siła, krzepła jego wola. I wszystko było zrozumiałe i takie proste, jak zawsze przedtem bywało.

A teraz, tutaj, ci niedawni jeszcze pasterze i oracze zdobyli sobie kraj, w którym już im nie wypadało orać. Jakże? To oni przecież postawili stopę na karkach Tanmukowych grandów, którzy nigdy nie tylko sami nie parali się pracą na roli, ale nawet ich bezpośredni słudzy mogli być tylko bankierami, a znowu tych sług

słudzy – tylko kupcami, a jeszcze niżej idąc po stopniach kast dochodziło się do rzemieślników i żołnierzy, a na samym dopiero dnie do rolników. Tych była masa niezliczona, co dawało państwu Tanmuka jako taką równowagę finansową, pomimo że to na nich ostatecznie spadał cały ciężar skomplikowanego systemu podatkowego. Ale zdobywcy, gdy weszli do kraju i najpierw ograbili go jak cudzy, a potem osiedlili się w nim jako w swoim, obalili cały dotychczasowy system rządów, bo go po prostu nie rozumieli. A zajmąwszy miejsce (i tytuł, i pałace) dawnych grandów, nadal przez jakiś czas po prostu tylko łupili każdy na swoim terenie, po czym, gdy już doprowadzili rolnictwo niemal do ruiny, zaczęli przymierać głodem razem z tubylczą ludnością. Przez rok, dwa może, mimo ogromnej drożyzny można jeszcze było kupować żywność za zdobyczne złoto, głównie od obcych kupców; ale potem wyczerpało się i ono. Więc zaczęli napadać się wzajemnie i jeden drugiemu jeszcze bardziej pustoszyli włości. W kraju rosła anarchia, tylko jedno nadal łączyło niedawnych zgodnych towarzyszy broni: wzmagająca się podejrzliwość, czy aby ktoś gdzieś nie knuje spisku przeciw ich władaniu. I tak biegły lata.

Wśród obdrapanych ścian Srebrzystozłotego Pałacu stary Dżauri, umierając, przeklinał więc dzień i godzinę, w której odniósł to nieszczęsne zwycięstwo: zwłaszcza że nawet chwały jego zdobywczego pochodzenia nie było już komu śpiewać. On, który dawniej w Daggesz gościł u siebie stu bardów zebranych spośród wszelkich istot myślących na świecie, w Dżug-byr musiał pomału rozstać się z nimi wszystkimi. Pozostał mu jeden tylko, włóczęga zza siódmej rzeki, który nie dbał o zapłatę; ale ten rozkazów nie słuchał i śpiewał o tym jedynie, o czym sam chciał śpiewać, a jeszcze w dodatku był heretyk i nie nadawał się do publicznych uroczystości. Tak więc stary Dżauri umierał ze świadomością, że postąpił jak głupi parobek, który mleczną krowę zarzyna, zamiast ją chować i doić. A jak zarżniętej krowie nic już nie pomoże opamiętanie się pastucha poniewczasie, tak i jego ludu nic by już nie zdołało wtłoczyć z powrotem w stare bytowanie: przemiana była nieodwracalna.

Umarł więc Dżauri Zdobywca syt zarówno chwałą, jak i rozczarowania, i pochowano go z jego własnego rozkazu we wspaniałym porfirowym sarkofagu, który w rzeczywistości był wanną z łazienki Tanmuka. Jego syn i następca Gordo, mąż podówczas w sile wieku, przede wszystkim rozkazał wznowić poszukiwanie Tanmukowego syna, nieco już ostatnimi czasy zaniedbane; potem zaś ustanowił prawo, mocą którego grandowie walczący ze sobą winni byli koronie grzywnę w wysokości jednej trzeciej swojego majątku. To było wszystko, co potrafił zrobić dla przywrócenia państwu dobrobytu.

Ogłosił zaś to prawo dokładnie tego samego dnia, w którym młody Dżauri wyruszył potajemnie na Wyspę Niczyją. Wieczorem tegoż dnia, po niezbyt obfitej kolacji, zjedzonej w towarzystwie wszystkich swoich pięciu żon, których ambicje i spory już go zaczynały nużyć, Gordo zapragnął chwili samotności, by móc przemyśleć i ustalić swoje dalsze plany. Przeszedł więc do świetlicy (tak teraz nazywano dawną Salę Tancerek w lewym skrzydle Pałacu) i rozkazał warcie, by nikogo do niego nie wpuszczała. Świetlica była jedynym pomieszczeniem, w którym Gordo w głębi duszy czuł się naprawdę u siebie. Jeszcze jego ojciec kazał tam wybić dziurę w murze (usuwając przez to dużą partię fresku z tancerkami) i urządzić palenisko z okapem. Na tym improwizowanym kominku palono ogień z grubych bierwion nie tyle dla potrzeby, bo w Dżug-byr klimat był bardzo łagodny, ile dlatego, że nie może przecież istnieć dom bez domowego ogniska. A przynajmniej nie bywało takich domów w górach. Gordo sam nie wiedział, że nawet dym, którego spora część nie uchodziła przez dziurę na zewnątrz, tylko białawą zawiesziną snuła się po komnacie (lub czernią osiadała na pozostałych jeszcze partiach fresku), jest jedną z przyczyn, dla których było mu tutaj tak dobrze.

Teraz więc siedział zamyślony, patrzył w ognisko i snuł plany zaćmienia sławy ojca, Zdobywcy, nowymi i niesłychanymi podbojami. Trzask ognia, śpiew cykad i piosenka barda Łazęgi stanowiły do tych marzeń jakby tło muzyczne, bardzo jednak nieodpowiednie, bo pozbawione zupełnie wszelkich bojowych

i groźnych tonów. Łazęga nie był Dżugidem; trudno właściwie było powiedzieć, kim jest. Rozsiadł się w kącie na podłodze i brząkając z rzadka w struny napięte na cudacznej, ogromnej muszli, nucił cicho. Sam dla siebie, bo byli tylko we dwóch w komnacie, a król nie słuchał.

*... Jakież to Słowa Tajemne pchnęły Haldira do zbrodni?
Słowa przed wami zakryte, boście ich słyszeć niegodni.
Jakież to Słowa Tajemne uratowały krew brata?
Słowa przed wami zakryte, ale wpisane w bieg świata...*

- Łazęga!
- Jestem, miłościwy panie.
- Byłeś ty kiedy za morzem?
- I za niejednym!
- Jakie tam żyją ludy?

Łazęga w ciemnym kącie lekko wzruszył ramionami. Pytanie było szczytowo nieprecyzyjne i trudno było odgadnąć, o co właściwie w nim chodzi: o nazwy zamorskich ludów, o ich wygląd czy o ich obronność? Najprawdopodobniej o nic z tych rzeczy: o takie szczegóły wypytywałyby dokładnie Tanmuk, ale nie ten olbrzym z baśni... Więc zaciągając umyślnie z góralska Łazęga odrzekł:

- Wszelijakie, miłościwy panie!
- Wszelijakie?!
- A juści!

Nastała cisza, podczas której Gordo oglądał już w marzeniu nieprzeliczoną mnogość różnorodnych istot łaszących się do stóp zdobywcy. Po czym spytał znowu:

- A za puszcza byłeś?

Łazęga wiedział, że król myśli o niezamieszkanym leśnym obszarach, ciągnących się nad wschód od jego kraju. Odpowiedział:

- Byłem, miłościwy panie. Ale za puszcza jest już zaraz morze.
- Jak to morze? Z tyłu morze i z przodu morze, naraz? Takie samo?

(O, geografio, niegdyś o ścianę stąd wykładana najszczegółowiej

na świecie... Czyż morze jest wyolbrzymionym górskim stawem, który zewsząd otacza ziemia? Płynnym wyjątkiem na jej solidnej powierzchni?)

– Raczcie spojrzeć, miłościwy panie, ja wam to zaraz akuratnie wyrysuję.

Wstał z kąta i podszedł do paleniska. Nie było wymiatane od rana, to widać: białego popiołu było w nim pod dostatkiem choćby i na mapę całego świata. Łazęga sięgnął w głąb kominka i wydobył stamtąd pełną garścią popiołu zaczął posypywać czerwoną płytę posadzki.

– Cóżżeś ty zrobił? – zapytał Gordo głosem aż ścichłym ze strachu.

– Na tym będę rysował, panie, ot tak... – Przeciągnął palcem kreskę.

– Nie o to idzie! Ze spiżu jesteś? Ogień się ciebie nie ima? Rękęś w niego wsadził...

– Zwidziało się wam, miłościwy panie! Z boku sięgnąłem, gdzie popiół już zimny. Ale przyznaję, że pochodzę z istot, które znoszą żar dosyć dobrze... Ot, tutaj macie brzeg morza i waszą stolicę, i rzekę Czun, i za nią Daggesz na górach...

Gordo wpatrzył się w szybko rosnącą u jego stóp gmatwaninę kresek. Z początku wydawały mu się równie bezsensowne, jak te zawile ślady czerni, którymi w pałacu Tanmuka nie wiadomo po co upstrzono całe setki miar pięknego jedwabiu, po czym schowano je starannie, dzieląc na zwoje: oczom zdobywców mówiło to mniej jeszcze niż ślady kornika na drewnie, które przynajmniej mają jakąś swoistą logikę. Stary Dżauri rozdawał ten jedwab swoim żonom, których (na wzór Tanmuka oczywiście) sprawił sobie siedemdziesiąt siedem zaraz po dokonaniu podboju... a potem prawie wszystkie z biedy podprawiał.

Zanim jednak myśli nowego króla uleciały śladem byłych ojcowskich żon w dal bezpowrotną, Łazęga podniósł głowę i spojrzał mu z uśmiechem w oczy, a potem znowu schylił się nad swoim rysunkiem. Gordo poszedł za jego wzrokiem i nagle zobaczył te kreski jakby nowymi oczami: tak, rzeczywiście układały się

w prawo i w lewo, naprzód i w tył, zupełnie tak samo jak rzeki, góry i granice, i można było wziąć cały kraj jakby w dłonie i obejrzeć go jednym spojrzeniem. Gordo schylił się na fotelu, nie tyle nawet po to, żeby widzieć lepiej, ile dlatego, że się sam sobie nagle wydał ogromny, jakby głową sięgał słońca: potwornie wielki i potwornie ciężki. A malusieńki kraj, rysowany czerwoną kreską na białej powierzchni popiołu, leżał wciąż u jego stóp. Naokoło przybywało kresiek. Łazęga mówił:

– ... A zaś na północ od waszych gór jest kamienisty i pusty płaskowyż. Tam lodowate wiatry przez większą część roku trzymają w okowach rzeki wypływające z gór. Żyją tam plemiona ubogie i nieliczne, wam Dżugidom pokrewne, ale o innej mowie. A jeszcze dalej na północ jest morze, a za morzem już tylko Otchłań Północy...

... Teraz zaś spojrzycie ku prawej ręce, miłościwy panie! Tutaj leży lesista prowincja Szeret, najdalsza na wschód w waszym państwie: kończy się ona na rozlewiskach rzeki Ten-Gał, w bagiennej krainie torfowisk i jezior. Nie ma tamtędy przejścia, a choćby i było, tedy zaraz dalej zaczyna się Puszcza Nieprzebrodzona, a w niej bezdroża takie, że mógłbyś się tamtędy przedzierać przez całe życie, a nie wiedzieć, że jeno w koło chodzisz. Tylko od gór północnych jest tam droga, ta sama, którą przeciw wam nadciągały leśne dzikie plemiona i którą wy chodziliście przeciw nim. Ale gdyby kto wężem prześlizgnął się przez tę puszcę albo ptakiem przeleciał nad nią, znajdzie u drugiego krańca góry potężne, a za nimi wąski pas wesołej, urodzajnej ziemi: tam żyje lud zupełnie do was niepodobny, o języku takim, jakoby wiatr szumiał w sosnach. A zaś za mieszkaniem tego ludu jest znowu morze. A za morzem dalsze jeszcze krainy.

Spojrzycie też i na lewo! Tutaj oto u waszych okien zaczyna się morze; a gdybyście po nim płynęli, aż księżyc po raz drugi dojdzie do tej samej postaci, zobaczylibyście ląd. Jest to zaś ląd potężny, większy jeszcze od tego, na którym leży wasze państwo: i są tam góry, i rzeki, i plemion mieszka wiele, jako to Wehowie i inne:

jedne bardziej do was podobne, inne mniej. Tworzą one siedem potężnych państw, a mniejszych ksiąstewek bez liku; i są ze sobą w bezustannej walce, ale Dżugidów większość z nich słuchała ongiś bez szemrania. Tylko pośrodku tego lądu na ogromnej pustyni żyją plemiona niepodległe, które nie słuchają nikogo, toteż przejazdu tamtędy nie ma.

A jeśliby chciał się kto przedostać na zachodni brzeg tego lądu, tedyby musiał albo na skrzydłach wiatru przelecieć nad tą pustynią, albo doczekać stosownej pory roku (bo nie o każdej porze wiatry sprzyjają żegludze) i od północy albo od południa cały ten ląd okrążyć. A to by mu zajęło od północy dwa miesiące, a od południa dziesięć. I gdyby jechał od północy, to z najdalszego północno – zachodniego przylądka już by widział jakoby obłok: a to jest górzysta wyspa, długa i bardzo wielka, na której są trzy państwa ludu Megni. A gdyby stamtąd pożegłował znowu w dół i na lewo, to znaczy na południowy zachód, przybyłby po miesiącu (albo i dwu) do innego wielkiego lądu. Dosypię trochę popiołu i wyrysuję wam ten ląd! Brzeg tam jest urwisty, a w głębi są góry, ale nie takie jak wasze, gdzie cała ziemia układa się w zbocza i grzbiety: tam na płaskoci wyrastają skały, długie a cienkie jak grzebienie kogucie, a ich pasma schodzą się i rozchodzą, idą to prosto, to kołem, jakoby płoty otaczające większe lub mniejsze pola. Tam pośród skalnych grzebieni żyje kulisty lud Tmutów, który ma jedno wielkie państwo. A zaś dalej lud Galgal-pa'asz, do tamtego zupełnie niepodobny, z którym oni walczą bezustannie. A jeszcze dalej inne, małe ludy, aż do brzegu morza.

A teraz, miłościwy panie, spojrzycie wreszcie od waszej stolicy na południe! Daleka stąd droga do waszych granic, ale kiedy byście ją przebyli, zobaczylibyście pustynię skalistą, zwaną Ba-szem, gdzie nic nie żyje i nikt nie mieszka oprócz tych, co na czas przychodzą i kopią minerały w górach. A jest tam siarki dużo i saletra, i granity miejscami bardzo przednie, ale szlachetnych metali tam nie ma. Dalej zaś są słone rozlewiska i już znowu morze ogromne, a jeszcze dalej za tym morzem już tylko Głębia Południa.

A na morzach wschodnich i zachodnich są także wyspy nieprzeliczone, dobre dla wypoczynku albo i przezimowania. Z tych jedne stoją samotnie, inne po kilka, inne wreszcie wielkimi stadami: a żyje na nich mieszanina różnych ludów, tych przede wszystkim, które daleko wysyłają swoje łodzie.

Tak to mniej więcej, miłościwy panie, wygląda świat...

Gordo, schylając się coraz niżej, sapał z przejęcia, wpatrzony pożądliwie w rysunek. Zanim jednak odpowiedział, zapadła nagle cisza zupełna: to cykady wszystkie umilkły na chwilę, żeby zaraz potem wybuchnąć na nowo zdwojoną wrzawą.

– Dobra wróżba! – wykrzyknął król i wyprostował się, jakby już zaraz miał wołać o zbroję. – Świat leży u moich stóp! Na której części najpierw mam postawić nogę? Z trzech stron mam kraje ubogie i marne. Na zachód, tylko na zachód trzeba mi wyruszyć!

Łazęga spojrzał znad rysunku.

– Ej, miłościwy panie – rzekł – nie będzie z tego nic!

*Słońce nie kluska, księżyc nie kiszka,
za krótka ręka, za mała łyżka.*

Hoc! Hoc!

Nie będzie z tego nic.

– Jak to?

– A z dwojga przyczyn. Po pierwsze, żeście tu przyszli z północy, a to jest droga, którą wielkie podboje nie chodzą: więc i tak macie już więcej, niż taka mała wojna zwykle zdobywa. Popatrzcie: Północ i Południe dzielą władzę braterską nad światem, zaś wielkie fale ludów idą nie od nich, a w poprzek: ze wschodu na zachód albo z zachodu na wschód. Ta jest zwyczajna droga wytyczona dla wszelkich spraw lub istot chwilowych i nietrwałych. A zaś po drugie dlatego, że kiedy Haldir i Hallor – to znaczy Północ i Południe, w języku mojego ludu – obejmowali władzę braterską nad światem, to między sobą ustalili, że w każdą stronę będą chodzić po trzy fale ludów, albo dwie, ale nie więcej niż trzy: a potem znowu z przeciwka. To więc już były ostatnimi czasy trzy fale ze wschodu na zachód: pierwsza Dżugidów około tysiąca lat

temu, druga zaraz potem Feinu, kiedy to zeszli z gór i zawładnęli tak Dżugidami, jak morzem; a trzecia znowu Dżugidów, kiedy już ostatecznie zepchnęli Feinu z lądu, wieków temu cztery i trzy czwarte. Teraz następna fala musi już ruszyć z zachodu na wschód. I wam by też tak trzeba. Ale nie po łupy: po życie!

– Tylko tyle? – powiedział Gordo. – Sądziłem, że znasz jakieś poważne przyczyny, a ty mi tu podajesz legendy twojego ludu. Czyż nie wiesz, że my, Dżugidowie, nie dzielimy waszej wiary?

– Wiary?... – powtórzył Łazęga tonem ni to smutnym, ni to pytającym, takim, jakim powtarza się słowo błędnie przez kogoś użyte, którego jednak nie mamy już siły ani ochoty prostować – Wiary...

I zamilkł. Gordo, który go bardzo lubił, pomyślał, że go może tym uraził, więc chcąc to wynagrodzić życzliwą rozmową zapytał:

– A gdzież są siedziby twojego ludu i jaki on jest? Zapewne liczny i potężny?

Łazęga uśmiechnął się – ni to do króla, ni do siebie, ni do ogniska.

– Przeciwnie, jest nas bardzo mało – odpowiedział po chwili. – Tak, bardzo mało. Tak mało, że dziecko policzy...

Wstał, odszedł do swojego kąta i zaczął znowu brząkać i coś nucić. Gordo pozostał ze stopą na skraju popiołu.

I nie zdołał jej na nim postawić.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Okrężna droga

Więc było to tak, jakby wołu przywykłego do chodzenia w kieracie na prawo uwiązano tym razem na lewo i tak mu kazano chodzić, a on by co krok zrywał uprząż, próbując skrócić na swoją zwyczajną drogę. Szczęściem Gordo nie widział wyraźnie nałożonej mu przez Łazęgę uprzęży, inaczej byłby się zbuntował od razu i żadnych by już przedkładań nie słuchał. Ponieważ jednak uprząż była miękka, spleciona z uśmiechów i opowieści, król buntował się i złościł jedynie wtedy, kiedy Łazęgi przy nim nie było; a w jego obecności tylko dziwił się i pytał.

A najpierw:

– Po co miałbym iść na wschód, utonąć w puszczy? Ani łupu, ani sławy!

Potem zaś, kiedy już wyprawę ogłosił:

– I tak ot, przed siebie, bez celu?

A wreszcie:

– Czy to ja drwałem, żebym z drzewami wojował?

I tak przez cały rok. Ale w końcu poszedł, poszedł razem z obu braćmi, z najstarszym synem i swoją strażą przyboczną, a na jego wezwanie poszli z nim i grandowie ze swymi drużynami. Gordo dziwił się bardzo, że zwoławszy ich wszystkich, zdołał z nich wystawić zaledwie trzy hufce w miejsce ojcowskich siedmiu; ale się pocieszał myślą, że mniejszy zastęp łatwiej wyżywić. Było to wiosną i przednówek już zaczynał dokuczać krajowi, toteż drużyny grandów ścigały do prowincji Szeret głodne i byłyby rabowały po drodze, gdyby cokolwiek jeszcze do rabowania zostało. Ktoś jednak rzucił na cały kraj hasło: „Kryjcie się na krótki czas, wy i wasze ziarno”, toteż zbrojni kościeje prawie nikogo nie spotykali na

drodze. Gdy połączyli się wreszcie nad granicznymi bagnami, byli już tak wyczerpani, że bez protestu ani zdziwienia przyjęli rozkaz królewski, który ich podzielił na hufiec rybaków, hufiec koniuchów i hufiec drwali. Pierwsi dostali zadanie łowienia ryb i ptactwa wodnego w ilości dostatecznej dla wszystkich; drugim kazano paść konie na polankach i nadrzecznych łągach, których nie brakowało w dorzeczu Ten-Gał. Trzecim wypadło zwalać drzewa i układać z nich przez bagna pomosty. Ta ostatnia robota szła zrazu tępo, ale z tygodnia na tydzień coraz to szybciej, w miarę jak i drużyny, i konie odzyskiwały siłę na puszczańskim wikcie. Co dziesięć dni hufcom zmieniano zajęcie i po miesiącu Gordo musiał już przyznać Łazędze, że jego wojsko stanęło na nogi i coraz bardziej przypomina dawne drapieżne zastępy, których rozkoszą było chodzić w biały dzień ze śpiewem na bitwę, a nie (jak ostatnimi laty) nocą ukradkiem na rabunek. Nie obywało się oczywiście i bez szemrania, zwłaszcza gdy lato nadeszło i trud dokuczał podwójnie; Gordo karał surowo niezadowolonych i ciągnął dalej.

Łazęga dwoił się i troił, był wszędzie. Pokazywał najkrótsze drogi przez mokradła, na strumieniach wynajdywał brody, w lasach ścieżki. Uczył Dżugidów budowy lekkich, przenośnych tratów z pustych łądyg krzewu kam i cięcia trzciny inaczej na faszynę, a inaczej na snopki – pływaki. Od końca po koniec pochodu nosił rozkazy królewskie, a jeśli co i dodał do nich po drodze, wychodziło to tylko na dobre ciągnącemu wojsku. Ale były i takie dni, kiedy swoim zwyczajem zniknął i nikt nie wiedział, dokąd i w jaki sposób wymknął się z obozu, gdzie wędruje i kiedy powróci. Potem zjawiał się nagle, jeszcze bardziej (o ile to możliwe) ogorzały i jeszcze (o ile to możliwe) zwinniejszy i chudszy. Śpiewał o świcie przed namiotem króla:

*Wicher pastuch spędza stada,
które w górach poił;
słota rada czy nierada
bez cebra je doi.
Hej a hej! Hej a hej!
Pastuch stanął koło płota,
i gdy tak się trudzi słota,
on gada i stoi.*

– Łazęga! – krzyczał Gordo ze środka – Bywaj! Gdzieżeś to wczoraj chodził?

– Ano byłem u Tmutów, miłościwy panie – łągał jak z nut Łazęga.
– Gotuje się tam wielka wyprawa, ale nie ruszy wcześniej jak za dwa lata. Mamy czas.

A innym razem:

– A gadałem ci po wyspach z feineńskimi żeglarzami. Powiadają, że z portów zbiera się wielka wyprawa, ale nie ruszy wcześniej niż za dwa lata. Mamy czas.

Gordo z początku śmiał się tylko z tych odpowiedzi, ale potem doszedł do wniosku, że Łazęga zapewne spotyka się po lasach z jakimiś wysłannikami Bardów i wiadomości, które przynosi, mogą być całkiem prawdziwe. Że jednak każda mila powolnego pochodu najoczywiściej wzmacniała jego wojsko, król nie troszczył się o rychły powrót: w razie potrzeby, na odpasionych koniach i po ubitej drodze, w niewiele ponad miesiąc mógłby i tak wrócić do stolicy. Toteż szedł dalej. W krótkiej potyczce starł na rozlewiskach łupieżczą bandę jakiegoś leśnego plemienia, która się zapuściła na tę stronę rzeki w poszukiwaniu zamieszkanych okolic do plądrowania. Jeńców przydzielił do pomocy hufcowi drwali, co przyspieszyło pochód. Król szedł naprzód.

Aż dotarł wreszcie do samej rzeki Ten-Gał i spojrział przez nią na wysoki brzeg wschodni, na którym dotąd nie powstała noga żadnego Dżugida. Tego wieczoru jednak w wojsku doszło do otwartego buntu. Do królewskiego namiotu wpadł Harka, brat Gorda i dowódca jednego z hufców, a wpadł z pośpiechem zgoła godności jego nieprzystojnym, krzyząc:

– Królu! Do Broni! Bunt! Straże!

Gordo milcząc odsunął go z drogi i wyszedł przed namiot. Rzeczywiście gwar rozrzuconego po podmokłym lesie obozowiska nie był już bezładną mieszaniną zwykłych wieczornych hałasów, ale jednolitym, narastającym grzmotem.

– Gdzie jest Almuk? – zatroszczył się król o syna.

Harka zbladł i wychrypiał:

– U nich... Na zakładnika.

– Znowu chcą wracać?

– Tak.

Król stał i słuchał nadchodzącej burzy. Ale z wnętrza namiotu zabrzmiała nuta wesołej, skocznej piosenki: widać Łazęga jeszcze nie zauważył, co się dzieje. W nagłym porywie gniewu Gordo skoczył z powrotem do środka.

– Milczałbyś przynajmniej, trutniu! – krzyknął. – Ot i skutek twoich mądrych rad! Zdrada otwarta w obozie: to się żadnemu z moich przodków nie zdarzyło!

Łazęga siedział nieporuszony na swoim miejscu pod ścianą.

– A bo wasi przodkowie – odpowiedział – nie mieszkali w drużynie rzezimieszków. Wy macie. Jeżeli teraz z nimi wrócicie do kraju, tedy już nigdy niczym lepszym się nie staną.

– Łatwo ci gadać! A głowa mojego syna?

– Byleście chcieli iść dalej, to ją zratujemy.

– Mam tylko setkę straży – powiedział Gordo – przeciw całemu chyba obozowi. No i ciebie – dodał drwiąco.

Łazęga mruknął ledwo dosłyszalnie:

– Bo wy myślicie, że ja nie umiem zabijać... – A głośno dodał: – To i starczy.

– Idą! – zawołał z zewnątrz Harka. I dopiero wtedy śpiewak zerwał się i poskoczył do króla.

– Wybierajcie! – zaczął szybko. – Bez was ta ziemia odpoczęła. Po raz pierwszy od lat rolnicy zebrali w niej plon nieuszczuplony. Także i waszym żonom i dzieciom nie tylko nic się nie stało, ale żyją spokojnie i błogosławią obfitość ziarna. Jeżeli teraz wrócicie, a z wami wrócą znowu pięść i bezprawie, wszystko to pójdzie na marne, pożrecie ten kraj bez reszty, ale i on was pożre. Musicie teraz wybierać –

– Łazęga! – zakrzyknął król zdumiony – A ja tobie ufałem jak bratu! Zdradą wyprowadziłeś nas w te bagna, aleś się teraz wygadał. Rację mają moi wojownicy. Zawracam dzisiaj jeszcze, a ciebie każe powiesić na wschodniej bramie Dżug-byru!

Nieoczekiwanie bard się roześmiał.

– Wieszajcie! – rzekł – ale najpierw wysłuchajcie do końca. Jeżeli

teraz ulegniecie, będziecie mieli bunt za buntem i w drodze, i w kraju: wy, albo ten, który dzisiaj spróbuje zająć wasze miejsce. Wasi wojownicy przez dwadzieścia lat gnili w Krainie Równin; z dawnej hordy waszego ojca mniej niż połowa już wam pozostała zdolnych do walki, a i oni mają serca przegniłe. Drugich dwudziestu lat trzeba, lat ciężkich zmaganiań i trudów, żeby zgniliznę wymyć i wypalić. Wracajcie długą drogą! Wracajcie drogą okrężną!

– Jest w tym, co mówisz, jakaś szaleńcza racja – powiedział Gordo. – I jest gdzieś przed nami puszczański Szlak Najazdów, wiodący aż w nasze góry. O niego ci chodzi?

– O niego, nie o niego – wybierajcie, naprzód czy wstecz! Wybierajcie drogę!

Ale po prawdzie nie było już czasu na wybieranie. Na szczupłe szeregi straży, otaczającej namiot królewski, parła ze wszystkich stron huczająca ciżba. Gordo wyszedł na zewnątrz i próbował zorientować się, kto ją prowadzi: z początku po to, by wiedzieć, z kim musi mówić, ale w miarę jak gniew w nim wzrastał, coraz bardziej już po to, by wiedzieć, kogo sobie zakarbować na przyszłą karę. I widać jego przeciwnik nie był jeszcze zbyt pewny swego, bo nie ujawniał się w tłumie, a tylko coraz to poddawał przemieszonym oddziałom hasło, które wkrótce zagłuszyło wszystkie inne wołania:

– Wra-ca-my! Wra-ca-my! Wra-ca-my!

Gordo próbował dawać im znaki, że chce mówić; najbliżsi milkli rzeczywiście, ale w dalszych szeregach nadal ktoś podsyczał krzyki, toteż wrzawa nie ustawała. Nagle król poczuł w dłoni coś gładkiego: to Łazęga podsuwał mu róg bojowy. Gordo chwycił go i zatrąbił tak potężnie, że kiedy echo przebrzmiało, nastąpiła cisza. W tę ciszę padały teraz z wolna jego słowa:

– Z jednym będę gadał! Wybierzcie albo wyślijcie do mnie jednego.

Potem spokojnie się odwrócił i sięgnął ręką po zasłonę namiotu, jak ktoś absolutnie pewien, że z tyłu ani z przodu nic mu grozić nie może. Ten jego spokój musiał zrobić na buntownikach wrażenie i na tyle zmniejszyć ich pewność siebie, że bez zastanowienia

przyjęli jego żądanie. Po niepewnym szmerze tłumu Gordo mógł poznać, że ich własny plan był inny, i że na wysyłanie posłów nie byli przygotowani. Z prawej strony, spod kępy świerków na pagórku – tam to widać znajdowali się przywódcy – rozległo się wołanie kilkunastu głosów:

– Zakładnika! Daj zakładnika!

Część tłumu powtórzyła ten okrzyk, ale Gordo tym razem już bez trudu uciszył ich podniesieniem ręki.

– Macie mojego syna.

– Jeszcze jednego!

To było oczywiście: Almuk miał im być potrzebny dłużej jako rękojmia posłuszeństwa króla, a ten drugi – do wymiany za posła. Gordo rozejrzał się: przy nim stał Harka, ale Nardiego, najmłodszego brata, nie było. Król już usta otwierał, żeby o niego zapytać, kiedy usłyszał szept Łazęgi:

– Dajcie im, miłośnicy panie, mnie!

A tak już przywykł iść za radami barda, że bez namysłu położył rękę na jego ramieniu i popchnął go lekko pomiędzy strażę w tłum, w stronę świerkowego pagórka. I widać było, że przeciwnik zgadza się na to (wszyscy przecież wiedzieli, jak bliski jest śpiewak królowi), bo zaraz w ciżbie utworzyła się ścieżka, którą Łazęga mógł iść bez trudności. Gordo nie czekał dłużej: wszedł do namiotu i tam zasiadł na skórach wraz z Harką. Milczeli obaj. Król myślał o tajemniczych słowach Łazęgi, o przegniłych sercach Dżugidów – gdzież się podziała ich dawna, po tylekroć sławiona wierność? – i o drodze okrężnej, która nie mogła przecież i nie powinna była zająć całych lat dwudziestu; bo i czasu na to nie było, skoro za parę lat przyjdzie odeprzeć najazd idący z zachodu, i szlak puszczański nie był znów tak długi, żeby powrót mógł zająć więcej niż jeden rok, łącznie z przejściem przez Daggesz i góry. Daggesz, zawieszony w pół wysokości przepaści, Daggesz pod szarą turnią, kraj dzieciństwa... Jak to niegdyś we trzech się uczyli mądrości wierchów, przełęczy i piargów, on i Harka, i mały Nardi, nad którym bracia czuwali tak troskliwie na niebezpiecznych ścieżkach...

Jak gdyby przywołany tą serdeczną myślą, Nardi stanął w wejściu do namiotu, ale niepewnie, jak ten, kto boi się wejść do środka.

– Jesteś! – powitał go król – Bałem się, że i ciebie mają! Chodź, siadaj z nami.

Nardi zrobił sztywno jeden krok w stronę braci.

– Pamiętaj, Gordo – powiedział – że jeżeli ja stąd nie wyjdę, to Almuk nigdy nie wróci.

I to było jak uderzenie kijem dębowym po skroni. Dopiero teraz Gordo zrozumiał, jak nisko upadli Dżugidowie: już nie tylko wojownicy króla, ale brat zdradza własnego brata... Po stokroć i po tysiącokroć rację ma Łazęga, szkoda tylko, że go tu nie ma: Gordo w walce na słowa nie czuje się mocny, zwłaszcza teraz, gdy rozżalenie bierze w nim górę nad gniewem... Umiałyby walczyć toporem, ale topora przecież nie użyje na brata i za cenę głowy syna... Pyta ciężko:

– Więc czego chcecie?

– Powrotu! Przede wszystkim. Wyprowadziłeś nas w puszcę i tu nam każesz pracować jakby niewolnikom, zamiast wojny, zamiast łupu, zamiast sławy! Tymczasem w państwie zamieszanie, tubylcy podnoszą głowę, wkrótce już trzeba nam będzie siłą zdobywać znowu nasze własne zamki!

Nardi rozpałał się w miarę tej mowy, podniecał się własnym krzykiem. Gordo – znowu tym samym tępym głosem – spytał:

– Skąd takie wieści?

– Nie od ciebie! Ty nie wiesz nawet i nie pytasz, co się dzieje w samym obozie, a o państwo nie zatroszczyłeś się dotąd. Nawet nie pomyślałeś, żeby rozstawić gońców stąd do Dżug-byru. Ale nam powiedzieli o wszystkim jeńcy, jeńcy z myśliwskiego plemienia. Mają oni swoich szpiegów i w Szeret, i dalej. Tobie wystarcza, co ci twój błazen nakłamię! Nie dla Dżugidów taki król. A że Harka od ciebie nie lepszy, wiedz, że dziś wszystko wojsko mnie sobie obrało królem. Zdasz mi koronę i święty topór, i przysięgę straży. Jeśli to zrobisz bez podstępu i zdrady, pozwolę ci odejść za rzekę, ale Harka i Almuk zostaną u mnie jako rękojmia tego, że już nigdy

do kraju nie wrócisz. Wojsko cię nie chce, wojsko cię obala!

Jakby na potwierdzenie tych słów powstał znowu szum wokół namiotu, chociaż tym razem na jakąś inną nutę: nierówny, falujący... Zanim Gordo zrozumiał, co to takiego, Nardi powtórzył:

– Wojsko cię obala!

Szum wzmógł się jeszcze bardziej, a wtedy Gordo nagle go rozpoznał: to była fala śmiechu. I zaraz, jakby w odpowiedzi na groźbę Nardiego, rozległy się tuż za ścianą namiotu akordy dobrze znanej królowi melodii, a głos Łazęgi zaśpiewał:

*Słońce nie kluska, księżyc nie kiszka,
za krótka ręka, za mała tyżka.*

Hoc! Hoc!

*Chmura nie łąka, tęcza nie dróżka,
za małe stópki, za kusa nóżka.*

Hoc! Hoc!

*Piorun nie topór, wiatr nie kobyła,
nie wasza władza, nie wasza siła.*

Hoc! Hoc!

Odpowiedziała na to kolejna salwa potężnego śmiechu. W wejściu stanął uśmiechnięty Almuk, a za nim wsunął się i Łazęga, śpiewając:

*Prosimy pięknie, miłościwy panie,
na błaznowanie! na błaznowanie!*

Gordo objął odzyskanego syna i znad jego głowy spojrzął we drzwi. Tłum zebrany przed namiotem wyglądał, jakby pod nim ziemia drżała. Jedni zataczali się, inni opierali się wzajemnie o siebie, jeszcze inni – całkiem już widać osłabli ze śmiechu – osuwali się bezwładnie na ziemię. Łazęga dalej grał, chociaż już śpiewać przestał, a każde drgnięcie struny posyłało jakby iskrę śmiechu przez cały obóz. Król zauważył, że iskry te nie dotykały straży, a na niego samego i jego najbliższych miały wpływ ledwo odczuwalny; wyjątkiem jednak był Nardi. Ten nagle wybuchnął śmiechem tak głośnym, że skóry namiotu zafalowały, a cały tłum usłyszał to i odpowiedział jak echo nową salwą ochrypłego już chichotu. Nardi śmiał się, machał rękami, czepiał się stojących

obok, ale trwało to krótko: słabł, tchu mu brakowało, wreszcie runął na ziemię, zamilkł i zeszywniał. Gordo padł przy nim na kolana, wołał o wodę. Łazęga odłożył pod ścianę swoją wyszczerbioną konchę i rzekł spokojnie:

– Bratem jest waszym, darowaliście mu. Wyżyje.

Co te słowa znaczyły, Gordo zrozumiał dopiero nad ranem, kiedy całe wojsko już się uspokoiło i kiedy straż obchodzące obóz trafiły pod świerkami na kilkanaście martwych ciał. Byli to częściowo Dżugidowie, a częściowo jeńcy wzięci z myśliwskiego plemienia. Żadnych ran na nich nie znaleziono, a ich twarze zachowały wyraz niebotycznego rozanielenia: umarli wszyscy ze śmiechu.

Tego samego dnia przystąpiono do budowy wielkich tratw. A w tydzień później tylna straż Dżugidów znikła z Puszczy Nieprzebrodzonej – i odtąd wszelki ślad po nich zaginął.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Nahidene

Memuke, właściciel kupieckiej łodzi, jej martwego ładunku (złożonego przede wszystkim z kasztanów i skór jaszczurzych) oraz chwilowo Taguna, powiadał chętnie o sobie, że żadnym zyskiem nie gardzi, ale też na każdy pracuje uczciwie. A gdy się o tym zgadało, mawiał także, iż niewolnik tym większą na rynku osiąga cenę, w im lepszym jest humorze. Toteż, wierny swoim zasadom i interesom, zszedł do ładowni, gdy tylko łódź oddaliła się od Wyspy na tyle, że ucieczka wplaw stała się już niemożliwa. Miał tam trochę kłopotu z odszukaniem chłopca, gdyż ten pomimo więzów wczółgał się w jakiś kąt za worki; Memuke wyciągnął go stamtąd, rozwiązał i wysłał na pokład. Tagun posłuchał, chociaż poprzednio postanawiał żadnych rozkazów nie słuchać; ale co innego było postanawiać, mając jeszcze pod stopami swojską, znajomą ziemię, jedyną, oczywistą jak niebo nad głową, dającą siłę i oparcie nie tylko stopom, ale i sercu – a co innego wykonać to teraz, kiedy otoczony był obcością, tonął w niej jak w ohydny bagnie i ryzykował w dodatku, że w razie nieposłuszeństwa Fingaj sam go na pokład wyniesie. A nawet bliskość Obcego, nie mówiąc już o dotknięciu jego giętkich, pajęczko długich rąk, była czymś nieznośnym, czego należało uniknąć za wszelką cenę. Tagun wdrapał się błyskawicznie na drabinę wiodącą na pokład, a gdy tam się znalazł, byłby pewnie w dalszej ucieczce wdrapał się także i na maszt, gdyby nie to, że siedzieli już tam dwaj Fingaje z załogi. W ogóle pokład wydawał się zatłoczony. W jasnym świetle pełni księżyca widać było koło masztu rozbity namiot i krzątających się wokół niego Obcych. Tagun po raz pierwszy znalazł się na statku i nie wiedział, że jest po prostu świadkiem zwykłego wieczornego

ruchu: żeglarze sprawdzali olinowanie, podróżni (bo ich także kilku wioził Memuke) jedli kolację lub układali się już do snu. Wszystko to na pokładzie: ładownia służyła na statkach fingajskich tylko do przewożenia towarów.

Tagun kluczył w tym tłumie jak uciekający psiak, wreszcie zobaczył miejsce stosunkowo najmniej zatłoczone. Było to na rufie statku; oprócz Fingaja sternika nikt tam chwilowo nie siedział ani nawet tamtędy nie przechodził. Statek kołysał się lekko z dziobu na rufę przy wschodniej bryzie, która podnosiła na morzu długą, niezweńnioną falę, a żagle napełniała zbyt słabo, żeby można było mówić o prawdziwym pędzie. Ale nawet tak nieznaczne kołysanie stanowiło dla Taguna poważną przeszkodę w utrzymaniu się na nogach. Dotarł wreszcie w okolicę steru, uchwycił się burty, która nagle wyrosła przed nim jak coś przyjaznego, niosącego ratunek, spojrzął odruchowo poza nią – i zastygł z przerażenia.

Co innego jest wiedzieć tylko, że się odjeżdża, a co innego to zobaczyć. Tuż za burtą morze połyskiwało ruchliwą czernią i zielenią, a za nim – Tagun w nocy na wodzie nie umiał zgadnąć, jak blisko czy jak daleko, w każdym razie doskonale jeszcze widoczna, wznosiła się Góra, masyw białych skał i czarnych cieni tak dobrze znany, ale teraz coraz dalszy, z każdą chwilą malejący bezpowrotnie, na zawsze! Już zlewa się z nierównościami wierzchołka zarys przeklętego zamku Dżauriego Tanu, jeszcze dopiero co widoczny; już nie odróżnić, który z czarnych cieni jest żlebem Drogi Północnej. Cieni zresztą przybywa, a białych skał ubywa wyraźnie: maleją, chudną, bledną. Czy to jeszcze one, czy tylko odbłask księżycy na wodzie? I nagle już nic nie widać, nawet wodnej bruzdy za sterem: to statek dogonił pasmo mgły, sunące niefrasobliwie nad wodą, jak gdyby Kagi-Ogana, Wyspa Mgieł, rozsyłała naokoło swego obozowiska leniwe i obojętne podjazdy. I właśnie wtedy, widząc już tylko burtę przed sobą i jakieś liny obok, Tagun nagle przypomniał sobie Plac Wschodni, tak często zasnuwany przez białe opary, i zrozumiał, że teraz, jeśli nawet Or przyjdzie, to już nie do niego. Upadł na pokład z głośnym płaczem.

Statek skrzypiał, jęczały liny, niezrozumiałe głosy Obcych

zlewały się z tym wszystkim w Pieśń Nieszczęścia taką, jakiej na Wyspie nie znali nawet Nieszczęśliwi. Któż odgadnie, dlaczego to natężenie miłości, które u starego Taguna Imanu było naturalnym skutkiem oglądania Ora, nie odżyło w jego synu ani wnuku, a dopiero właśnie w prawnuku? I co mu mogło zastąpić utraconą nadzieję? Na szerokim świecie, po morzach i lądach setki tysięcy istot porusza się po bezsensownych drogach w bezsensownych celach, których nawet próbować zrozumieć nie warto: i tylko jedna Istota przychodziła niegdyś napełniać szczęściem oczekujących. Teraz z tych oczekujących pozostał już też tylko jeden, on, Tagun – on jeden jeszcze na świecie miałby naprawdę po co żyć, i właśnie jemu to odebrano. Och, gdyby mógł –

Tuż nad nim zabrzmiały głosy:

– Kai giwani-ke, Memuke?

– Kai Kagi-Ogana, Nuno-gwe. Hej, mały! Wstawaj!

Tak, trzeba było wstać, inaczej Obcy gotów by sam go podnieść. Trzeba wstać koniecznie, trzeba wstać...

I to była tego wieczoru ostatnia myśl Taguna. Memuke przykucnął nad nim zafrasowany. Jego towarzysz zagadnął go znowu, tym razem w języku bardzo podobnym do języka Ludu Wyspy:

– Chory? Z morzem pewnie nieobyty?

– Żaden z nich... – mruknął Memuke, podnosząc chłopca – Ale przede wszystkim za mały. Nie powinni byli. Tfu, zaraza!

– Kto i czego nie powinien?

– Ech... albo to moja sprawa, czcigodny? Ja wiem tylko, że mi za martwego niewolnika nawet hycel nie zapłaci. I to mi dosyć.

Kiedy Tagun się obudził, był jasny dzień. Nad jego głową znowu skrzypiały liny, a wysoko nad masztem sunęły po błękitnym niebie pierzaste obłoki. Chłopiec patrzył na nie zdziwiony, jakby nie rozumiał, co to takiego i skąd takie zwyczajne, niemal ojczyste obłoki nad obcym statkiem na obcym morzu. W każdym razie lepiej było patrzeć na nie niż na rozgardiasz na pokładzie dookoła. Jeżeli w ogóle patrzeć na cokolwiek... Tagun zamknął oczy, ale po chwili otworzył je znowu: właściwie było mu już zupełnie wszystko

jedno, patrzeć czy nie patrzeć. Był tak osłabiony, że ledwo mógł ręką poruszyć, ale to mu nie przeszkadzało, bo nie czuł żadnej chęci, by się ruszać.

Na tle chmur pojawiło się coś ciemnego, o wiele bliżej, ale nie wiadomo, po co. A na tle obcego, niezrozumiałego gwaru czyjś głos przemówił mową Wyspy:

– Masz, mały, popij. To wino, prawdziwa bengia z Wielkiego Archipelagu, lepsza niż wasz sok brzozowy, zobaczysz!

Napój był chłodny i palący zarazem, Tagun zachłysnął się, zakaszał i usiadł. Teraz sam już ujął kubek i wypił następny łyk. Zrobiło mu się cieplej. Memuke tymczasem gadał:

– Nie myśl, że ja tym częstuję każdego! Zbankrutowałbym po roku bez ratunku. I w ogóle lepiej nie gadaj, żeś tego u mnie kosztował. Wzięto by mnie za większego bogacza, niż jestem, a to jeszcze nikomu na dobre nie wyszło. Ale dbałość o towar jest największą zaletą kupca, nie sądzisz? Wypiłeś? Dopij do końca. Odżałowane i płacić nie musisz: wkalkuluję to sobie w koszta sprzedaży. No, dałeś mi tu bobu przez te trzy dni! Już myślałem, że cię spiszę na straty. Ale my Fehine musimy znać się na wszystkim: jak się wykadza szkodniki z ładowni okrętu, a jak chorobę z abalahinda... Wypiłeś? To teraz kładź się i śpij, będziesz zdrowy.

I bez tej dobrej rady Tagun zasnąłby natychmiast po wypiciu palącego napoju. Spał więc kamiennym snem, sam nie wiedział, jak długo: kiedy się wreszcie obudził, też był dzień, ale może już następny. Dookoła jak zwykle panowała krzątanina, wiatr wiał tego dnia mocny i statek śpiewał w zupełnie innej tonacji: wyżej, ostrzej. Bardziej też kołysał, ale chłopcu już to mniej przeszkadzało. Natomiast świadomość tego, co się z nim dzieje, była nadal piekącym bólem. Tagun znał dotąd tylko tęsknotę ufną, pełną nadziei: teraz doświadczył, chociaż nazwać by tego nie umiał, tęsknoty rozpaczliwej i rozdzierającej. A jak każde stworzenie złapane w pułapkę usiłuje odnaleźć z powrotem otwór, przez który tam weszło, tak i on nieuchronnie musiał dojść do zastanawiania się, co też mógł być albo powinien był zrobić, żeby tego losu

uniknąć. Bo gdyby na przykład nie protestował tak zajadle przeciw zarządzeniom Tanu i nie zamieszkał otwarcie na Placu, byłby teraz w tej samej sytuacji, co jego wszyscy rówieśnicy; nie mógłby wprawdzie czekać na wschodnim wybrzeżu całymi dniami, ale jednak mógłby choć czasem pilnować drogi Ora po kryjomu i miałby taką samą szansę doczekania się Powrotu, jaką nadal mają ci wszyscy, którzy już czekać przestali. A teraz właśnie on jeden nie ma żadnej. Więc może sam jest sobie winien przez brak rozumu?

I znowu popłynęły łzy, a jakby w odpowiedzi na nie z szarego nieba spadły krople deszczu: coraz większe, coraz gęstsze... Tagun przykrył twarz grubą derką, ale po chwili poczuł na niej coś ciężkiego i pachnącego szczególnie mocno tym, czym pachniał cały statek. I znowu głos Memukego zagadał:

– Schowaj się pod tym, mały... Takie to, widzisz, nasze żeglarskie pałace: smołowana dera. Do namiotu cię nie wezmę, bo i tobie na powietrzu lepiej, i oni tam opłacili wszystkie miejsca. Deszcz zaraz przeleci, jeszcze burzy porządnej nie widział. Miskę też przykryj! Ech, ty... Leżysz nad pełną miską i nawet jej nie ruszyłeś?

Tagun nie odpowiedział. Miski nie zauważył, ale jeść i tak nie miał ochoty. Wyrzwał jednak spod nakryć, żeby się przekonać, czy Fingaj już sobie wreszcie idzie, czy nie. Ale Memuke nie miał zamiaru ani odejść, ani zamilknąć. Pod strugami ulewy przykucnął najspokojniej obok chłopca (Tagun miał później zauważyć, że Fingaje mało się przejmują deszczem) i gwarzył dalej, jedyny zrozumiały głos w całej bezsensownej wrzawie załogi i statku:

– Tobie pewno i żyć się nie bardzo chce, a co dopiero jeść. Pierwszą podróż morską każdy musi odchorować, choćby jechał i z własnej woli. Ale to przejdzie. A poza tym, co masz do wyboru? Umierać? Umieranie zgoła nie ma sensu, chyba żeby już nie było innej rady, nie mówiąc o tym, że ja bym na tym stracił. A tak, póki żyjesz, to i dla mnie zysk, i dla ciebie zawsze jakaś nadzieja. Skąd wiesz, że ci tam będzie źle? A może właśnie będzie dobrze? Bywało i tak. Wiele dziwnych rzeczy dzieje się na świecie. Widziałem ja

w Larri w świątyni zawieszono złote kajdany. Wielka to i sławna świątynia, chociaż pielgrzymują do niej głównie zimą, kiedy właśnie dojść najtrudniej. A te kajdany zawiesił założyciel obecnej dynastii, król Kame, na pamiątkę, że z niewolnika został władcą. Bywa i tak. Ale u was na Wyspie gdzie jest świątynia? Ja jej nie widziałem, ale gdzieś przecież musi być?

– Nie ma żadnej – odpowiedział Tagun; po raz pierwszy to od uwięzienia przerwał milczenie, ale nawet tego nie zauważył, zajęty myślą o Wyspie i naturalną koniecznością sprostowania błędu. – Wiemy o Nienazwanym, ale mu świątyni nie budujemy.

– Słyszałem jednak, że twój stryjeczny pradziadek był arcykapłanem.

– Co to takiego?

– Nie wiesz? Dziwne te wasze zwyczaje... Po prawdzie – tu Memuke byłby już zaczął kolejną opowieść o jeszcze dziwniejszych zwyczajach, które na świecie oglądał, ale przypomniał sobie, że głównym celem tej rozmowy jest nakłonienie chłopca do mówienia, toteż zapytał:

– Więc kim on był?

– Przełożonym Sług Ognia. To... nie ma nic wspólnego z Nienazwanym. Oprócz, że oczywiście mamy to od niego, jak wszystko...

Umilkł. Nie chciał tłumaczyć Obcemu, co jest z daru Nienazwanego skarbem Ludu Wyspy, przynajmniej było nim dotąd, ale czy jest nadal? Obcy będzie pewno chciał pytać dalej... Żeby tego uniknąć, Tagun sięgnął do miski, udając nagły głód. Memuke patrzył, mrużąc swoje ogromne oczy tak, że stawały się podobne do kocich źrenic: pionowe szpareczki. Nie odchodził jednak, więc trzeba było dalej jeść powoli i słuchać, jak on znowu gada, chociaż już o nic nie pyta. Pomału, podczas tej niekończącej się gawędy żeglarza, Tagun uznał, że ze wszystkiego, co dzieje się na statku, to jeszcze jest najznośniejsze: słucha oto przynajmniej rodzinnej mowy, choćby i z ust Obcego.

– To, co mówisz, nawet by się zgadzało, bo wy i Megni jesteście tej samej rasy, a u nich kapłani nazywają się właśnie Sługami

Ognia. Megni czczą ogień: nie każdy oczywiście, a tylko rozpalony od błyskawicy. Takie święte znicze utrzymują w swoich świątyniach, a podsycają je oliwą. Hej, co też się tam dzieje, jak im taki płomień zgaśnie! Kapłana, który temu był winien, skazują na męki, czego ich prawo za żadne inne przestępstwa nie przewiduje – a co potem korowodów ze sprowadzeniem nowego ognia! Oglądałem to kiedyś, bom często zimował w Adongo, co i tym razem pewno nas nie minie. Wielki port, gwarny, wesoły. Zobaczysz. Ale nieprędko. Najpierw zawiniemy do Mandagoriwy na Wielkim Łądzie, a i to przy takim wietrze nie prędzej niż za miesiąc. Widzisz, jak żagle zwisły? Ledwo chucha... Pewnie też będzie skręcał, czuję to w kościach. W Mandagoriwie sprzedam kasztany, a kupię szkiele, gumy i oliwy. No i z pięć małąp, na więcej mnie nie stać. Oliwę można skupować i w dalszych portach, im dalej, tym świeższa dojedzie. Wszystko to potrwa, oczywiście. Potem będziemy jechać na północ wzdłuż wybrzeża, ale to już będzie Miesiąc Zardzewiałych Liści, lepiej wtedy nocować w portach. Piratów też tam dużo. Potem –

Ktoś obok zagadał śpiewnie i Memuke porwał się na nogi, nie kończąc zdania. Tagun jadł dalej. Ta czynność odrywała go od rozpaczliwych myśli, mniej wprawdzie niż słuchanie gawędy Fingaja, ale zawsze choć trochę. Deszcz tymczasem ustał zupełnie, chociaż słońca nadal nie było widać. Tagun wygrzebał z miski wszystko aż do ostatniego okrucha i schował się znowu pod swoje derki. Iść nigdzie nie miał jeszcze ani siły, ani ochoty, a zresztą i nie było dokąd. Chłopiec westchnął – i raz jeszcze spojrzął w oczy swojej rozpaczy.

Fingaj był życzliwy, usiłował go po swojemu pocieszać, ale to, co na początku powiedział, zabrzmiało jak najboleśniejsza drwina. „Może ci tam będzie dobrze”. Jak może być dobrze tam, gdzie niemożliwe jest Oczekiwanie? „Póki żyjesz, zawsze jeszcze masz nadzieję”. Jaką? Nadzieję ucieczki? Przez morze? Z każdym dniem jest przecież dalej, a tam na końcu drogi czeka go los wciąż jeszcze niezrozumiały i straszny. Fingaj ma go sprzedać, tak jak sprzedaje kasztany i oliwę, a więc ktoś ma go kupić – po co? Cóż może zrobić

jedna istota myśląca z drugą, kiedy ją... kupi? Kupi jak kurę albo wołu – i co dalej?

Było to tak niezrozumiałe, że wyobraźnia nie sięgała w te sfery zupełnie, i to było dobrze dla Taguna: nie wpadło mu do głowy oczekiwać dla siebie losu zarzniętej kury lub orzącego wołu. Jego myśl, natrafiwszy tu na absolutną ciemność, zawróciła w dostępniejsze dla świata dziedziny – po to tylko, żeby za chwilę znowu znaleźć kolejną przeszkodę nie do pokonania.

Nadzieja: nie ma przecież innej nadziei niż ta, że się doczeka Powrotu. Można się go doczekać na Wyspie. Ale właśnie: czy tylko na Wyspie? Skąd Or na Wyspę przychodził? Dokąd potem szedł? Nikt go o to nigdy nie pytał, nikt nie potrzebował pytać: nikt nie wiedział. Czy nigdzie na całym świecie poza Wyspą nie bywał? Żaden lud Obcy nie interesował się Przejściem i nie czekał na nie. Właśnie dlatego byli przecież „obcy”. Ale teraz już nawet Lud Wyspy jest obcy, bo przestał czekać. Gdyby Or mimo to przyszedł, pewnie by go nawet nie poznali. Więc może i po ziemiach Obcych Or chodzi czasem niepoznany? Gdzie mieszka?

Gdyby przynajmniej istniała nadzieja, że ktoś gdzieś na te pytania odpowie, byłby to już jakiś punkt oparcia, jakieś malutkie światełko. Ale przecież nikomu poza Ludem Wyspy Or nie był znany. Tagun zwinął się w kłębek z twarzą na ziemi i znowu się rozplakał. Na Wyspie przywykł w każdej wolnej chwili wysyłać myśli i serce w radosnym porywie tęsknoty ku Oczekiwanemu: teraz czuł, że już nie ma po co. Krzywda, pustka, niedola.

Spłakany zasnął. Obudził się w środku nocy pod wrażeniem gorąca. Rzeczywiście zrobiło się wyjątkowo ciepło, a ciężkie i sztywne derki trudno było przez sen odsunąć. Panował gęsty mrok bezksiężycowej nocy, zwłaszcza że po niebie płynęły duże chmury, które co chwila zasłaniały gwiazdy. Wiatr wiał lekki i ciepły: Tagun usiadł, odetchnął pełną piersią i dopiero wtedy zwrócił uwagę na śpiew dochodzący zza namiotu. Śpiewali niewątpliwie Fingaje, a raczej śpiewał jeden Fingaj, a gdy kończył zwrotkę, chór powtarzał refren, ale w tym chórze można było rozróżnić wyraźnie głosy (choć nie języki) także i innych istot.

Pieśń była rozlewna, szeroka, potężna nawet wtedy, gdy ciągnął ją pojedynczy głos; mówiła najoczywiściej o wielkiej przestrzeni, dalekiej drodze, tak niewyobrażalnie dalekiej, że przez to strasznej, a nawet niemożliwej, ale i upragnionej tym bardziej. Wiatr zdawał się podsycać tę pieśń, zwiększać dal, rozpalać pragnienie. Co chwila, gdy kończyła się zwrotka, cały chór powtarzał powoli jako refren:

– Nahidene! Nahidene!

I było to jak westchnienie morza i wiatru zarazem. Tagun nie wiedział jeszcze, że przy południowym wietrze nocą żeglarze zawsze śpiewają, tak jak przy północnym zawsze polują, jeżeli jest na co; a śpiew zaczynają od Pieśni Południowego Wiatru, bardzo starej pieśni, miejscami już niezrozumiałej, lecz siłą tradycji śpiewanej nadal, chociaż oczywiście żaden z nich nie myślałby poważnie o wyprawie ku Nahidene – Głębi Południa – do której pieśń zdawała się wzywać. Jej uroczysty ton podziałał jednak na chłopca tak silnie, że zmusił go do opuszczenia legowiska i przeczołgania się ostrożnie przy ścianie namiotu ku śpiewającym.

Tworzyli oni duży krąg, miejscami podwójny lub potrójny. W środku kręgu stał garnek z żarzącymi się węglami, po których pełgały blade płomyczki: oświetlał on lekko twarze wewnętrznego przynajmniej koła siedzących. Większość z nich byli to Fingaje z załogi, w szerokich spodniach i szerokich bluzach z kapturami; ale kaptury poodrzucali, a w ich ogromnych okrągłych oczach odbijał się szklście różowy blask ogniska. Na wprost Taguna siedziały też trzy istoty tej samej rasy co Dźauri Tanu, ubrane w dziwaczne pasiaste płaszcze i wysokie kołpaki, ale bez skrzydeł. Obok nich stał w pierwszym rzędzie Memuke i on to śpiewał kolejne zwrotki tęsknej pieśni; tuż przy nim połyskiwało nalaną powierzchnią coś jakby worek czy beczka, obok drugi, dalej zaś znowu Fingaje. Najbliżej, ale tyłem do Taguna, siedziało kilka innych jakichś istot w szerokich ciemnych płaszcach, z kapturami narzuconymi na głowy. Do nich to właśnie, jak zauważył Tagun, Memuke zwracał się szczególnie podczas śpiewu, dbając, by przy towarzyszących melodii półtanecznych ruchach nie odwrócić się

przypadkiem tyłem ani nawet bokiem od nich. Im też skłonił się, gdy skończył, podczas gdy chór powtarzał po raz ostatni:

– Nahidene! Nahidene!

Memuke znowu się ukłonił, po czym przemówił, ale ku zdumieniu Taguna nie po fingajsku, tylko językiem Wyspy. Przynajmniej tak się chłopcu z początku zdawało, po chwili jednak zauważył, że kupiec akcentuje teraz wyrazy nieco inaczej, niż kiedy rozmawiał z nim, inaczej je też kończy i używa większej ilości słów dla niego niezrozumiałych. Treść przemowy była jednak łatwa do uchwycenia: Memuke zwracał się ceremonialnie do kogoś, kogo nazywał swym czcigodnym gościem, prosząc go, by zechciał przewodniczyć śpiewom i wybierać śpiewaków i pieśni. Gdy mówił, inni Fingaje szeptali śpiewnie i rytmicznie: „Taima oda ho, Taima oda ho”, co widocznie oznaczało przyświadczenie. W odpowiedzi zabrzmiał wysoki, chłodny głos, który Tagun rozpoznał natychmiast: był to ten sam podróżny, który pytał o coś kupca po fingajsku wtedy wieczorem przy sterze, zanim świat nie zniknął gdzieś jak zdmuchnięty płomyk. Teraz głos ten oznajmił krótko, że wszystkie obecne na pokładzie rasy abalahinda powinny kolejno śpiewać swoje pieśni, zaczynając raz jeszcze od Feinu. Memuke natychmiast zaintonował jakąś rytmiczną balladę, szybszą o wiele od tamtej pierwszej pieśni, niemal skoczną, a śpiewaną przez cały chór razem. Później ci w kołpakach zanucili coś po swojemu: melodia była powolna i dość nudna, wyglądało to na długą opowieść o jakichś wydarzeniach, widać dla nich ważnych – a chwilami zgoła na listę cudacznym imion i nic poza tym. Skończyli wreszcie i zaraz potem spotkała Taguna jedna z największych niespodzianek w życiu. Mianowicie z kolejnym zaproszeniem do śpiewu Memuke zwrócił się do tych stojących obok siebie niby worków, na co jeden z nich wysunął się trochę naprzód, podziękował grzecznie w tym samym języku i rozpoczął pieśń. A więc i to były abalahinda, a chociaż w niepewnym świetle trudno się było Tagunowi zorientować, czy i gdzie mają one usta (a nawet w ogóle głowy), mowa ich była wyraźna, tak że chłopiec mógłby nawet jej poszczególne słowa powtórzyć, chociaż ich nie rozumiał.

W ich śpiewie rytm górował niewątpliwie i nad melodią, i nad tekstem. Jedno i to samo słowo powtarzało się chyba i po kilkadziesiąt razy, zanim ustąpiło miejsca następnemu, ale Tagun, obdarzony doskonałym słuchem, szybko zdał sobie sprawę, że jest ono powtarzane na mnóstwo rozmaitych sposobów, wynikających z kombinacji zmian tonu, akcentu, rytmu przedłużeń i skrótów. Nie lada sztuki śpiewaczej trzeba było, żeby coś takiego bezbłędnie wykonać. Po raz pierwszy w życiu zafascynowany czymś nieznanym, Tagun zaczął nawet powtarzać szeptem: „Czi wa, czi wa, czi wa...” – ale zorientował się od razu, że nie jest to w jego wykonaniu ani odrobinę podobne do wzoru.

Potem znowu śpiewali Fingaje, i ci w kołpakach, i znowu ci kuliści, i tak po wiele razy. Tagun zauważył, że do fingajskich pieśni przyłączają się wszyscy obecni, widocznie były najlepiej znane; ale w ogóle wydawało się, że większość tak żeglarzy, jak i podróżnych potrafi jeśli nie śpiewać, to w każdym razie mówić językami innych ras. Pieśni (oraz ich wykonanie) komentowano, chwając lub ganiąc jedno i drugie z wyraźnym znawstwem, chociaż było widoczne, że te komentarze są najżywsze po drugiej stronie ogniska, a raczej nieśmiało w bliskości „dostojnego gościa”.

Ten ostatni nie odezwał się więcej przez cały czas, ani śpiewem, ani mową, i Tagun już o nim zapomniał, gdy wreszcie Memuke powstał znowu i z uroczystym ukłonem zaczął:

– Ogai, pozwoliłeś nam tu śpiewać w swojej obecności, tak jak słońce pozwala wędrowcom rozpalać ogień nocą i nie jest o niego zazdrosne; ale kiedy już słońce wszędzie, ogniska gasną. Tak i ty zechciej teraz zaśpiewać dla nas, a po tobie nikt się już ust otworzyć nie ośmieli.

– Taima oda ho, taima oda ho... – zaszemrali żeglarze, po czym zrobiła się cisza absolutna, taka, że tylko wiatr było słycać. I nagle przerwał tę ciszę dźwięk do tej pory na statku nie słyszany: muzyka strun. Lekko, cicho, radośnie poddały ton, a potem ścichły jeszcze bardziej, ścieląc się tylko pod głos śpiewaka jak łagodne fale po dziób łodzi. A głos był ten sam co przedtem, ale zarazem zupełnie inny: kiedy mówił, mówił chłodno i krótko, ale kiedy

śpiewał, wydawało się, że wypowiada w każdej nucie wszystkie najtajniejsze poruszenia serca, nasilające się latami pragnienia, walczące z nimi obawy, a wreszcie niezachwianą pewnością mędrca, płynącą z doświadczenia bardziej jeszcze niż z wiedzy. Słuchacze nie wątpili, że gdyby nawet nie rozumieli słów pieśni, śpiewak przekazałby im jej treść mocą samej tylko swojej sztuki.

*To dwoje jedno stanowi – niechaj ich nikt nie rozdziela!
Szczęście jest siostrą boleści, smutek jest bratem wesela.
Miesiąc w ciemności żegluje, w jasności zjawia się słońce,
Ale jednego jest rodu ze swoim bratem, miesiącem.
To dwoje jedno stanowi, jak gwiazdy tańczące w parze:
Rozpacz jest siostrą nadziei, upadek bratem jest marzeń.
Z obojga los jest utkany niby z osnowy i wątku,
I w pełnej zgodzie się splatać kazano im na początku.
Daleko bywa najbliższej, a bliskość bywa daleka;
Rozłąka bywa spotkaniem, spotkanie z rąk nam ucieka.
To dwoje jedno stanowi – rozedrzeć któż się ośmiela?
Szczęście jest siostrą boleści, smutek jest bratem wesela.*

Umilkła pieśń, a po niej jak echo umilkł akompaniament i znowu było słycać tylko nasilający się wiatr. I wtedy to właśnie na Taguna przyszła pewność tak silna, jak przedtem silna była rozpacz: że nie tylko wolno mu i może, ale powinien i musi ufać i czekać, i tęsknotą serca przywoływać Oczekiwanego. Że dokądkolwiek by go zawieziono, nadzieja na spotkanie znikłaby dopiero wtedy, gdyby przestał czekać. Że choćby wszystkie morza i lądy leżały pomiędzy nimi, on i Upragniony będą dążyć wzajemnie ku sobie poprzez te morza i lądy, aż się spotkają.

Raz jeszcze przywarł twarzą do desek pokładu i rozplakał się, ale tym razem ze szczęścia.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Nauka rzemiosła

Następnego dnia Memuke mógł sobie już powinszować swojej kupieckiej rzetelności w trosce o towar. Tagun był jeszcze słaby i nie bardzo trzymał się na nogach, ale był ożywiony, niemal wesoły, jadł i rozmawiał chętnie, a nawet mniej się już brzydził dotknięcia ręki Obcego. Zaczął też zadawać mnóstwo pytań, co dla niejednego byłoby może kłopotliwe, ale Memuke miał wśród istot innych ras zasłużoną opinię najgadatliwszego Fingaja wszystkich mórz i z przyjemnością witał nawet tak małe audytorium. Inna sprawa, że jego rodacy przypisywali mu, również nie bez racji, doskonale panowanie nad własnym rozbieganym językiem i używali go często do spraw wymagających rozwagi i dyskrecji, co by ogromnie zdumiało wszystkich obcych, gdyby im o tym ktokolwiek powiedział.

Teraz więc, mrużąc oczy i snując dalsze plany przysporzenia sobie zysku, odpowiadał obszernie na pytania Taguna dotyczące uczestników nocnej uroczystości. Zainteresowanie chłopca kulistymi Tmutami przyjął bardzo życzliwie i snuł barwne opowieści o wielkim mieście Lhed, położonym nad Sierpową Zatoką, o tęczowej kopule królewskiego pałacu (to może najmniej Taguna ciekawiło) i o zwyczajach tamtejszego lud oraz ich dziwnym języku. O patykowatych, sztywno się trzymających Dżugidach miał mniej do powiedzenia, albo może nie miał ochoty mówić; natomiast kiedy Tagun ośmielił się wreszcie zapytać o ostatniego śpiewaka, Memuke nie poskąpił informacji.

– Widziałeś na dziobie łodzi, na łuku, wielki miedziany ćwiek? – mówił – Teraz, gdy zawiniemy do Adongo, wbiję drugi. Po raz drugi w życiu mam zaszczyt wieść na swojej łodzi barda

pierwszego stopnia. To wielka reklama dla statku, a i zysk niemały, bo oni złotem sypią jak inni kaszą. Ten nazywa się Nuno Lagmi, a jest Megnitą, jak sam widziałeś; większość najwyższych bardów to Megnici, chociaż oczywiście nie wszyscy. Jedzie z dwoma uczniami, nie pytam go, skąd; wsiadł na waszej Wyspie; a przejazd opłacił do Adongo. Ho, ho! To wielka łaska z jego strony, że zechciał wczoraj śpiewać dla takich, jak my tu wszyscy, amatorów. Chociaż w moim narodzie i ja jestem uważany za wcale niepośledniego śpiewaka; ale nasi pieśniarze nie przyjmują wtajemniczenia do bractwa, nawet najniższych stopni, toteż w jego oczach nie liczę się zupełnie. Ba! Śpiewał na moim statku! We wszystkich portach to oznacza ulgi celne, a w samym Adongo nawet zupełne zwolnienie od cła, jeśli sam bard zechce zaświadczyć o tym wobec urzędników. Miałem szczęście, że trafił na wiatr południowy. A będę miał jeszcze większe, jeśli aż do Adongo nie trafię na północny, bo wtedy musiałbym się puścić w pogoń za pierwszym spotkanym delfinem, a bardowie tego nienawidzą... Ale lepiej zrezygnować z ulgi, niż się narazić wiatrowi północnemu. Na obie strony trzeba mieć oko w moim zawodzie. A skoro mowa o zawodzie: czyś ty się uczył jakiegoś rzemiosła?

– Mój ojciec robił kamienne naczynia i sprzęty – odpowiedział Tagun – i trochę mnie tego uczył, ale niewiele.

– Phi! Kamieniarz! Też mi zajęcie w arcykapłańskim rodzie... Tylko na waszej wyspie coś takiego może się zdarzyć. Niczego się więcej nie uczyłeś?

– Grać na szalanie... i śpiewać...

– Ooo... – rzekł Memuke, nie wiadomo, rozczarowany czy zadowolony. – No tak. Mało prawdopodobne, bardzo nęcące, a na ostatku grożące stratą, jak każdy wielki zarobek. Muszę to sobie jeszcze rozważyć. Tymczasem prosiłem panów Geb i Kri, żebyś mógł się od nich uczyć języka Tmutów. To są kupcy jak ja, i dobrzy moi znajomi: ja dbam o ich towar pod pokładem, oni o mój na pokładzie. Jeśli masz dobry słuch, to się nauczysz łatwo.

– Po co? – zapytał Tagun. Po wczorajszym wielojęzycznym koncercie nauka obcej mowy nie wydawała mu się już czymś tak

odpychającym jak kiedyś, ale przecież niedawno jeszcze zbuntował się publicznie przeciw temu rozkazowi Tanu i nadal uważał taki bunt za naturalny. Memuke znowu zmrużył oczy aż do kocich szparek.

– Widzisz – powiedział – wydaje mi się, że ty wciąż jeszcze nie rozumiesz swojego położenia. Ja jestem tym, który cię kupił i chwilowo należysz do mnie, tak samo jak na przykład ten statek. Mam prawo wydawać ci rozkazy, a ty ich musisz słuchać. Teoretycznie, oczywiście, mógłbyś się zbuntować i nie słuchać, a ja bym cię wtedy mógł karać; mówię „teoretycznie”, bo z takiego obrotu sprawy żadnemu z nas nic by nie przyszło i ja sam jak dotąd zrobiłem uczciwie wszystko, żeby tego uniknąć. Myślę, że możemy ubić interes. I mnie, i tobie zależy na tym, żebyś do końca podróży dojechały cały, zdrow i w dobrym humorze: w tym celu ja tobie okażę przychylność, a ty mnie okazuj posłuszeństwo. To wystarczy, obaj na tym skorzystamy. Teraz co do języka Tmutów: jeżeli się go nauczysz po drodze, tyle przynajmniej, ile przez ten czas zdołasz, to ja na miejscu uzyskam za ciebie wyższą cenę, a ty będziesz mógł wiedzieć, o czym oni dookoła ciebie mówią, i pozwól sobie powiedzieć, że to jest nie lada korzyść w obcym kraju. Dostałbym za ciebie jeszcze więcej, gdybyś znał jakieś rzemiosło, a już zwłaszcza gdybyś naprawdę umiał śpiewać; no, ale nie ośmielę się przecież prosić kogoś takiego jak sam Nuno Lagmi, żeby cię przyjął po drodze na naukę... Mało prawdopodobne, żeby się zgodził, a potem wprawdzie byłbyś wart podwójną cenę, ale gdyby nauka poszła za daleko i gdyby on cię wtajemniczył do bractwa choćby tylko na siódmy stopień, to już bym cię w ogóle nie mógł sprzedać i straciłbym cały wkład. No więc ucz się po prostu mowy Tmutów i na tym poprzestańmy. Kiedy się wzmocnisz, będziesz trochę pomagał żeglarzom, ot tyle, żebyś nie zapomniał się ruszać. Wierz mi, wielu kupców podczas takiej podróży kazałoby ci jeszcze zarabiać ciężką pracą na każdą miszkę stawy. Ja nie, bo... bo... No, w każdym razie umawiamy się tak, jak mówiłem, a ty dotrzymaj swojej części tej umowy, żebym nie był stratny.

Było to straszne i wciąż jeszcze nie w pełni zrozumiałe, ale Tagun czuł, że Fingaj jest mu na swój sposób życzliwy i robi dla niego tyle, ile może; toteż przystał, choć z ciężkim sercem, na umowę. Panowie Geb i Kri, jak się okazało, nudzili się bardzo podczas podróży, bo zjawili się jeszcze tego samego dnia, dopytując się o swojego ucznia i nie czekając, ażby on sam wrócił do sił na tyle, żeby podejść do nich. Tagun mógł teraz dobrze im się przyjrzeć i stwierdzić, że coś w rodzaju głowy i kończyn niewątpliwie posiadają; przez długi czas jednak nie umiał powiedzieć, ile właściwie tych kończyn było, zwłaszcza że wszystkie wydawały się chwytnie i wszystkie normalnie ginęły w fałdach odzieży, a zjawiały się na zewnątrz w nieoczekiwanych miejscach w razie potrzeby. Ulubionym sposobem przemieszczania się obu panów było też nie chodzenie, ale toczenie się: wtedy nikły nie tylko niby-nóżki, ale i niby-głowa, a pozostawała pędząca kula, która na małych nawet odległościach rozwijała ogromną szybkość, ale nigdy o nic nie potrafiła i zatrzymywała się z bezbłędną dokładnością w obranym punkcie. Jeżeli jednak pokład był mokry albo brudny, wszystkie kończyny zgodnie służyły do podźwignięcia nad nim tułowia i wolno sunący Tmut podobny był wtedy najbardziej do żuka.

Tagun z początku miał trudności z traktowaniem tych swoich nauczycieli poważnie, zwłaszcza że byli od niego mniejsi i aż się prosiło uważać ich za coś pośredniego między młodszym rodzeństwem a kotem. Wkrótce jednak przekonał się, że Geb i Kri są bardzo starzy, przynajmniej jak na jego pojęcia, a przy tym równie jak Memuke obyci w świecie, doświadczeni i zamiłowani (choć po amatorsku tylko) w poezji i pieśni. Uczył się więc od nich nie tylko języka, ale i wiadomości o świecie, które pomału zaczynały mu się układać w spójny obraz. Obaj Tmutowie, choć długoletni wspólnicy, po raz pierwszy bodaj znaleźli się razem na tej samej łodzi, a tak się dziwnie składało, że w poprzednich podróżach prawie zawsze jeden z nich tam bywał, gdzie nie bywał drugi; toteż ich opowieści znakomicie się uzupełniały. Obaj też mówili po megnijsku zupełnie biegle, ale w rozmowach z chłopcem

starali się używać zrozumiałej dla niego mowy coraz mniej i tylko w razie koniecznej potrzeby, tak że nauka języka szła rzeczywiście szybko.

W pierwszym jej tygodniu Tagun miał jeszcze wielkie trudności z odróżnieniem pana Geb od pana Kri: wydawali mu się identyczni. W miarę przebywania z nimi nauczył się najpierw odróżniać ich po cechach usposobienia: Geb był cichszy i bardziej serdeczny, Kri gadatliwy i sarkastyczny. Potem okazało się, że ich głosy są przecież całkiem niepodobne; pod koniec zaś trzeciego tygodnia Tagun nie rozumiał zupełnie, jak mogły mu się kiedykolwiek mylić osoby już na pierwszy rzut oka tak różne.

Przy tym wszystkim zaprzyjaźnił się z nimi do tego stopnia, że zaczął im nawet trochę opowiadać o zwyczajach Wyspy, a oni dziwili się, bo o tym wiedzieli dotąd niewiele, ale dziwili się przychylnie i uprzejmie, tak, że to ich zdziwienie nie bolało. Któregoś wreszcie wieczoru Tagun, po całym dniu usilnych przygotowań, zaśpiewał im przetłumaczoną przez siebie na język Wyspy Pieśń o Fali, której oni go poprzednio uczyli. Melodię zmienił na tyle, żeby pomieściła dłuższe, wielosylabowe słowa, ale zdołał szczęśliwie mimo to zachować (choć nie bez pewnych uproszczeń) jej rytmiczny charakter. Panowie byli zachwyceni, a Geb zaczął go namawiać, żeby zaśpiewał im także którąś z oryginalnych pieśni Ludu Wyspy.

– Musi to być rozkosz dla ucha – mówił – jeżeli twój Lud jest tak muzykalny, jak o tym świadczy twoja zręczność w dokonaniu tej przeróbki. Zdołałeś bowiem szczęśliwie dostosować cechy języka do wymagań melodii i cechy melodii do wymagań języka. Twój głos nie jest jeszcze ukształtowany i wykonanie pieśni można by w wielu punktach wygładzić, ale znajomość zasad kompozycji masz najwyraźniej we krwi. Teraz żałuję, że nie zatrzymałem się na Wyspie Mgieł dość długo, żeby móc posłuchać tamtejszych pieśniarzy, ale tym bardziej pragnę, żebyś ty nas zapoznał z ich utworami.

Tagun poczuł się zakłopotany. Właściwie wszystkie pieśni Wyspy, jakie pamiętał, dotyczyły w ten czy inny sposób

Oczekiwania i wydawało mu się w pierwszej chwili profanacją śpiewać je Obcym. Jednocześnie jednak poczuł ogromne pragnienie wyśpiewania głośno i jawnie tego, co nieraz godzinami całymi nucił cicho: swojej odrodzonej i stale rosnącej tęsknoty i nadziei. Odruchowo naciągnął brzeg płaszcza na głowę i zaczął:

*Nic się nie zdarzy
aż do Powrotu.
Nic się nowego nie zdarzy
aż do Powrotu.
Nic godnego uwagi
aż do Powrotu.
Nic dłuższego
niż Oczekiwanie.
Nic radośniejszego
niż Oczekiwanie.
Nic pewniejszego
niż Oczekiwanie.*

W tej chwili poczuł, że ktoś dotknął jego głowy. Obejrzał się: za nim, czy raczej nad nim z tyłu stał Nuno Lagmi, dotychczas tylko z rzadka spotykany i oglądany z daleka, o ile można zastosować to wyrażenie do warunków podróży na niewielkim statku. W każdym razie nigdy dotąd bard nie zwracał na chłopca uwagi; teraz stał za nim, dotykając końcem palca jego głowy, a gdy on odwrócił się na to dotknięcie, Nuno rozkazał cicho:

– Zrzuć to.

Kiedy zaś Tagun w pierwszej chwili nie zrozumiał, o co chodzi, bard lekko, ale szybko zsunął brzeg płaszcza z głowy chłopca, po czym rozkazał znowu:

– Chodź ze mną.

I odwrócił się, zmierzając w stronę dziobu statku. Na panów Geb i Kri nie zwrócił żadnej uwagi; Tagun spostrzegł jednak, że obaj zastygli w pozie wyrażającej u Tmutów najwyższy szacunek. On sam tak już uległ atmosferze czci, którą otaczano barda, że bez namysłu spełnił rozkaz. Załedwie jednak zrobił parę kroków, nadbiegł Memuke i ku zdumieniu chłopca ośmielił się chwycić samego Nuna za połę płaszcza, zatrzymując go w pół kroku.

– Ogai, nikt bardziej niż ja nie szanuje bardów – zaczął szybko,

a w jego głosie brzmiało to samo wzburzenie, które już się przewijało i w ruchach. – Nikt bardziej niż ja nie czci i nie szanuje! Zechciej jednak przypomnieć sobie, ogai, co być może uszło już twojej uwagi, obciążonej tyłu ważniejszymi sprawami, że chłopiec, którego wezwałeś, jest moim niewolnikiem, nie może więc zostać bardem, nie może wejść do bractwa, gdyż byłoby to dla mnie stratą, wielką stratą, na jaką mnie nie stać! Jestem tylko kupcem, nie jestem –

– Skończ – powiedział Nuno równie cicho jak przedtem. – Nic nie zrobię z twoją własnością bez twego pozwolenia, ale gdy chodzi o rzecz tak drobną jak rozmowa, zakładam to pozwolenie z góry. Zostaw nas samych.

I Memuke cofnął się posłusznie. Płynęli już wtedy po wodach Małego Archipelagu i mieli tylko dzień drogi do Mandagoriwy; wszędzie dotychczas obecność Nuna na statku i jego przychylnie świadectwo stanowiły dobrze procentujący kapitał, którego Fingajowi żal było tracić. Przy tym słowo bardów uchodziło za nieodwołalne, a chociaż Memuke w głębi duszy nie sądził, żeby czyjekolwiek słowo mogło być zawsze i w każdych warunkach nieodwołalne, nie śmiał teraz po otrzymaniu go okazywać nieufności... przynajmniej dopóki by nie dostał do ręki jakichś wyraźnych dowodów oszustwa. Mimo wszystkich obaw oddalił się więc, a nawet rozkazał żeglarzom, żeby – o ile to możliwe – nie zbliżali się do dziobu, dopóki Nuno Lagmi tam siedzi.

Nuno zaś usiadł w samym wgłębieniu dziobu, pod cofającym się nad pokład łukiem (Tagun od razu zauważył ów miedziany ćwiek, do którego miał wkrótce przybyć drugi) i wskazał chłopcu miejsce przed sobą na deskach pokładu. Zapytał:

– Jesteś z Gari tin-Majá (Wyspy Mgieł)?

– Tak, ogai. Ale my nazywamy ją Gar'Ingawi (Wyspą Szczęśliwą).

– Ingawi? Nie Igawi?

– Nie, po naszymu Gar'Ingawi.

– A twoje imię?

– Tagun.

- Tagannu (wierny). To częste imię u was?
- Częste, ogai. Ja dostałem je po pradziadku.
- Dlaczego nakryłeś głowę płaszczem?
- Tak u nas wszyscy robili.
- Byłem przez kilka tygodni na Gar’Ingawi, ale nikogo tak ubranego nie widziałem.

Tagun zawahał się. Żeby to wyjaśnić, trzeba było właściwie opowiedzieć całą historię odstępstwa Ludu, a w takim razie już i wszystko, co dotyczyło Powrotów. Powiedział ostrożnie:

- W ciągu ostatnich miesięcy zwyczaje bardzo się zmieniły.

Bard patrzył na niego bez słowa i Tagun po chwili zaczerwienił się i spuścił oczy, bo zdawał sobie sprawę, że to wyjaśnienie mogło wydawać się niezręcznym kłamstwem. Nie rozumiał też, dlaczego ta sprawa miałaby być taka ważna, ale pytać nie śmiał.

- Wiem, że nie kłamiesz – powiedział wreszcie Nuno – ale potrzeba mi dokładniejszych wyjaśnień. Czy wiesz, że twój Lud przybył na Wyspę Szczęśliwą z mojego kraju?

- Nie wiedziałem o tym, ogai.

– Tak było, chociaż było to już tak dawno, że nawet dla Tmutów te czasy są już bardzo odległe. Ale sam widzisz, że świadczy o tym nasz wygląd, a nawet nasza mowa jest wciąż jeszcze podobna. Nie jestem więc całkiem obcy.

Znowu zapadła cisza.

- O czym powrocie śpiewałeś?

– Ja... – zawahał się raz jeszcze Tagun i nagle ośmielił się spojrzeć znowu prosto w oczy barda. Lud Wyspy odznaczał się dużą wrażliwością, płynącą z ciągłej czujności, toteż nawet w kontaktach z Obcymi umiał bez trudu (jeśli miał ochotę) odczytywać ich nastroje albo i zgoła intencje. Tym razem jednak Tagun, mając do czynienia z istotą tej samej co i on rasy, poczuł, że nie tylko tamten rozumie jego obawy, ale i on tamtego przenika, może nawet głębiej jeszcze, a znajduje pod spokojną, wyniosłą postawą tak bezkresną udrękę poszukiwania, że już nie może dłużej nic ukrywać.

Opowiedział więc bardowi wszystko, co wiedział o powrotach

Ora, a nie było tego wiele, bo Lud Wyspy nie miał zwyczaju ubierać tej sprawy w mnogość słów czy domysłów. Potem opowiedział o wszystkich zwyczajach z tym związanych, czego było już trochę więcej; zakończył zaś historią ostatniego roku. Bard przez cały czas nie przerywał mu ani słowem; dopiero kiedy chłopiec już skończył, zapytał:

– Więc tylko ty jeden zostałeś?

– Ja i Nulani, i jeszcze Inutu. Chociaż on... męczył się bardzo.

– Tak, tego Inutu, jeśli dobrze rozumiem twoją opowieść, możesz z góry wyłączyć. Nulani... zobaczymy. Co do ciebie jednego jest pewność.

Zamyślił się; Tagun nie śmiał przerywać milczenia.

– A ja – zaczął po chwili bard – pojechałem na Gar'Ingawi po to właśnie, żeby się dowiedzieć, czy tam nie ocalała jakaś resztką prawdy, fragment podobny do tych, które u nas znane są wtajemniczonym. Znalazłem jednak lud podobny do wszelkich innych ludów i mówiący tylko o dniu dzisiejszym. Myślałem, że tak czynią już od niepamiętnych czasów i że trzymałem się na próżno. Wyruszyłem więc w drogę powrotną rozczarowany, a tymczasem właśnie tym samym statkiem posłano ciebie. Tyle mogę ci powiedzieć... i może to jedno jeszcze, że nie wiem na razie, jak połączyć to, co się przechowało u was, z tym, co my wiemy: odbędzie się nad tą sprawą niejedna narada. Ale nigdy w najdalszej Głębi Południa nie została wyznaczona szczęśliwsza godzina.

– Czy wyjaśnisz mi to, ogai?

– Kiedy tylko będzie mi wolno. U końca mojej drogi. Posłuchaj: odkupię cię od Memukego, wysiadziemy w Adongo i zabiorę cię ze sobą do Larri: tam się chyba niejedno wyjaśni nam obu. Idź teraz i wezwij do mnie kupca.

Tu jednak natrafili na przeszkodę nie do pokonania. Memuke wiał się i kręcił, kłaniał się bardowi do ziemi i rozprawiał kwieciście o swojej nieskończonej czci dla Bractwa, ale Taguna odsprzedać nie chciał, nawet kiedy mu Nuno ofiarował podwójną cenę. Zgodził się tylko, a i to z trudem, żeby chłopiec mógł pobierać u barda lekcje śpiewu; zażądał jednak raz jeszcze obietnicy, że Nuno Taguna nie

porwie, nie kupi ani nie wtajemniczy do bractwa.

Odtąd też zmienił się jego stosunek do Taguna i chłopiec nie słyszał już od niego całymi dniami ani jednego życzliwego słowa, ale przeciwnie, wiele słów przykrych i złośliwych. Panowie Kri i Geb, widząc, co się dzieje między kupcem a bardem, woleli nie narażać się żadnej stronie i odtąd starannie trzymali się z daleka. Tylko Geb czasem ukradkiem posyłał chłopcu swój odpowiednik uśmiechu. Nagle też okazało się, że na statku jest mnóstwo roboty, która właśnie czekała na kogoś takiego jak Tagun i nikt inny by jej nie mógł wykonać, a wykonana być musi. Ze względu jednak na barda, któremu trudno było otwarcie się sprzeciwiać, Memuke pozostawiał chłopcu codziennie kilka godzin na pobieranie nauki. Tagun myślał ze strachem, że to potrwa może przez miesiąc, a potem mu zostanie znów tylko statek, pełen nieżyczliwych Obcych, wiozących go ku jeszcze gorszemu losowi.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Los Delfina

Memuke śledził teraz Nuna Lagmi bardzo starannie i długie godziny spędzał na rozważaniu każdego słowa i niemal każdego ruchu barda.

Ten zaś na pozór zachowywał się zupełnie tak samo jak przedtem: z namiotu wychodził rzadko, załogi i innych podróźnych jakby nie widział: odzywał się krótko i cicho, wyłącznie do swoich uczniów oraz do urzędników portowych wchodzących na statek. (To zresztą Memuke bardzo sobie chwalił.). Były jednak pewne wyjątki i one to właśnie spędzały Fingajowi sen z oczu. W Mandagoriwie stali przez tydzień; zaraz pierwszego dnia statek opuścili trzej Dżugidowie, którzy tam właśnie kończyli podróż, i Memuke znalazł sobie trzech innych pasażerów. Mieli oni sprowadzić się na pokład w dniu wyjazdu. Czwartego jednak dnia, koło południa, Nuno wyszedł na ląd i wrócił po trzech mniej więcej godzinach: otóż tego samego wieczoru zjawili się na statku jednocześnie i Dżugidowie, i przyjęci w ich miejsce tubylcy, pierwsi z prośbą o dalszą jazdę, drudzy z zawiadomieniem, że jechać nie mogą. Memuke przyjął Dżugidów na powrót, bo po pierwsze zależało mu na zapłacie, a po drugie przez odmowę okazałby, że się czegoś domyśla; ale noc spędził bezsennie na zastanawianiu się, czy i jaki związek miało wyjście Nuna do miasta z powtórным zaokrętowaniem się tamtych. Pozornie nie miało żadnego. Żeglarz, któremu zlecono śledzić Nuna, twierdził, że ten przechadzał się po prostu samotnie po ulicach i nie wchodził nigdzie, z wyjątkiem małej świątynki megnijskiej na południowym przedmieściu. I tam też zresztą nie rozmawiał z nikim, a tylko wrzucił datek do skarbony. Ale czy to był na pewno datek? Może jakiś rozkaz na

piśmie? A jeżeli tak, to Nuno coś wie i coś knuje, bo gdyby nie knuł, działałby otwarcie. Tylko: co wie i co knuje?

Czy Dzugidowie są w jakiś sposób (może nawet nie wiedząc o tym) jemu poddani? Jeżeli tak, to źle, ale jeżeli nie, to jeszcze gorzej, bo w takim razie Nuno potrafi w ciągu kilku godzin, nie gadając z nikim, rozporządzić losem i działaniem aż dwóch grup nieznaną go i niezwiązanych z nim istot. Jest więc groźnym przeciwnikiem. Ale czy właściwie jest przeciwnikiem? W sprawie Taguna na pewno tak: bez wątpienia będzie jeszcze próbował wykupić chłopca, widać dobrze po nich obu, że się bardzo zaprzyjaźnili. Sprawa Taguna ma jednak głębokie i powikłane korzenie. Memuke zna niektóre z nich. Na pewno nie wszystkie. Ile z nich zna Nuno? W jakim stopniu? Od kiedy? I – co najważniejsze – jaki z tej wiedzy robi użytek? Z Dzugidami na pewno nie rozmawiał ani razu. Tagun nie mógł mu wyjawić celu ich podróży, bo sam go nie zna.

Memuke natomiast, znając go dobrze, głowi się dalej: Czy bardowie mogą w tym mieć jakiś interes, żeby nowa dynastia dżugbyrska pozbyła się niebezpiecznego wciąż jeszcze pretendenta? Gdyby mieli, Nuno odesłałby trzech Dzugidów na Kagi-Ogana, tymczasem wygląda na to, że zabiera ich ze sobą dalej w przeciwnym kierunku. Bardowie są jak Fehine, wszędzie i nigdzie, chociaż stolicę mają w Larri. Fehine mają stolicę tam, gdzie chwilowo przebywa ich Starszy. A to jest obecnie zbyt daleko, żeby posyłać i pytać; Memuke zdany jest na własne siły. Odwieczna, ogólna zasada brzmi: utrudniać zdobycie jakichkolwiek informacji tym wszystkim, którzy usiłują tworzyć własny wywiad zamiast posługiwać się żeglarskim ludem. Wierny tej zasadzie Memuke wiezie trzech wysłańców Gorda od Dzug-byru przez Kagi-Ogana i dalej, nie wspominając ani słowem, że ten, którego usiłują znaleźć, mieszka od pół roku na Kagi-Ogana właśnie, ani że chłopiec, od którego mogliby się o tym dowiedzieć, jedzie przez cały czas z nimi. Gordo oczywiście nie montuje żadnego prawdziwego wywiadu, nie zna się na tym: jego posłowie mają mu przywieźć tylko tę jedną wiadomość. Ale nie był dość mądry, żeby o nią pytać

Fehine, więc nie ma prawa jej zdobyć. Tu interesy Fehine zgadzają się doskonale z interesami Ungany, a sam Memuke zarabia, wioząc Dżugidów aż tak daleko. Bardowie zaś dotychczas nie zajmowali się wcale tą sprawą. Więc może jednak trzech Dżugidowie wrócili na statek dlatego, że ktoś im w Mandagoriwie powiedział: „Dżauri nigdy tu nie był, szukajcie dalej”? Kto? I dlaczego tamci tubylcy tak grzecznie zeszli im z drogi?

Tagun to dziecko, w polityce nie jest graczem, najwyżej piłką, którą przerzucają inni. Ungana cisnął tą piłką aż do Lhed, Nuno próbuje przechwycić ją w locie. Taguna trudno nazwać buntownikiem przeciw Unganie, może najwyżej zarzewiem buntu. Czy Nuno chciałby to zarzewie przechować? Nuno sam, przez sympatię dla malca, czy też bardowie? Co bardom może przeszkadzać rosnąca wprawdzie, ale wciąż jeszcze nieznaną nikomu moc Ungany? Żaden rozsądny władca nie kłóci się z bardami, to by go skazywało na zapomnienie. A Ungana jest aż za rozsądny!

Po całej nocy spędzonej na tych rozważaniach Memuke zaczął odtąd śledzić najstaranniej także i trzech Dżugidów. Kri, oczywiście nie za darmo, podjął się robić to dla niego wewnątrz namiotu. Jeżeli nie kłamał – a nie miał po co kłamać – Nuno nadal Dżugidów nie zauważał, ani razu nie dał im żadnego znaku, nie odezwał się ani słowem. Inaczej mówiąc, żadnych nowych wiadomości nie było skąd zdobyć i Memuke był zdany nadal tylko na snucie domysłów.

Tymczasem płynął wzdłuż brzegów Wielkiego Lądu, zawijając do tych portów, w których miał interesy, a miał je w wielu. Przy dobrej pogodzie opłynął bez trudności skalisty przylądek Galliwam i wziął kurs na zachód, znowu wzdłuż wybrzeża, tylko w nieco większym oddaleniu od niego niż poprzednio: wyspy były tu rzadsze, portów niewiele, za to mielizny liczne. Koło wybrzeży Hremy odbił nawet o półtora dnia drogi od lądu, żeby wyminąć słynne komysze pirackie. I tu właśnie dopadł go wiatr północny.

A spadł zniecka, tak że pomimo całej swojej znajomości morza i wiatrów Memuke nie zdołał tego przewidzieć i poszukać na czas

przystani. Nadleciał jak ciśnięty kamień, w jednej chwili wzburzył morze, spienił je, skotłował. Statek, pchnięty potężnie z prawej burty, przechylił się tak gwałtownie, że towary złożone pod pokładem przesunęły się w lewo pomimo zabezpieczeń, a to z kolei sprawiło, że kadłub nie mógł już powrócić do pionowej pozycji. Żagiel, który w chwili przechylenia zetknął się ze strzelającą do góry falą, mokry teraz i ciężki, utrudniał tym bardziej powrót do równowagi. Podróżni w namiocie – a Tagun był tam właśnie także – upadli wszyscy na ziemię i kto nie zdążył się czegoś chwycić, potoczył się aż na ścianę. W następnej chwili usłyszeli wrzask Memukego, silniejszy od wycia wiatru:

– Darám! Darám! Darám!

Był to rozkaz chronienia równowagi; wprawna załoga, która i na taki wypadek miała już wszelkie funkcje z góry wyznaczone, rzuciła się ku prawej burcie, kilku zaś do wjazdu ładowni. Gdyby Tagun mógł się wtedy wychylić z namiotu, byłby mimo tak długiego już pobytu na fingajskim statku zdumiony zręcznością pajęczonogiego ludu. Po stromo przechylonej powierzchni pokładu żeglarze pięli się ku górze, jakby ich ręce i nogi posiadały przyssawki zdolne utrzymać ich na mokrej ścianie. Do sterczącej nad nimi burty doszli wszyscy jednocześnie, długim rzędem, i natychmiast zaczęli po kolei, począwszy od tego, który był najbliżej dziobu, przedostawać się na drugą stronę. Po chwili wszyscy wisieli już na zewnątrz, wczepieni w bok statku jak pijawki, usiłując własnym ciężarem przeważać go z powrotem. Rzeczywiście podniósł się nieco, ale do normalnej pozycji było jeszcze daleko: w ciągu tych kilku chwil wszystko zależało od tego, czy marynarze wysłani do ładowni zdążą zamocować od nowa na swoich miejscach poprzesuwane skrzynie przed następnym ostrym porywem wiatru. Tymczasem statek, podrzucany przez fale, obrócił się tak, że przez chwilę wskazywał przechylonym masztem prosto na północ. I właśnie wtedy wiatr znowu uderzył, nieco słabiej jednak niż poprzednio: załopotał mokrym żaglem i pchnął go tak, że statek jednym skokiem wrócił do równowagi. Mogła ona okazać się nie dłuższa niż wolność myszy, którą kot na moment

wypuścił z pazurów; Memuke jednak wiedział, czym ją sobie może – i niestety musi – zapewnić na stałe.

W namiocie podróżni raz jeszcze potoczyli się po podłodze, po czym wstali na nogi i wrócili na swoje zwykłe miejsca. Z zewnątrz dochodził głos Memukego, który korzystając z kolejnej krótkiej ciszy ustawiał statek dziobem na południe i wrzeszczał komendę za komendą. Tagun, sądząc, że i on będzie na pokładzie potrzebny, zrobił krok w stronę wyjścia, ale Nuno go zatrzymał.

– Wracaj! – powiedział – Nawet gdyby ci nie groziło zmycie do morza, to, co się tam teraz będzie działo, nie jest godne oczu barda.

Chłopiec zawrócił posłusznie i usiadł znowu na swoim miejscu przy mistrzu. Na razie jednak nie wyglądało na to, że na zewnątrz dzieje się coś szczególnie strasznego. Statek nadal kołysał się dość bezładnie, słychać było głośne krzyki żeglarzy, zapewne rozkazy Memukego i meldunki jego podwładnych. W pewnej chwili jednak podróżnym wydało się, że statek jakby przysiadł i sprężył się w sobie, a następnie rzucił się do opętanego biegu. Teraz już nie tyle kołysał się, ile drżał równo i szybko, coraz szybciej; zagarniając północną wicherę w naciągnięty od nowa żagiel, leciał ku odległemu na szczęście lądowi. Jednocześnie głosy żeglarzy zlały się w jeden krzyk, po którym zapanowało zupełne milczenie:

– Irega! Irega!

Tagun wiedział już, że to znaczyło po fingajsku „delfin”. Aha, więc gonią za delfinem – pomyślał – Memuke coś takiego mówił kiedyś. Głupi ten delfin: ja bym na jego miejscu dał nurka i przepłynął pod statkiem, i tyle by mnie widzieli.

Zaraz potem do namiotu wpadł Memuke.

– Wszyscy na pokład! – krzyknął takim głosem, że Tagun zadrżał: ze zdziwienia może nawet bardziej niż ze strachu. To już był jakiś nowy Memuke: nie ten uprzejmy, gadatliwy kupiec, ale raczej... Tagun nie znalazł żadnego porównania wśród abalahinda, przyszedł mu tylko do głowy widziany kiedyś dawno pies, którego ukąsiła szczypawka. Panowie Geb i Kri, jakby ich wiatr wywiał, wyskoczyli z namiotu, przetaczając się pomiędzy ścianą a nogami

Fingaja. Dwaj z Dżugidów podnieśli się również, chociaż usiłowali robić to powoli i z godnością, i posunęli się w stronę drzwi; trzeci pozostał na miejscu bez ruchu.

– Wszyscy! – powtórzył Memuke.

Nuno i jego uczniowie nie poruszyli się ani nie odpowiedzieli. Siedzący Dżugid podniósł tylko głowę.

– Imię moje Derszen – powiedział w łamanym języku Megni. – Jestem bardem siódmego stopnia. Zostaję.

Memuke zrobił krok do przodu i zatrzymał się. Wybuchnął krzykiem, miotając przekleństwa i obelgi w trudnej do określenia mnogości języków. Przez chwilę stał tak, machając długimi rękami i wrzeszcząc, ale się dalej nie posunął, jak gospodarz, który uciekającego z ogrodu szkodnika nie może już przez płot dosięgnąć. Tymczasem z zewnątrz dał się słyszeć znowu chóralny krzyk:

– Irega! Irega!

I Memuke wypadł z namiotu. Derszen podniósł oczy na Nuna Lagmi, do którego dotąd nigdy nie ośmielił się przemówić.

– Szał wiatru północnego jest na nich – powiedział cicho. – Także na ich ofierze. Biedni.

– Sporne – powiedział krótko Nuno i przez chwilę wydawało się, że nie odezwie się więcej. Nagle jednak spojrzał na Dżugida z wyraźną życzliwością i zapytał:

– Próbowalesz go zatrzymać?

– Ja, ogai? Nie mam tej mocy. To przecież ty.

– Ja mam, ale nie użyłem – odpowiedział Nuno. – Nie było potrzeby: widziałem dobrze, że on się dalej nie posunie. A to znaczy... – urwał i tym razem zamilkł już na długo.

Zrobiło się tymczasem całkiem ciemno, ale wrzaski na pokładzie nie ustawały. Tagun tej nocy prawie nie zmrużył oka. Statek i załoga wydawali się zespoleni jakimś wspólnym a strasznym zamysłem, o którym mówiły zgodnie tak głosy Fingajów, jak i skrzyp każdej deski, świst wiatru w każdej szparze. Tagunowi wydawało się, że to on sam jest delfinem, za którym goni Memuke – po co? Co z nim zrobi? Zapewne skróci jego życia, tak żeby już nie miał kto doczekać –

Potem wydało mu się, że naprawdę płynie, rozgarniając wodę rękami, ale woda jest bardzo płytka, to się nazywa mielizna: Tagun czuje, że rękami i nogami szoruje już po dnie i wkrótce nie będzie mógł płynąć. A to dla niego, delfina, koniec możliwości ucieczki. Tymczasem Memuke ze swoją wrzeszczącą zgrają jest coraz bliżej. Tagun próbuje więc czołgać się po piasku, podnosi głowę i widzi przed sobą, tuż za mielizną, skały: na tych skałach ktoś stoi. Pierwsza myśl: „A jeśli to Or?” ustępuje miejsca przerażeniu i pewności, że to nie tylko nie Or, ale przeciwnie, ktoś – ktoś – Tagun nie wie nic o kimś takim, nigdy o nim nie słyszano na Wyspie, ale czuje, że tak jak na Ora gotów jest przez całe życie czekać, tak przed tym kimś chciałby przez całe życie uciekać raczej, niż zbliżyć się jeszcze choćby o krok. Postanawia więc teraz rzucić się w prawo lub w lewo, ale sfera Fingajów już mu zachodzi z obu stron, otacza, zagania...

W końcu rzucił się z całej siły do góry, jakby próbując ulecieć z zasadzki jak ptak, uderzył głową o coś twardego i obudził się. Był już jasny dzień. Nuno wraz ze swymi wiecznie milczącymi uczniami siedział pogrążony w porannym skupieniu, którego treści ani celu dotąd Tagunowi nie wyjawiał. Chłopiec – ilekroć się zdarzało, że był właśnie obecny w namiocie – siadał w takich wypadkach koło nich i z radością podejmował swoje Oczekiwanie. Tym razem musiało już jednak być późno, bo Nuno na widok jego otwartych oczu przerwał skupienie, uśmiechnął się i powiedział:

– Teraz możesz już iść bezpiecznie. Wracaj o zwykłej porze.

Tagun wyszedł więc na otwarty pokład. Było chłodno i słonecznie. Wiatr przerzucił się na wschodni, a przy tym znacznie osłabł, płynęli więc spokojnie na zachód, mając po lewej ręce daleki, górzysty ląd. Większość załogi zgromadzona była na dziobie: Memuke sam rozlewał z kotła polewkę do misek. Kiedy Tagun podszedł także, Fingaje z nieoglądaną dotąd serdecznością zrobili mu miejsce, a Memuke, mrużąc coś zakłopotanym tonem, sięgnął chochlą aż do dna i wlał chłopcu na miskę najgęstsze, najlepsze jadlo. Wyglądało to tak, jak gdyby wszyscy oni czuli się wobec niego winni albo przynajmniej zawstydzeni. Także i robota, którą

mu tego dnia wyznaczono, była wyjątkowo lekka; miał pomóc kucharzowi w przygotowaniu drugiego, wieczornego posiłku, a poza tym przez resztę dnia mógł robić, co chciał.

Kucharz Geha-geha był jedynym Fingajem na statku, któremu Tagun gotów był zadawać pytania; wobec innych powstrzymywała go nie tyle nieśmiałość czy bojaźń, ile raczej duma i chęć niezależniania się od nich w niczym. Geha-geha był jednak zbyt dobroduszny, żeby takie względy mogły stosować się do niego. Toteż Tagun niezwłocznie przystąpił do rzeczy, czekało go jednak rozczarowanie: kucharz wydawał się smutny lub zakłopotany i nie chciał mówić ani o tym, co się nocą działo na statku, ani o sielskim nastroju panującym na nim obecnie. Mimo to z różnych półsłówek i niedomówień Tagun wyciągnął wniosek, że Fingaje, po kilkugodzinnej pełnej uległości Wiatrowi Północnemu, obawiają się teraz z kolei Wiatru Południowego (najwyraźniej właśnie za to) i usiłują po cichu wkraść się w jego łaski. Z jakiejś niezrozumiałej dla chłopca przyczyny uważają też jego, Taguna, za ulubieńca Głębi Południa, mimo że nie jest bardem: może z racji życzliwości okazywanej mu przez wielkiego Nuna? W każdym razie, najniespodziewaniej, tajemnicza walka między potęgami władającymi światem oraz swoiste balansowanie między nimi, uprawiane przez pajęczonogich żeglarzy, odbiły się tego dnia także na losach małego Taguna.

Nuno tymczasem czekał na wizytę Memukego. Wiedział, że ona nastąpi, i to z tych samych przyczyn, dla których Tagun mógł być tego dnia pewny dobrego traktowania przez załogę. Nuno, Megnita i bard wysokiego stopnia, czuł w sercu pogardę dla takich, którzy starają się być gorliwymi czcicielami wszystkich wiatrów, zamiast opowiedzieć się jasno i stać wiernie przy jednym z nich; a wiedział dobrze i to, że Feinu, wydani bezustannie na łaskę morza i burzy, najgorliwiej może kłaniali się potędze najgroźniejszej. Niemniej obecność Wielkiego Barda na pokładzie wymagała zwyczajowego ukłonu w stronę Południa, nawet pomimo tego, że bardowie tradycyjnie ignorowali takie przeprosiny i nie przywracali już załogi do swej łaski aż do końca podróży. Tym razem jednak Nuno

miał ważne powody, aby pertraktacje podjąć; wiedzieli o tym równie dobrze i on, i Memuke, i wiedzieli także obaj, że obaj wiedzą.

Memuke wybrał więc chwilę, kiedy nikogo prócz Megnitów nie było w namiocie, i wszedł tam jakby obraz łagodności i pokory. Nuno już przedtem nakazał swoim uczniom wyjść od razu, kiedy tamten się zjawi, toteż w następnej chwili zostali zupełnie sami. Nuno milczał oczywiście, ale wiedział, że przez odesłanie uczniów to on już zrobił w rzeczywistości pierwszy krok. I pierwsze ustępstwo.

Memuke przykucnął w pewnym oddaleniu, pokłonił się nisko, ale się natychmiast wyprostował. Szepnął:

– Ogai, płonę wstydem. Ale ty znasz naturę wiatru i naturę Feinu.

Milczenie.

– Ty wiesz, że szłał Wiatru Północnego był na nas... na mnie...

Nuno lekko uniósł dłoń.

– Mów prawdę, Memuke.

A więc było tak, jak się spodziewał: Nuno był gotów rozmawiać. Coś mu trzeba będzie ustąpić – powiedziec to i owo – za cenę jego dalszej łaski.

– Mówię prawdę. Inaczej niż pod wpływem Północnego Wiatru nie ośmieliłbym się znieważyć ciebie, ogai, nawet... nawet jeśli miałem w tym uboczny cel. Ten Derszen...

– Memuke, zelżyłeś mnie nie przedtem, zanim Derszen przyznał, że jest bardem, ale potem. Jaki miałeś w tym cel?

– Nic się przed tobą nie ukryje, ogai. Chciałem sprawdzić, czy ty i on będziecie działać razem. Jakiś rozkaz od ciebie... jakaś prośba o pomoc od niego... byłbym wiedział.

– Po co?

Memuke zmrużył oczy. Szepnął ledwo dosłyszalnie:

– Powiedz mi najpierw, ogai, co są warte moje odpowiedzi.

– Nic. Możesz żadnej nie dać i odejść.

– Gdyby tak było, nie mówiłbyś ze mną, Nuno-gwe.

– Gdyby nie bliskość Adongo, nie przyznałbyś się nawet do tego,

do czego już się przyznałeś, Memuke.

– Dobrze, ogai! Ustalmy, co który z nas ma na sprzedaż. Twoim towarem jest protekcja, której mi możesz udzielić w Adongo. Moim, niestety, nie jest ten mały niewolnik; ale na przykład informacja, dlaczego on nim nie jest, może już byłaby coś warta? I inne, z nią związane? Więcej informacji lub mniej, zależnie od skutków protekcji...

– Zapominasz w kupieckim zapale, że i ja mam towar zróżnicowany. Za niską cenę mogę ci sprzedaż gorszy gatunek: tylko to, że w Adongo nie powiem nic obciążającego o tobie.

Memuke zamilkł na chwilę. Ciężki jest los kupca, który nikogo nie chciałby sobie zrazić! Przebiegł myślą raz jeszcze interesy swoje własne i swojego ludu: właściwie, o ile jemu wiadomo, wszystkim Fehine razem i każdemu z osobna byłoby całkiem obojętne nie tylko to, co się stanie z Tagunem, ale także powodzenie lub upadek planów Ungany i wszystkich innych władców i ludów pod słońcem: życie pajęczego ludu zazębiało się o te sprawy, ale jego pomyślność coraz mniej od ich biegu zależała. I mógł Memuke najspokojniej i najzyskowniej sprzedać wszystko, co wiedział, gdyby w grę nie były od początku zamieszane – tak mówił mu Tegatuga – potęgi, o których on, żeglarz, nie mógł myśleć bez ciarek przebiegających po grzbiecie. Jedną z tych potęg rzekomo Taguna strzeże, bardzo zresztą nieskutecznie. Trzeba z nią zachować możliwie dobre stosunki, ale nie za cenę narażenia się tej drugiej. Tej drugiej Memuke tak bardzo nie chce i nie umie się narazić, że decyduje się oto na grę dla jego interesów srodze niebezpieczną: ale co innego ma robić?

– Ty, ogai, zapominasz także: przecież i ja mam do sprzedania coś więcej niż informacje. Los chłopca, póki jest w moich rękach...

Nuno spojrział na niego, jakby nagle zobaczył ropuchę. Ale milczał. To spojrzenie i to milczenie napełniły Memukego satysfakcją. Jednak dobrze zagrał: teraz to on podyktuje warunki.

– Mów, ogai, co chcesz wiedzieć.

– Wszystko, co dotyczy chłopca. I jego ludu.

Znaczyło to: wszystko, co zechcesz mi powiedzieć. I Memuke nie

umiał sobie odmówić tej przyjemności, żeby na początek udać niezrozumienie.

– O ich obyczajach, czcigodny, wiesz zapewne więcej ode mnie z opowiadań samego Taguna... Co do polityki, powstał wśród nich władca, który zmienia ich obyczaje. Wykorzystując dawne wierzenia, posłużył się w tym celu wygnańcem Dżugidem, który tam teraz teoretycznie rządzi. On to sprzedał mi Taguna z obowiązkiem odsprzedania go nie dalej i nie bliżej niż w Lhed. Mój honor kupiecki każe mi słowa dotrzymać. To i wszystko.

– A jeśli ja pojedę aż do Lhed i tam go kupię?

– Niemożliwe, ogai. Muszę go sprzedać w Lhed tubylcom.

– W takim razie pošlę z nim barda Tmuta.

Memuke pocił się coraz silniej. Te pytania świadczyły, że z jego historyjki pozostały już tylko strzępy. A jednak musiał odmawiać dalej, nie miał innego wyboru.

– Niemożliwe, ogai. Mam go sprzedać samemu królowi. Zapewne Dżauri Tanu pragnie znaleźć sprzymierzeńca...

Tu Memuke zauważył, że pogrążył się już ostatecznie: sprzymierzeńcowi Dżauri pošląby niewolnika w darze, nie przez kupca, i pošląby mu oprócz tego wiele innych cennych prezentów. Nuno skinął głową, jakby odgadując jego myśli, po czym rzekł:

– Kupuję wreszcie twoje kłamstwa, Memuke. I kupuję twoją życzliwość dla chłopca, dopóki jest w twoich rękach. Odejdź.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Skarga zawieszona

Do Adongo przybyli pod koniec pory żeglugi, toteż zgodnie z planami Memukego zatrzymali się tam na zimowanie. Memuke miał w dzielnicy feineńskiej dość dużo krewnych, przyjaciół i współników, żeby móc to urządzić stosunkowo małym kosztem; oczekiwał też bardzo chwili, w której nareszcie pożegna raz na zawsze swego najczcigodniejszego i niezmiennie na jego pokładzie upragnionego gościa. Wiedział, że Nuno mieszka daleko, bo w samym Larri, toteż ośmielał się mieć nadzieję, że dzień przybicia do kamiennego nadbrzeża megnijskiego portu okaże się dniem tego pożegnania. Niespodzianka nadeszła w chwili, w której właśnie opuścił kotwicę i stojąc ramię w ramię z bardem obserwował zbliżających się do jego statku megnijskich nadzorców celnych. Kiedy najwyższy z nich rangą, idący przodem, już miał wstąpić na przerzucony na nadbrzeże trap, Nuno powiedział spokojnie:

– Ponawiam obietnicę zostawienia chłopca w twoich rękach. Jednakże dopóki nie odpłyniesz wiosną, będzie on mieszkał u mnie, w domu, który sobie wynajmę w Adongo. Ten z twoich, który chodził za mną po Mandagoriwie, powie ci, gdzie to będzie.

I tak Memuke, mimo całej wściekłości i świętego oburzenia na niecny wybieg barda, nie mógł sprzeciwić się ani słowem, bo urzędnicy byli już w zasięgu głosu. Nuno zaświadczył uroczyście, że w czasie drogi śpiewał na tym statku, co zmieniło inspekcję celną w długą wymianę uprzejmości – ale Nuno składał to świadectwo z dłonią złożoną na ramieniu Taguna i natychmiast też, w towarzystwie urzędników, Taguna i uczniów, statek opuścił. Posłany za nim żeglarz wrócił po kilku godzinach z wiadomością, że bard rzeczywiście wydzierżawił dom, i to bardzo piękny dom

z ogrodem, w najlepszej dzielnicy, w której trudno będzie śledzić jego poczynania, ponieważ ulice są tam zwykle prawie puste, nie można więc wmieszać się w tłum. W dodatku feineński obieżyświat, który by się stale kręcił tam, gdzie zazwyczaj przesuwać się tylko orszaki niesionych w lektykach bogaczy, a barwny ludek portowy nie zna tam nawet drogi – taki Feinu narażałby się na podejrzenie o jakieś złe zamiary i na konflikt z tanhidyjską policją. Memuke skłął żeglarza, skłął zaocznie barda i pomyślał, że ostatecznie spada mu z głowy utrzymanie Taguna; a wydatki, jakie będzie musiał ponieść opłacając szpiegów tubylców, nieznacznie tylko uszczuplą zyski, których mu przysporzyło zwolnienie od cła. Ale... kto mu miał wrócić nieprzespane noce, spędzane w znacznej części na zastanawianiu się, czy też bard nie przekupi jego szpiegów, nie zmyli ich czujności albo w razie potrzeby nie sprzątnie ich cichaczem z tego świata? Po tygodniu do dwóch pierwszych dodał trzeciego, a później nawet czwartego, który miał śledzić poprzednich. Na spokój jego snów niewiele to pomogło, za to stanowi interesów szkodziło wydatnie.

Z raportów jakie mu wszyscy czterej składali co dzień, wynikało, że Nuno i Tagun pędzą spokojne życie bogatych nierobów. Że opuszczają dom prawie codziennie i zwiedzają osobliwości miasta; że Tagun dużo przebywa w ogrodzie, ubrany w bufiaste megnijskie szatki, a na wierzch w płaszcz z kapturem, wszystko to zawsze białe. Wieczorem zbierają się uczniowie barda i słyszą śpiewy nieraz do późnej nocy. Goście? Bywają czasem inni bardowie, ale rzadko. Oczywiście nie ma mowy o podsłuchaniu ich rozmów: służba w domu jest liczna i zgrana, przy tym podobno Nuno zabronił przyjmowania kogokolwiek nowego. Przekupić Megnitów służących już u barda? Ależ baliby się ognia z nieba! Zresztą tam się nie dzieje nic podejrzanego...

Dzień po dniu i tydzień po tygodniu powtarzało się to samo. Memuke miałyby więc dość powodów, żeby się uspokoić i zająć innymi sprawami, a było ich i bez tego wiele. Najpierw trzeba było zabezpieczyć statek na czas ostrej megnijskiej zimy, potem zaś, kiedy już spadły śniegi i ustał ruch w zamrzłym porcie, ożywiła

się jak co roku wielka giełda kupiecka w Adongo; Memuke, mając większe niż zwykle wydatki, tym gorliwiej musiał tam pilnować swoich interesów. Jeżeli więc nie pozwolił usnąć swej czujności, to głównie dlatego, że dała mu do myślenia sprawa trzech Dżugidów. Ci pożegnali go zgodnie z umową zaraz po przybyciu, ale zwiadowca, któremu Memuke zlecił na wszelki wypadek ich śledzić, zaczął po paru dniach składać ciekawe raporty. Dżugidowie wynajęli kwaterę w zajeździe zwanym „Szczęście Żeglarza”; gospodarz, imieniem Amudu, nie ukrywał, że jakkolwiek uczciwie mu zapłacili za kilka miesięcy z góry, ich tryb życia wydaje mu się podejrzany, ponieważ nic nie załatwiają i nie kontaktują się z nikim. Od początku natomiast przyjęli zwyczaj odbywania codziennie długiego spaceru, zawsze tymi samymi ulicami i zawsze o tej samej porze, podczas którego (jak zaobserwował zwiadowca) przechodzą także przez Szengo tin-Zeną, Dzielnicę Pałaców, i to nawet tuż pod samym domem Nuna Lagmi. Czy był to ich sposób śledzenia barda – tak uroczysty, sztywny i bezsensowny, jak wszystko, co ci barbarzyńcy robią – czy też jakieś stawianie się do jego dyspozycji? W każdym razie coś się tu święciło, toteż Memuke godzinami całymi snuł domysły, jakiego ostatecznie wybiegu użyje bard, oraz plany skutecznego przeciwdziałania. Nigdy dotąd Jego Dostojność Tetannu Samga, gubernator miasta, ani Jego Miłość Wai Gekko, szef policji, nie otrzymali od Memukego, syna Keoheki, kupca, tytułu oficjalnych i nieoficjalnych dowodów czci i gotowości do usług.

Chwila, w której to wszystko miało się wreszcie przydać, przysłała na cztery dni przed zimowym przesileniem. Zaczęło się od tego, że szpieg nocny nie zjawił się rano z raportem. Szpieg czwarty, wysłany na jego poszukiwanie, wrócił około południa, donosząc, że go po prostu nigdzie nie ma. Jednocześnie przybiegł poranny (którego właśnie zluźował zastępca) z wiadomością, że w domu wprawdzie służba porusza się normalnie, ale Nuno i Tagun wbrew zwyczajowi nie pokazali się jeszcze ani na ulicy, ani nawet w ogrodzie. Nie było też przed domem ani śladu nocnego agenta. Ledwo Memuke zdążył przełknąć te wiadomości, przybiegł

Feinu śledzący Dżugidów i oznajmił, że przed chwilą wyszło ich na spacer tylko dwóch: trzeci, Derszen, ani na spacer nie wyszedł, ani nie siedzi w domu. Najwyraźniej zniknął.

Nie było już wątpliwości i nie było chwili do stracenia: dokądkolwiek udał się Nuno, miał nad Memukem przewagę prawdopodobnie całych dwunastu godzin. Kupiec pośpiesznie zarzucił na siebie ciepły płaszcz, chwycił przygotowany od dawna na ten cel worek z odżałowanymi (choć z trudem) bogatymi darami dla dostojników i pobiegł do rezydencji gubernatora. Tam znano go dobrze i wpuszczono bez trudności, okazało się jednak, że Jego Dostojność jest zajęty: przed nadchodzącym świętem Przesilenia przyjmuje delegacje kapłanów ognia oraz bardów i nie znajdzie niestety czasu dla Memukego, syna Keoheki, prędzej niż po późnym obiedzie. Memuke zamówił audiencję na taką godzinę, o jakiej mu przyjść pozwolono, i popędził z kolei do Wai Gekko. Ten przyjął go od razu, wysłuchał uważnie całej historii porwania niewolnika, a wreszcie rzekł:

– To bardzo skomplikowane.

– Przeciwnie, ogai. Sprawa jest prosta. Ty, jako stróż początku, daj mi swoich ludzi, abym mógł zbiega gonić w majestacie prawa. Przecież prawo obowiązuje także i bardów. Wiem, że powinienem był przyjść z tym do ciebie dopiero po uzyskaniu zezwolenia dostojnego Tetannu, ale zależy mi na czasie, a on obiecał mi audiencję nie wcześniej niż po obiedzie. Wiesz jednak, że jest mi życzliwy. Toteż wolałem donieść ci o tym zawczasu, żebyśmy mogli rozpocząć pościg natychmiast po wyjściu od niego.

Wai obracał powoli leżące przed nim na niskim stoliku zapisane karty. Obfitość skomplikowanych ornamentów na marginesach i kolorowych pieczęci u dołu świadczyła, że są to akta urzędowe wielkiej wagi.

– Czy mam twoją prośbę przyjąć oficjalnie do wiadomości? – zapytał wreszcie.

– Oczywiście, ogai!

– Więc niestety muszę. Nie! – podniósł dłoń gestem przeczenia, na widok, że Memuke sięga nieznacznie po swój worek –

Nieoficjalnej strony ta sprawa nie będzie miała. Memuke, czy ty wiesz, co to jest skarga zawieszona?

– Wiem, ogai, ale to się nie stosuje w tym wypadku. Ja wnoszę skargę już po dokonaniu przez Nuna przestępczym czynie, nie zaś dopiero w spodziewaniu.

– Nie chodzi mi o twoją skargę, ale o tę, którą wniesiono przeciw tobie. Nuno Lagmi oskarża cię, że publicznie podajesz w wątpliwość słowo barda. Ta skarga była prawnie uśpiona aż do chwili, w której na twoją wyraźną prośbę zmuszony byłem przyjąć twoje oskarżenie przeciw niemu. Sprawa jest poważna i muszę o niej natychmiast donieść dostojnemu Tetannu. Masz jeszcze dwie godziny czasu do chwili, w której przed nim staniesz: użyj ich na zebranie dowodów obrony... Pozwalam ci na to jako przyjaciel, bo właściwie powinienem cię zatrzymać. Spotkamy się na rozprawie, ale niestety będę musiał świadczyć przeciw tobie. Odejdź.

Gdyby Memuke nie miał tych dwóch godzin zwłoki, może by się jeszcze z oskarżenia wycofał. Ale Wai wypuścił go, a on popędził pod dom barda i tam dowiedział się od swego podnieconego agenta, że – jak się właśnie okazało z zeznań służącej sąsiada – Nuno z Tagunem rzeczywiście wyjechali dokądś przed świtem. Jechali w lektyce; zaraz po wyjściu z bramy Nuno skinął na jakiegoś nocnego przechodnia – niewątpliwie był nim nasz zaginiony kolega – i kazał mu nieść prawy przedni drążek od lektyki w miejsce swojego służącego, którego gdzieś posłał. Mniej więcej o tej samej porze kręcił się koło „Szczęścia Żeglarza” jakiś Megnita nieznany w tamtej dzielnicy. A więc –

Memuke dodał dwa do dwu i oczywiście wychodziło cztery. Pewny swego, użył reszty czasu na pozbieranie swoich świadków, postarał się nawet o zabranie do sądu owej służącej sąsiada; szczególnie znacząca wydawała mu się dbałość Nuna o unieszkodliwienie jego wywiadowcy! Z całym orszakiem ruszył więc do pałacu gubernatora i bez zdziwienia zajął tymczasowo miejsce oskarżonego w sali sądowej po oddaniu swoich towarzyszy w ręce Stróża Świadców. Zaraz też zobaczył ich wszystkich na

ogrodzonym Dywanie Świadków, i to go tym bardziej uspokoiło. I w dodatku większość z nich to Megnici!

Wszedł Wai bocznymi drzwiami i zbliżył się do Memukego.

– Widzę tu tylko świadków oskarżenia – powiedział. – Gdzie świadkowie obrony?

– Dostojny, to oni właśnie. Moi agenci.

Wai spojrzał na niego, jakby go pierwszy raz w życiu zobaczył, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, rozległy się miarowe uderzenia bębnow, zapowiadające zbliżanie się orszaku gubernatora. Na salę weszli strażnicy, za nimi pisarze sądowi, i znowu strażnicy: wszyscy oni wśród wielu ceremonii, odbywanych z gracją właściwą Megnitom, zajmowali powoli miejsca na wyższych i niższych połaciach. Jeszcze raz zawarczały werble i wszedł Tetannu...

... w towarzystwie Nuna Lagmi, który sunął spokojnie o pół kroku za nim, z ręką na ramieniu nieodłącznego Taguna.

Memuke zrozumiał, że przegrał. Przegrał tę rozgrywkę nieodwołalnie: oskarżony o znieważenie barda przez podawanie w wątpliwość jego słowa, sam oto dostarczył dowodów potwierdzających przeciw sobie, organizując pościg za Nunem, chociaż ten nigdzie w rzeczywistości nie wyjeżdżał. Co więcej, sam sprowadził świadków, którzy będą musieli zeznać, że swoją zniewagę posunął aż do najmowania szpiegów, i że tych szpiegów opłacał przez długie miesiące; więc już nie będzie mógł twierdzić, że nagle stracił głowę pod wpływem jakiejś przekręconej wiadomości... Ale zrozumiał także, iż Nuno, poddając sprawę oficjalnie gubernatorowi, tym samym niejako dodał do swego słowa urzędową sankcję i już go złamać nie może, choćby bardzo chciał. Tagun, chociaż teraz tak daleki, stanowi więc niewątpliwie własność Memukego. I będzie mu zwrócony.

Kupiec zmienił błyskawicznie plany. Zrezygnował z wszelkiej obrony, przyznał się do całej winy, podając tylko wielokrotnie jako motyw swojego działania obawę przed utratą wszystkich poniesionych już z powodu Taguna kosztów: wiadomo, jak taka obawa może zaślepić biednego handlarza... Biednego,

nieświadomego żadnych wyższych celów, nieznającego w życiu niczego poza ciągłym miotaniem się między niewielkim zyskiem a rujną strata...

Tak, to ich wzięło. Lud tak szcycący się swoją kulturą jak Megni nie mógł nie żywić dla wszystkich obcych jakiejś ukrytej pobłażliwości, należnej istotom niższym, które przecież nic na tę swoją niższość nie mogą poradzić, skoro jest ona im wrodzona. I byle ją uznawały pokornie, można im dużo wybaczyć. Nuno, ten wie lepiej, bywał na morzu. Ale Nuno najwyraźniej zadowala się otrzymaną w ten sposób zemstą na kupcu i ta satysfakcja mu wystarcza. Nie próbuje więc wyjaśniać gubernatorowi, że Memuke to nie zbłąkany, głupio chytry kupczyk, za którego się teraz podaje, ale przebiegły gracz, pośrednik między ziemskimi potęgami, może nawet uczestnik jeszcze wyższej gry. Nuno wie to wszystko, albo przynajmniej się domyśla, ale i on widocznie tak gardzi feineńskim kupcem, że się nie poniży do uznawania w nim przeciwnika. I dlatego przegrywa: przegrywa Taguna. Memuke, ukarany miesięcznym aresztem (tylko tyle! nic więcej, żadnych ograniczeń w prawach kupieckich), czuje się na tej sali ukrytym zwycięzcą. Bardzo dobrze ukrytym, ale niewątpliwym. I czeka tylko, kiedy wreszcie odprowadzą go do więzienia: tam w samotności będzie się mógł wyśmiać do woli.

Razem z nim, choć na jeszcze niższe wyroki, skazano wszystkich jego współników winy, jego megnijskich i feineńskich wywiadowców. Memukego to ani ziębiło, ani grzało. W więzieniu traktowało go dobrze – tak nakazywała wysoka cywilizacja Megnitów. Memuke, wolny wreszcie od dręczącej go dotychczas troski, tak się tam przez ten miesiąc wywczasował, że po wyjściu złożył Nunowi Lagmi kurtuazyjną wizytę, przepraszając za swoją winę i zapewniając o dozgonnej wdzięczności za tak stanowcze, a zarazem tak łagodne przyprowadzenie go do porządku.

I nikt mu nie powiedział, nikt dla niego nie wysłedził, że Nuno z Tagunem podczas jego uwięzienia jednak wyjechali, a chociaż wrócili do Adongo i chociaż niewolnik został mu zwrócony, Memuke do końca życia bałby się wyruszać w morze, gdyby

wiedział, gdzie byli i co robili.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Bardowie

Dla Taguna pierwsze tygodnie w Adongo były jakby powrotem dzieciństwa, chociaż dzieciństwa zupełnie innego niż jego własne, spędzone na Wyspie. Świat był inny, dom inny, inna nieco mowa, inne stroje. Zamiast białych skał, urwistych, ale niezbyt wysokich, które rządziły krajobrazem Wyspy, były tu obłe, ledwo zauważalne pagórki nadbrzeżnej niziny, na której leżało Adongo, a tuż za nimi rozpoczynało się zbocze, łagodne jak oddech i jak oddech szerokie, idące coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie gdzieś niewiarygodnie daleko i niewiarygodnie wysoko kończące się spiętrzoną czapą wiecznego lodowca. Tam właśnie, nieco poniżej lodów, w kotlinie z nadbrzeża niewidocznej, leżało Larri; po drodze było jeszcze wiele innych miast i miasteczek, ale wszystkie one znajdowały się w zagłębieniach, i z Adongo święta Góra Ndami przedstawiała się jako gładki stożek, niewyobrażalnie majestatyczny w swoim ogromie i w harmonii swoich kształtów. Odkąd wkrótce po przyjeździe Taguna śnieg pokrył zupełnie i górę, i wybrzeże, chłopiec lubił patrzeć z ogrodu rano, jak cały masyw góry na tle szarego nieba iskrzy się i odbija promienie wschodzącego słońca, jak różowe blaski i błękitne cienie wydobywają na stokach góry ich ukryte dotąd nierówności. O zachodzie kontur góry płonął ogniem, a ona sama wydawała się granatowa na tle pomarańczowych chmur i była wtedy jeszcze straszliwsza i ogromniejsza niż zwykle.

Świat więc był zupełnie inny, ale chłopca otaczała w nim życzliwość, a to, co najważniejsze – Oczekiwanie – trwało bez przeszkód. Tagun miał nawet wrażenie, że na tej ziemi jest ono szczególnie ubłogosławione nadzieją. Może tłumaczyło się to podobieństwem Megnitów do Ludu Wyspy Szczęśliwej, może

głębokim pokojem śnieżnej zimy i cichego ogrodu, a może tajemniczymi słowami Nuna, które padały od czasu do czasu przy okazji lekcji śpiewu, a zdawały się zakładać jakąś łączność między tym wszystkim, co Taguna obecnie otaczało – zwłaszcza zaś Górą Ndami – a Oczekiwaniem.

W każdym razie to tutaj dopiero chłopiec pogodził się w sercu naprawdę z istnieniem świata poza Wyspą, przestał bać się i brzydzić wszystkich Obcych dlatego tylko, że są obcy, i uświadomił sobie, że wprawdzie nigdzie na świecie nie ma już Wyspy Szczęśliwej, ale każdy inny ład czy miejsce może się w nią nagle zmienić, jeżeli tak zechce Oczekiwany. Niemniej ze względu na Nulani i na przywiązanie do rodzinnej ziemi marzył nadal o powrocie na Wyspę i doczekaniu się Ora tam właśnie; ale były to już marzenia wolne od goryczy i rozpacz.

Bawił się też na śniegu z dziećmi, których kilkoro znalazł w najbliższym sąsiedztwie. Dzieci pytały:

– Skąd ty jesteś i kim właściwie jesteś?

Odpowiadał:

– Pochodzę z Wyspy Szczęśliwej i jestem niewolnikiem feineńskiego kupca. Mam być sprzedany w ziemi za morzami.

– Ooo – dziwiły się dzieci – Jeżeli jesteś niewolnikiem, to dlaczego ubierasz się biało jak arcykapłan?

Tagun odpowiadał: – Tak ubierali się wszyscy w mojej ziemi – albo: – Takie ubranie dał mi Nuno Lagmi – a w końcu kiedyś: – A co to jest arcykapłan?

To pytanie spowodowało burzę wyjaśnień, których Tagun słuchał z uśmiechem, ponieważ zadał je po to właśnie, żeby to oni musieli mówić, a nie on. Zanim jednak dzieci doszły do połowy tego, co miały mu do powiedzenia (a komuś, kto nie wie, co to jest arcykapłan, trzeba przecież wyjaśnić wszystko od początku), jedno z nich pisnęło nagle:

– Patrzcie! Patrzcie! Przecież to on!

W bramę ogrodu wchodzili właśnie czterej tragarze w płomienistych opończach, niosący prostą lektykę bez ścian. Siedziała w niej postać otulona w biały futrzany płaszcz, otulona

razem z głową, tak jak zrobiliby to ktoś na Wyspie. Tagun przypomniał sobie pierwsze słowa, jakie Nuno zwrócił do niego na statku, i zrozumiał, dlaczego kazał mu on wtedy zsunąć płaszcz na ramiona – ale za to przestał rozumieć, dlaczego teraz ten sam Nuno ubiera go w barwę zastrzeżoną dla tak dostojnej osoby.

Lektyka przesunęła się szybko przed ich oczami i znikła w drzwiach domu barda. Któryś z chłopców szepnął:

– On ma już sto lat.

– Phi – powiedział Tagun – znałem na statku dwóch takich, którzy mieli przeszło sto dwadzieścia lat. Ale to byli Tmutowie.

Dzieci zaczęły się przekrzykiwać swoimi, bardzo zresztą niepełnymi, wiadomościami o Tmutach. Tagun niemal od razu wyłączył się z tej rozmowy: czuł nieprzepartą chęć wejścia do domu i zobaczenia tajemniczego gościa z bliska, chociaż przypuszczał, że nie powinien tego robić: na Wyspie dzieciom nie było wolno przerywać rozmowy starszych. Czy tutaj także nie wolno? Mógłby zapytać towarzyszy, ale wiedział, że cokolwiek od nich usłyszy, i tak w końcu ulegnie temu coraz silniejszemu wezwaniu i pójdzie. Więc po co czekać? Pójdzie zaraz, a jeśli się okaże, że to źle, no to go Nuno skarci i już na drugi raz będzie wiedział. W połowie bitwy na śnieżki, która się właśnie zaczęła, odbiegł nagle, ścigany śmiechem i pociskami dzieci.

– Tagun z Wyspy ucieka! Tagun z Wyspy tchórz!

W wielkiej sieni palił się ogień na kominku i siedzieli czterej tragarze arcykapłana; z boku pod ścianą stała lektyka. Słudzy Nuna czymś częstowali tamtych i w ogóle znać było poruszenie w domu, ale Tagun zauważył, że jednocześnie panuje zupełna cisza, że wszyscy biegają na palcach i rozmawiają na migi. Ledwo wszedł, rzuciła się ku niemu Min, jego opiekunka, zabrała mu ciepły płaszcz i przygładziła głowę. Musiała to robić w biegu, bo chłopiec nawet nie przystanął: bez żadnych już dalszych wahań szedł szybko wewnętrznym krużgankiem i zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy za nim zapadła zasłona oddzielająca gabinet Nuna od sali muzycznej.

W gabinecie było jasno i ciepło. Pod wielkim oknem stały rzędem

naczynia z żarem; kilka innych rozmieszczono po pokoju tak, aby każdy siedzący miał nad czym ogrzać ręce. Nuno i arcykapłan spoczywali na dwóch niskich, miękkich sofach, obitych zielono barwioną skórą; gość był ubrany w białą szatę z grubej, sztywnej materii, krojem przypominającą zwykłe odzienie Ludu Wyspy, tylko o wiele szerszą. Na tle bladej boazerii ścian, na tle kilku zharmonizowanych tonów zieleni (bo Nuno miał na sobie strój barwy butwiejących liści, a za jego plecami stało karłowate drzewko w doniczce) arcykapłan i widoczna przez okno święta Góra Ndami stanowili dwa akcenty lśniącej bieli: Tagun pomyślał nawet „krzyczącej”. Z ciężkich fałd tej białej draperii, tak głębokich, jakby nic po sobą nie kryły, wystawały tylko drobne, chude, pokrzywione od starości ręce, wyciągnięte nad żar, i twarz równie drobna, pomarszczona i chuda, w której pod nasuniętym aż na czoło krajem zasłony widać było wyblakłe, ale zdumiewająco żywe oczy. Oczy te spojrzały na Taguna z napiętą uwagą; jednocześnie Nuno przerwał w pół zdania to, co mówił, ale się nie rozgniewał, tylko powiedział:

– To właśnie on, bracie – A do Taguna: – Chodź, usiądź przy mnie. – Przysunął chłopcu żar i talerz ze słodyczami taki sam, jaki stał przed gościem, i ciągnął, jakby chcąc dokończyć prezentacji: – To jest Ibnu Tun, arcykapłan tutejszej świątyni, a zarazem jak ja bard pierwszego stopnia. Za kilka dni on i my, i wielu innych jeszcze, pojedziemy razem do Larri na nasze największe święto. Jutro rano będziemy mieli w związku z tym coś do załatwienia w pałacu gubernatora, ale to nieistotne, nie musisz o tym myśleć. Teraz odpocznij chwilę, a potem nam zaśpiewasz, zaczynając od tej pieśni, którą pierwszą śpiewałeś na statku.

Tagun pochylił się w milczącym ukłonie, tak jak to robił na Wyspie wobec Dejna Imanu. Arcykapłan rzekł:

– Kłaniasz się jak nowicjusz Sługa Ognia.

– Ogai, uczyłem się służby ognia u mojego stryjecznego pradziadka, który stał na czele tych, co się jej poświęcali. Ale to chyba co innego znaczyło na Wyspie niż tutaj.

– Czym podtrzymywaliście ogień?

– Drewienkami wyrzuconymi przez morze.

Tagun powiedział to w języku Wyspy, „emen-dhigú ingendi”, dosłownie: patykami morza. Starzec rozłożył ręce jakby w nagłym zachwycie.

– Dhiginga! – zawołał – Tak do dziś nazywamy świętą oliwę, chociaż nikt nie wie od wieków, od czego to słowo pochodzi. Zaiste, zstąpiłeś między nas jakby żywy poseł od naszych przodków! Nuno twierdzi, że przynosisz mądrość dawno zapomnianą. Ja chciałbym wypytać cię przede wszystkim o mądrość starych słów, która od lat jest moją rozkoszą. Gdybym był młodszy, wyruszyłbym wiosną do twojego kraju, bo widzę z twojej mowy, że wiele najstarszych słów żyje tam do dzisiaj...

Urwał i zamyślił się. Nuno milczał, a Tagun także nie śmiał się odezwać, chociaż wydawało mu się, że mądrość słów, starych czy nowych, jest drobiazgiem godnym jedynie uwagi dziecka w porównaniu z tym, co było największym skarbem Wyspy. Nie do niego jednak należało pouczać starca, a przy tym przypomniał sobie z nagłym bólem, że Wyspa obecnie niczego oprócz swego języka nauczyć nie może... a i tę ostatnią odrębność prawdopodobnie szybko straci.

– Śpiewaj więc! – rozkazał nagle arcykapłan i Tagun zaczął Pieśń o Powrocie. Ponieważ tamci milczeli, kiedy skończył, zaśpiewał jeszcze kilka innych podobnych. Nuno sam mu akompaniował, ale po trzeciej pieśni przeszedł do jakichś skomplikowanych przygrywek i Tagun zrozumiał, że już dosyć. Potem znowu nastąpiła cisza.

– Tak, tak – szepnął wreszcie Ibnu. – No, napiszę ja do Tirona z Embe, że jeszcze prawdziwych archaizmów nie słyszał... Widzisz, mieszkańcy krajów dalej na zachód położonych, to jest Amrany i Chaonu, nazywają czasem nasz język tu w Tanhidu staromegnijskim, bo rzeczywiście w porównaniu z ich mową zachował najwięcej cech archaicznych. Śmieszne! Prawdziwym staromegnijskim językiem mówisz ty.

Nuno, który od pewnego czasu patrzył w okno, zwrócił znów oczy na swego gościa. Ten ostatni poruszył się niecierpliwie, a jego oczy

zabłyśły tak, jak błyszczący ciepły żar przez szpary naczyń.

– Wiem, o co ci chodzi, bracie – powiedział – ale czyż nie rozumiesz, że jedno z drugim się splata? Jeżeli zdumiewająca treść jego pieśni ma w ogóle zostać przez nas przemyślana poważnie, to czyż jednym z argumentów, które to usprawiedliwiają, nie jest właśnie ich starość? A na tę starość dowodem jest język. Gdybyś do mnie to samo mówił dzisiejszą naszą mową, może nazwałbym cię marzycielem, a może barbarzyńcą... Ale tak, jak on to przynosi, gotów jestem uwierzyć, że sprawa warta jest najwyższej uwagi i troski.

– Czy także i najwyższej ofiary? – spytał cicho Nuno. Arcykapłan wyraźnie zadrżał.

– Ojcem mojego prawnuka jest Kanum – szepnął. – On zadecyduje. I sam Nehi musiałyby dobrowolnie... Ale ja nie wykluczam niczego.

– Ja niestety mam tylko córki – powiedział Nuno i zwrócił się do Taguna: – Idź już i połóż się dziś wcześniej spać. Jutro musimy wstać trzy godziny po północy.

Następnego rana rzeczywiście wyjechali w lektyce bardzo wcześnie, ale mieli niedaleko: Nuno kazał się zanieść określoną drogą do pałacu gubernatora. Tam czekała już na nich komnata, w której mogli spokojnie spędzić poranne godziny na zwykłym skupieniu. Kiedy wreszcie nastąpiła pora, o której zwykli wstawać dostojnicy, gubernator zaprosił ich obu na śniadanie. Był to tłusty Megnita w haftowanych szatach; wydawał się wzruszony i szczęśliwy, że może Nuna gościć u siebie, ale Tagunowi byłoby nieco łatwiej uwierzyć w to wzruszenie i szczęście, gdyby dostojny Tetannu potrudził się wstać wcześniej na przyjęcie barda. Sam Nuno jednak ignorował zupełnie tę stronę sprawy, na kurtuazję odpowiadał równą kurtuazją i zabawiał gospodarza jakimiś zupełnie dla Taguna niezrozumiałymi problemami czy zagadkami, nad którymi obaj dyskutowali zawile. Potem przyszedł inny tłusty Megnita w haftowanych szatach i złożył gubernatorowi oficjalny meldunek o skardze Nuna przeciw kupcowi Memukemu. Widać było jednak, że jest to tylko dopełnienie formalności i wszyscy oni

znają całą sprawę już od dawna. Przez parę godzin jeszcze Nuno i gubernator zabawiali się czymś, co nazywali filozofią i literaturą, aż wreszcie bard na prośbę gospodarza zgodził się zaśpiewać kilka pieśni; do niektórych z nich potrzebował także głosu Taguna. W końcu zjedli jeszcze obiad, po czym wszyscy razem udali się do sali sądowej. Tam, ku zdziwieniu Taguna, Memuke szeroko i długo rozwódził się nad swoją winą i zaślepieniem, jakby to nie on jeszcze dwie godziny temu dokładał wszelkich starań, żeby barda oskarżyć. Tagun czuł doskonale nieszczerłość jego zeznań; pomyślał sobie: „Będzie mnie teraz nienawidził”.

A następnego rana wyruszyli już naprawdę w podróż. Dwie czwórki tragarzy, zmieniające się co godzina, niosły lektykę wyścieloną futrem; otuleni w ogromne, również futrzane opończe Nuno i Tagun siedzieli w niej obok siebie. Z początku było zupełnie ciemno; latarnie niesione przez idących przodem oświetlały tylko białą drogę pod nogami i dolne gałęzie rzędu świerków wytyczających szlak. Jednostajny chrzęst stóp na śniegu i kołysanie lektyki byłyby uśpiły Taguna, ale Nuno nie pozwolił mu zasnąć.

– Pochodzisz z kraju o łagodniejszym klimacie – powiedział – i nie powinienes spać na mrozie. Słuchaj teraz, a opowiem ci, dokąd i po co jedziemy. Jestem związany słowem wobec kupca i nie mogę wtajemniczyć cię do bractwa, ale tak nawet lepiej, bo trwałoby to całe lata, a poza tym...

Była jakaś dziwna nuta w jego głosie.

– ... poza tym nie jestem pewien, kto tu kogo powinien by wtajemniczać. Ale ty chyba wciąż jeszcze nie wiesz, nie rozumiesz, że to, co uważasz za swój prywatny skarb i swoją prywatną nadzieję, może być nadzieją całego świata!

Urwał i po chwili mówił dalej, już spokojnie:

– Jedziemy do Larri. To jest stolica państwa Tanhidu, w którym się znajdujemy, a zarazem najdalej na północ i najwyżej w górze położone miasto świata. Są jeszcze na morzu lodowate wyspy, rzucone tak daleko na północ, że słońce nie pokazuje się tam w zimie wcale; ale nikt na nich nie mieszka, tylko morskie potwory

mają tam swoje rykowiska. U nas najkrótszy dzień, który przypada pojutrze, liczy wciąż jeszcze około dwóch godzin. Ale Larri leży tak wysoko, że nawet latem jest tam zimno. Prawdziwe królestwo śmieci, mrozu, Północy! I właśnie dlatego my, którzy czcimy życiodajny ogień Południa, tutaj założyliśmy siedzibę, a ci z nas, którzy są dość blisko, zbierają się tu co roku w najdłuższą noc zimy, aby święcić zwycięstwo Południa, które po niej musi nastąpić. A do naszego bractwa wchodzi wszystkie ludy oprócz Galgal-pa'asz, którzy chociaż mieszkają na południu, kłaniają się Wiatrowi Północnemu, i oprócz Feinu, którzy kłaniają się jednakowo wszystkim wiatrom. Na wielu lądach i morzach we czci jest nasze bractwo, bo łagodzimy obyczaje istot myślących, uczymy je szanować życie i wypełniamy świat pięknem naszych pieśni. A nienawidzimy rozlewu krwi wszelkich istot żywych, tak rozumnych jak i nierozumnych. Nienawidzimy też kłamstwa i obłudy. Zaiste, sługą Północy i synem jej pierworodnym musi być ten, który na waszej Wyspie, mając lud jakby z samych bardów złożony, wprowadza do was wszystko to zło na waszą zgubę... Patrz!

Z prawej strony, bardzo wysoko, zabłysło nagle na niebie światło tak silne, że ukazało wyraźnie kontur Góry. Było jak żywe: migotało, gasło, zmieniał kształt i barwę, przeplatając to biel z odcieniami zieleni, to znowu błyski złote i różowe. Rozciągało się na pół nieba, potem znikało jak zwijana wstęga, żeby znowu za chwilę wybuchnąć. Tagun wpatrzył się w nie zachwycony. Nuno także długo nie spuszczał z niego oczu, nawet kiedy już podjął opowieść.

– To światło – mówił – zapala się na niebie wtedy właśnie, kiedy mroku jest najwięcej. Niektórzy z naszych jeździli na lodowate wyspy, a nawet tam zimowali, specjalnie po to, żeby zbadać jego zwyczaje i naturę. Wielu nie powróciło, ale od tych, którzy zdołali przetrwać Bezkresną Noc, wiemy, że tam właśnie, w Otchłani Północy, świeci ono najjaśniej i najdłużej. Nie jest żywe i mówić do niego nie można, niemniej słusznie je uważamy za symbol zwycięstwa Ognia, naszej nadziei. Bo kiedyś musi zwyciężyć to

wszystko, co Ogień dla nas oznacza, chociaż obecnie wciąż jeszcze Północ jest równie silna i każdemu dobru na świecie odpowiada zło przeciwstawne: jak każdej kropli wody odpowiada ziarenko piasku. Mędrzec jednak i z tego czerpie pociechę, bo umie w każdej niedoli oczekiwać związanego z nią szczęścia.

Nagle odwrócił się od zwyczajnego światła i spojrzał w oczy Taguna.

– Ale ty przynosisz nadzieję jeszcze żywszą! – zawołał. – Od niepamiętnych czasów przywykliśmy uważać, że Nienazwany nie wtrąca się w bieg świata, a Północ i Południe, choć zawsze czynne, są głuche i ślepe, i jak z tym światłem, tak z nimi mówić nie można. Coraz bardziej widzieliśmy w nich tylko symbole, i my, bardowie i mędrzy, wbrew całej tęsknocie serca żyliśmy w świecie symboli, podczas gdy nasze ludy uczyły się czcić, co chciały: Megnici ogień, Tmutowie ciała niebieskie, a Szentu nawet skały. Z wyżyn naszego wtajemniczenia zazdrościliśmy czasem prostakom, że mają do kogo przemówić. A teraz ty mi powiadasz, że na waszej Wyspie, od kiedy na niej mieszkacie, Alhoru (Głębia Południa) zjawia się stale i przechodzi przez nią jak jeden z was... i że ostatni raz to się stało za czasów dzieciństwa twojego pradziadka! A więc niecałe sto lat temu! A więc i dzisiaj jeszcze żyją tacy, którzy by to mogli pamiętać!

– Ibnu Tun bardzo jest nawet podobny do mojego pradziadka Taguna – szepnął chłopiec.

Nuno zmarszczył się jakby w nagłym strachu czy bólu.

– A ty do jego prawnuka, syna królewskiego – odszepnął równie cicho, a potem już prawie niedosłyszalnie: – Ja, niestety, mam tylko córki...

Tagun zapytał:

– Więc ty, ogai, chciałbyś nauczyć się Oczekiwania?

– Cały świat zapragnąłby się go nauczyć, gdyby się dowiedział, że jest na kogo – odpowiedział Nuno. – Ale ja jeszcze nie śmiem wierzyć. Za dwa dni dowiedzą się o tym Bardowie. Do niektórych już pisałem. Wtedy zobaczymy!

Podczas gdy mówił, Tagun zauważył, że roztańczona na

północnym niebie zorza blednie coraz bardziej. Świat dookoła z czarnego powoli robił się szary. Dniało. Wkrótce, chociaż do wschodu słońca było jeszcze daleko, można już było rozróżnić najbliższe zakręty drogi i nierówności terenu. Nuno zatrzymał lektykę i obaj wysiedli.

– Pójdziemy teraz kawałek drogi pieszo – powiedział bard – To konieczne, jeśli nie chcemy zamarznąć. Na tej wysokości wiatr robi się już lodowaty, chociaż nie mamy za sobą jeszcze nawet ćwierci drogi. Popatrz, tam, w górze, tam... zadrzyj bardziej głowę: szczyt lodowca już się różowi, a poniżej – widzisz szarą chmurkę? Tam właśnie leży Larri, a ta chmura to szalejąca nad miastem śnieżycą. Aldhiru o tej porze czyha na wędrowców i zasypuje drogi, jakby naprawdę nienawidził tego święta. Już pojutrze dowiedzą się Bardowie!

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Dwaj przewodnicy

Jeszcze przed południem doszli do miejsca, gdzie droga, dotąd wspinająca się po łagodnym zboczu niemal prosto, skręcała nagle ostro w lewo, aby po przekroczeniu skalistego garbu spłynąć w wąski, osłonięty od wiatru jar, wyglądający nieomal jak kieszeń. Leżało tam miasteczko Jami, w którym zbiegały się liczne drogi prowadzące z wybrzeża i w którym (jak się wydawało Tagunowi) co drugi dom był gospodą. W jednej z nich czekała już na barda następna ósemka targarzy, toteż po krótkim, gorącym posiłku można było bez zwłoki ruszać w dalszą drogę. Tagun teraz szedł prawie przez cały czas, nawet kiedy Nuno jechał; czyste, mroźne powietrze pobudzało energię chłopca i zachęcało do ruchu. Mógł także w ten sposób lepiej niż z lektyki oglądać i podziwiać świat dookoła. Tuż za Jami zbocze stawało się zbyt strome, żeby wspinać się na nie prosto, toteż droga szła zakosami, to w prawo, to w lewo. Zawsze więc mieli po jednej ręce niekończący się ogrom Góry, a po drugiej bezkresną przestrzeń, w której mimo słonecznej pogody wzrok nie miał się na czym zatrzymać i gubił się w dali, bo horyzont morza był zamglony. Tagun szukał w dole Adongo, ale nie mógł znaleźć. Czy to dlatego, że miasto leżało pod śniegiem i już z tej odległości nie odcinało się od niego, czy też może z powodu jakichś nierówności zbocza, w każdym razie nie było widać z drogi ani portu, ani żadnych osiedli: podróżni czuli się na niej zawieszeni samotnie pomiędzy zboczem a niebem.

Nie w tym sensie jednak samotnie, żeby nikt inny nie szedł tą drogą. Owszem, ciągnęło nią mnóstwo Megnitów, jedni pieszo, inni na małych, kosmatych kucykach, równie na wygląd niezgrabnych, co silnych i wytrzymałych w rzeczywistości; najbogatsi

i najdostojniejsi w lektykach. Miejscami był to niemal gęsty tłum. Nuno wyjaśnił Tagunowi, że wszyscy oni idą do Larri, do świątyni, chcąc tam właśnie obchodzić triumf Ognia. Szli w milczeniu; każdemu zwisała u pasa szeroka łopatka na krótkim trzonku, co Tagun wziął z początku za miecze, takie, jakie w Adongo nosiła policja, i zrozumiał swoją pomyłkę dopiero wtedy, kiedy te łopatki zobaczył w Jami z bliska u nowych tragarzy barda. Nuno spytany o ich przeznaczenie uśmiechnął się:

– Raz na dziesięć tylko zdarza się, że nie bywają potrzebne po drodze – powiedział. – Sam zobaczysz, jeżeli nie dziś, to jutro!

Od czasu do czasu z dala od drogi coś śmigало po zboczach w dół, ciągnąc za sobą świetlistą kurzawę śnieżnego pyłu: to gońcy ze stolicy zjeżdżali na czymś, co Nuno nazywał nartami. Po samej drodze jednak cały tłum sunął w górę. Była też i przystosowana do tego, szeroka, wsparta miejscami na kamiennych przyporach i opatrzona balustradą tam wszędzie, gdzie zbocze stawało się szczególnie strome.

Dzień jednak skończył się szybko, chociaż znajdowali się już na wysokości, na której jego ostatnie promienie widoczne były o wiele dłużej niż w Adongo. Wiatr powiał jeszcze ostrzejszy. Pielgrzymi, skupiając się w zbite grupy lub szukając skalnych załomów dla osłonięcia przed jego podmuchami, pozapalali szklane latarnie noszone albo na łańcuchach, tak by oświetlały stopy, albo właśnie wysoko na drągach. Teraz serpentyna drogi stała się ogromnym wężem nakrapianym cętkami światła i Tagun zdumiewał się, że jest ich aż tak dużo. Mniej więcej w tym czasie zaczął jednak odczuwać duszność, nieznaną przywykłym do górskiej wspinaczki Megnitom, ale naturalną w tych warunkach u niego: wychował się przecież na małej wyspie, która w porównaniu z tym krajem wydawała się niska i płaska jak patelnia. Toteż przyjął z ulgą wezwanie Nuna do powrotu do lektyki. Z reszty tego wieczora pozostała mu tylko pamięć długiej drogi w ciemności, gryzącego zimna i palącej „bengi”, którą poił go teraz Nuno, jak niegdyś na statku Memuke. Później były jakieś dziwne echa (tyle tylko Tagun zauważył, gdy szli przez pierwszy tunel), a zaraz potem jasny

ogień i ciepłe poślanie w gospodzie, gdzie nocowali.

Kiedy Nuno go zbudził, było oczywiście jeszcze zupełnie ciemno, ale w izbie panował już wielki rozgardiasz. Teraz dopiero Tagun zauważył, że nocowało tam oprócz ich orszaku jeszcze kilkunastu pielgrzymów; widocznie spędzili noc leżąc pokotem na podłodze, pozawijani w swoje płaszcze. Obecnie rozsiedli się wszyscy wokół kominka i pod ścianami, jedząc gorącą polewkę, a tuż przy kracie kominka siedział stary znajomy, dżugidzki bard Derszen. Nuno Lagmi rozmawiał z nim bardzo łaskawie. Derszen miał na sobie już nie swój dawny pasiasty płaszcz i wąski kołpak, ale szeroką burą opończę z kapturem podbitym futrem. W tym stroju, gdyby nie zbyt wysoki wzrost, mógłby uchodzić za Megnitę. Odpowiadając na pytanie zadane mu przez Nuna, mówił powoli:

– Bardzo dobrze. Żadny trud. Urodzony w górach.

A potem ciszej, już jakby tylko do siebie:

– Tylko w górach można żyć...

Wszedł stary Megnita w fartuchu, najwyraźniej gospodarz domu, niosąc na tacy kilka misek przeznaczonych dla tych pielgrzymów, którzy najpóźniej wstali, a między nimi dla Taguna. Rozdał strawę, otarł o fartuch ręce i zwrócił się do Nuna Lagmi tonem zarówno szacunku, jak i zakłopotania:

– Ogai, dwóch przewodników spiera się o zaszczyt prowadzenia twojej pięćdziesiątki. Sam chyba zechcesz wybrać?...

Nuno zaśmiał się.

– Od kiedy was tu pamiętam – powiedział – więcej jest w Kom przewodników niż na całej Megni pielgrzymów. Niechże idą obaj: przy takiej pogodzie będą mieli pełne ręce roboty.

Szmer aprobaty rozległ się w izbie: pielgrzymi chwalili hojność barda i swój własny szczęśliwy los, który ich z nim zetknął. Gospodarz wyszedł i po chwili wprowadził dwie postacie, które wyglądały, jakby się ustroiły w skóry białych niedźwiedzi, wkładając ręce w ich przednie łapy, a nogi w tylne. Może zresztą były to tylko ubrania uszyte ze skór w ten sposób. Nuno, do którego obaj przewodnicy podeszli z pokłonem, odwrócił się od ognia i powiedział zdziwiony:

– Nie jesteście Megnitami?

Tagun spojrział uważniej znad miski. Nowo przybyli stali w pełnym blasku i chociaż spod odzieży widać było tylko ich dłonie i głowy (z których odrzucili kaptury), najwyraźniej nie byli to Megnici, chociaż w tłumie trudno by ich było odróżnić. Ale nie byli także Dżugidami, ani nie należeli do żadnej z ras, jakie Tagun w ciągu swojej podróży już oglądał. Do siebie natomiast byli tak podobni, jak pan Geb do pana Kri. I jak w wypadku obu Tmutów (tylko o wiele prędzej, bo zanim się jeszcze odezwali) Tagun dostrzegł w nich przede wszystkim różnicę usposobienia. Nazwał też ich od razu z myśl, jednego „Swoim”, a drugiego „Obcym”, chociaż nie mógłby podać żadnych przyczyn, które takie skojarzenia wywołały.

Tymczasem jeden z przewodników, ten „Obcy”, odpowiadał bardowi:

– Jesteśmy z ludu, którego już nie ma, ja i mój brat tu obecny. Ale tę Górę znamy dobrze i od dawna. Dlatego zostaliśmy przewodnikami.

Mówił po megnijsku bezbłędnie i nawet bez obcego akcentu, co mogło dowodzić długiego rzeczywiście pobytu w Tanhidu. Nuno jednak wydawał się niezadowolony i patrzył na ogorzałe twarze obu braci, jakby zamierzał zacząć przewód sądowy.

– Podobno kłóciliście się o tę grupę – rzekł. – Dlaczego?

– Ogai, to chyba zrozumiało. Grupa twoja nie jest równa innym. Zresztą kłótnia była rzeczywiście niepotrzebna, bo ja tu byłem pierwszy. Ale mój brat wiecznie mi wchodzi w drogę.

Zanim jednak Nuno lub drugi przewodnik zdążyli na to odpowiedzieć, Derszen wstał nagle, wysunął się zza pleców Nuna i przemówił do owego „brata” w swoim własnym języku. Tamten odpowiedział mu płynnie, tonem radosnego powitania. Derszen zamienił z nim jeszcze kilka zdań, po czym zwrócił się do Nuna:

– Znajomy – rzekł. – Bard jak ja. Siódmego stopnia.

Nuno spojrział pytająco na „Swojego”, który uśmiechnął się i powiedział:

– Tak, jestem bardem. Znamy się z Derszenem jeszcze

z Daggesz. Ale to jest naprawdę mój brat, i naprawdę tę Górę dobrze znamy: tej zimy przeprowadziliśmy już obaj wiele pięćdziesiątek.

– Niech będzie – powiedział Nuno z wyraźną ulgą w głosie. – Zbierajmy się w drogę!

Po wyjściu z domu Tagun zrozumiał aluzję barda do pogody. Na dworze szalała zawieja. Śnieg sypał już nie pojedynczymi płatkami, ale jakby garściami lub łopatomi rzucały. Ze stromych dachów spływały aż do ziemi grube czapy i nawisy, w oczach niemal rosnące; uliczka – ilekroć w przerwach między porywami wiatru było ją w ogóle widać – wyglądała jak wąwóz utworzony z bezkształtnych skał. Pielgrzymi mający iść z Nunem wyszli z domu z kilkoma tylko zapalonymi latarniami; przewodnicy ustawili ich parami i wręczyli latarnie pierwszym i ostatnim. Następnie opasali całą zbitą grupę liną; Tagun dopiero wtedy zauważył, że już nie ma lektyki ani nawet niczyich kucyków. Widocznie przy takiej pogodzie można było iść pieszo albo nie iść wcale. On sam i Nuno byli blisko czoła grupy, jeden za drugim; Derszen znajdował się gdzieś dalej. Przewodnicy wsunęli się do kręgu liny i ruszono.

Co parę chwil tuż obok, na prawo i lewo, zjawiały się światła innych podobnych gromad, które śnieżycą pozwalała dostrzec dopiero o kilka kroków. Przy takich spotkaniach przewodnicy wymieniali hasła, które jakoś rozstrzygały o kolejności wkraczania na drogę. Po upływie może pół godziny te światła przestały się zjawiać i tylko po tym Tagun poznał w gęstej od śniegu ciemności, że już wyszli z miasta. Wiele grup na pewno szło przed nimi, i to bardzo blisko, a mimo to ich nogi grzęzły bezustannie w kopnym śniegu. Chwilami porywy wiatru były tak silne, że kogoś idącego pojedynczo mogłyby nawet zdmuchnąć ze ścieżki.

Po godzinie powolnego, uciążliwego marszu droga pogorszyła się na tyle, że trzeba już było puścić w ruch owe zagadkowe łopatki. Okazały się one przeznaczone po prostu do przekopywania się przez śnieg. Gromada przystanęła i przewodnicy na jej czele zabrali się do torowania drogi; Tagun pomyślał z przerażeniem, że

jeśli od przejścia poprzedniej grupy już tyle napadało śniegu, to chyba szybciej go przybywa, niż ktokolwiek zdołałby odrzucać. Ale łopatkami furczały dziarsko i grupa co chwila robiła krok do przodu, jakby klin wpuszczany w zaspę. Okazało się, że robota jest w swoisty sposób zorganizowana: kopało zawsze dwóch, a kiedy już dzięki ich pracy grupa posunęła się o krok, ustępowali wzdłuż lewej liny do tyłu, podczas gdy od prawej na ich miejsce wsuwali się następni. Nuno, kiedy na niego przyszła kolej, kopał jak inni; Tagunowi szło słabo, ale że zmarzł już podczas postoju, był wdzięczny za tę możliwość rozgrzewki. Obaj zdążyli cofnąć się zaledwie o kilka kroków od czoła i Tagun właśnie rozważał ponuro, ile też tygodni potrzeba na przekopanie się z taką szybkością aż do Larri, kiedy z przodu dobiegł triumfalny okrzyk:

– Jest! Jest przejście!

Jak się okazało, zaspą, przez którą z takim trudem musieli sobie torować drogę, zakrywała wejście do pierwszego za Kom tunelu. W chwilę potem podróżni szli po kamiennych, szerokich schodach, wykutych chyba bardzo dawno temu, bo były starte, zwłaszcza na środku, jak łożysko potoku. Sklepienie było niskie, kroki dudniły echem. Na zakrętach znikają z oczu światła na przedzie i robiło się zupełnie ciemno. Tagun potknął się raz i drugi. Brakowało mu tchu, czuł mdłości i coraz bardziej obezwładniający strach. Potknął się znowu i uderzył o Nuna, idącego przed nim. Ten przytrzymał go i zapytał:

– Bardzoś zmęczony?

– Tak.

– Stójcie! Postój! – zawołał Nuno. Jego głos wydawał się w tym tunelu bezdźwięczny, jakby przyduszony. Przewodnik „Obcy”, który, jak się okazało, szedł teraz tuż za nimi, odezwał się w mroku:

– Ogai, nie możemy stawać. Zasypie nam zupełnie następną odkrytą ścieżkę.

– Chłopiec jest mały i pierwszy raz na tej wysokości. Musi odpocząć.

– Ja go poniosę, ogai.

– Nie! – krzyknął Tagun w nagłym strachu, takim, jaki na początku podróży odczuwał przed dotknięciem Memukego. – Ja już pójdę sam! Nic mi nie jest!

Od czoła nadbiegł, skacząc po stopniach w dół, przewodnik „Swoj”.

– Co się tu dzieje? Górska słabość? – zapytał, a Tagun zawstydział się nagle, bo poczuł, że mu naprawdę nic nie jest, nic a nic, i gotów byłby iść dalej i wyżej, choćby do samego księżyca.

– Naprawdę nic mi nie jest! – zawołał. – Mogę iść choćby na czele! Pozwól, ogai, pójdę z nim!

– Jest nas tu trzech bardów – powiedział cicho Nuno, a w jego głosie było także ogromne znużenie. – Któregoś z nas zawsze się trzymaj. I nie wychodź poza linię...

W ten sposób Tagun znalazł się rzeczywiście na czele pochodu razem ze „Swoim” przewodnikiem. Było mu teraz lekko i radośnie. Właściwie czuł się jak małe dziecko i opanowała go dziecinna chęć zadawania pytań. Jak się natychmiast okazało, nie mógł z tą chęcią lepiej trafić, bo jego towarzysz nie tylko gotów był odpowiadać na najgłupsze nawet pytania, ale w dodatku odpowiadał na nie najczęściej piosenką.

– Skąd się bierze aż tyle śniegu? – pytał Tagun, a przewodnik na to:

*Wicher głuptas zrobił sanie
z puchowej kołderki:
ledwo zdążył wskoczyć na nie,
zawadził o świerki.
Hej a hej! Hej a hej!
Niedaleko było biegu,
wylądował w kupie śniegu
z rozprutej kołderki.*

Tagun śmiał się głośno i klaskał w ręce zachwycony. Nigdy najpiękniejsze pieśni nie cieszyły go tak, jak te niemądre przyśpiewki.

– Jeszcze! Jeszcze! Powiedz teraz, czemu wiatr tak jęczy!

A przewodnik na to:

*Szukał guza wiatr niecnota,
góry brał za bary,
tylko sobie pięści otarł
o skalne filary
Hej a hej! Hej a hej!
Teraz jęczy nad zawieją,
a góry się z niego śmieją,
że głupi, choć stary.*

Tymczasem Nuno szedł z coraz większym trudem. Po raz pierwszy w życiu jemu, urodzonemu i wychowanemu w Larri, wspinaczka wydała się trudem ponad siły. Czyżby się już starzał? Albo może odwykł od ojczystego klimatu i kraju podczas długiej podróży? Trudno mu było w to uwierzyć, więc usiłował z początku lekceważyć rosnącą niemoc i właśnie poruszać się tym żwawiej.

– Już niedaleko do końca tunelu – mówił sobie – a na świeżym powietrzu wszystko to przejdzie.

Rzeczywiście było niedaleko i wkrótce znaleźli się znowu na otwartym zboczu, w wyjąym, białym piekle. Gdzieś ponad chmurami był już świt, może już nawet słońce weszło, ale tu w sercu zawiei było mimo to niemal równie ciemno jak przedtem. Zaraz też utknęli w następnej zaspie; zanim się przez nią przekopali, Nuno znalazł się na samym końcu pochodu. Kiedy wreszcie przyszło iść dalej, było mu tak trudno ruszyć się z miejsca, że przez chwilę chciał już wysunąć się z liny i zostać: śnieg przykryje, nie będzie śladu... Koniec bezsensownej mordęgi, podjętej nie wiadomo po co...

Tagun jest gdzieś na przedzie. Nuno próbuje dodać sobie siły myślą o tym niezwykłym chłopcu, nosicielu oszałamiającej nadziei – ale właśnie ta nadzieja już nie wydaje się wcale oszałamiająca: przeciwnie, blednie i gaśnie. I coraz trudniej bardowi zrozumieć, jak mógł tak długo traktować ją poważnie, snuć niebosiężne plany, w końcu życie na szwank wystawić... Nie dosięgnie ręką księżyca, nie przeorze, jak piorun, zawiei. Nie znajdzie nikogo nad sobą: Alhoru i Aldhiru muszą powrócić w świat prymitywnych baśni. A nawet jeśli Aldhiru trudno tam zagnać, kiedy się właśnie resztką sił stawia czoło śnieżnej północnej wichurze, to już w każdym razie Alhoru jest mitem i tylko mitem. Ani od niego pomocy, ani nadziei.

Głupiec, który szukał po łądach i morzach jego śladów, po to tylko, żeby w końcu napytać sobie takiej udręki, ma teraz jedno proste, wszystko rozwiązujące wyjście: unieść linę... jeszcze nieco wyżej... Bo przecież nie może pozwolić, żeby inni, równie zmęczeni, musieli go na niej ciągnąć. Jeszcze wyżej...

Nagle pochód stanął. Widocznie nowa zaspą. Prawą stronę liny szarpnięto do przodu i Nuno musiał posunąć się w rzędzie za innymi; kiedy znowu ruszyli, nie był już ostatni i nie mógł niepostrzeżenie wysunąć się i zostać. Gdzieś na progu świadomości kołatała mu się też myśl, że z nadzieją czy bez nadziei powinien jednak iść naprzód, bo zaciągnął zobowiązania i musi ich dotrzymać: musi chłopca przedstawić Bardom i musi go zwrócić Memukemu. Gorzki, głupi cel, ale cel. Przez chwilę usiłował umacniać się tą myślą, ale była jak sękata, niewygodna laska, na której oprzeć się trudno. Więc poszukał innej: musi przecież zaopiekować się Tagunem. Zaopiekować... Zaopiekować...

Słowa zaczęły tracić sens i Nuno szedł już teraz prawie nieprzytomnie, zajęty tylko rosnącym trudem przesuwania nóg. Był znowu tunel i znowu odkryta perć. Nuno wiedział, że między Kom a Larri jest pięć tuneli, ale nie miał już siły ich liczyć. Tuż przed nim szurał zamasyżycie nogami jeden z przewodników; drugi, idący z Tagunem, był już także blisko, ponieważ znajdował się obecnie przy lewej, cofającej się stronie liny. Nuno słyszał, chociaż prawie nie rozumiejąc, jakieś wesołe śpiewki i śmiech chłopca.

– Zaopiekować... – powtórzył znowu i w jakimś przebłysku przytomności zdał sobie sprawę, że Tagun chwilowo wcale nie potrzebuje jego opieki, czuje się i bez niej doskonale, i prawdopodobnie jest mu zupełnie wszystko jedno, czy wielki bard Nuno Lagmi naraża z jego powodu swoje cenne życie i zdrowie, czy nie. I na tę myśl ogarnął go nagle ślepy gniew, pasja taka, że nie mógł pomieścić jej w sercu dłużej niż przez okamgnienie. A potem otarł twarz, zdumiony tak, że ze zdumienia oprzytomniał.

Na tysiąc istot myślących może jedna zorientowałaby się, co się dzieje, ale Nuno był właśnie tą jedną. Przyzwyczajony badać

własne myśli, wtajemniczony w sztukę znajomości siebie, czuł teraz, że chociaż w swym zmęczeniu i rozżaleniu mógł naprawdę poczuć gniew na widok wesołej beztroski Taguna, ale nie aż tak silny – i przede wszystkim NIE TEN. Ten był nie jego, jak pożyczona burka, którą można narzucić na ramiona, ale się przez to nie zostaje jej właścicielem. Ta dzika wściekłość, w której miał udział przez chwilę i której kolejny atak już znów nadchodził, była cudza. Była z zewnątrz. Opierając się całą siłą woli następnej fali, czuł też wyraźnie, że ona jest jedno z rykiem wichury, wzmagającym się właśnie, jakby chciał zagłuszyć śmiech chłopca; jedno ze śnieżycą, która jakby usiłowała zatrzymać go w drodze. Nuno raz jeszcze otarł twarz ze śniegu i szepnął:

– Zaiste Otchłań Północy go nienawidzi!

I wtedy nagle ucichła wichura i śnieżycą ustała, ale na serca idących padło w ciszy przerażenie. Zatrzymali się – a w tej samej chwili na zboczu nad nimi, widocznym teraz na dość dużą odległość, coś jakby westchnęło i zadrżało. Śnieg leżący na ziemi podniósł się i zawirował, jak gdyby ktoś snuł z niego długą, krętą wstęgę: kołował w miejscu coraz wyżej, rósł w ogromną kolumnę, aż wreszcie zachybotał i ruszył w dół zbocza prosto na stojących na dole pielgrzymów. Zanim zdążyli krzyknąć, ogromny lej wpadł w sam środek ich gromady, wyssał do góry jednego z nich – Taguna – przeniósł go ponad ich głowami i ponad zasypaną śniegiem balustradą, i rzucił go w dół. A potem złamał się w kilkunastu miejscach naraz, rozsypał się w mgnieniu oka i bezwładną lawiną runął w stromy żleb śladem swej ofiary.

Ktoś skoczył przez balustradę na ślepo za nim: bard przewodnik. I drugi: brat tamtego. Nuna Lagmi siłą zatrzymano, kiedy chciał skoczyć jako trzeci, ale w tym zamieszaniu nikt nie zauważył, że i Derszen powoli, balansując po śliskich krawędziach, przedostał się przez balustradę i zsunął się śladem tamtych.

On też, po dobrej godzinie oczekiwania, ukazał się sam jeden ledwo widoczny gdzieś w dole. Kilku śmielszych zjechało ku niemu. Nie był, jak się okazało, zupełnie sam: niósł pod swoją szeroką opończą nieprzytomnego Taguna. Tymczasem zrobiło się już

zupełnie jasno, widać było coraz dalej, chwilami chmury rozrywały się nawet, ukazując na krótko skrawek chłodnego błękitu. Derszen wdrapał się na drogę bez trudu pomimo obciążenia i trzymając nadal Taguna na ręku powiedział:

– Potłuczony... wstrząs. Omdlał. Trzeba nosze.

Zrobiono je natychmiast, bo tragarze Nuna mieli w plecakach części składanej lektyki, w której poprzednio go nieśli. Dopiero wtedy Derszen, jakby teraz to sobie przypomniał, oznajmił:

– Przewodnicy nie wrócą. Polecieli w dół... w przepaść.

Dreszcz zgrozy przeszedł po wszystkich, ale ponieważ na to nie było już rady ani pomocy, ruszono tym prędzej w drogę, byle dalej od tego straszliwego miejsca. Marsz nie był już obecnie trudny, a przy tym większość pielgrzymów wiedziała, że znajdują się o pół godziny drogi od miasteczka Jado, które było zwykłym południowym etapem na tej trasie. Na wszelki wypadek przyłączyli się do którejś mijającej ich właśnie grupy i poszli.

Nuno szedł koło lektyki Taguna. W świetle nagle przywróconego dnia, w pełni znów odzyskanej energii, byłby uważał za zły sen wszystko, co przeżyli w ciągu przedpołudnia, gdyby nie widok bladej, posiniaczonej i podrapanej twarzy chłopca. Derszen szedł obok i sęczył powoli swoją opowieść, pracowicie szukając megnijskich słów. Okazało się, że Tagun, spadając po stromiźnie, zatrzymał się na skraju żlebu, niemal tuż nad samą przepaścią, na kępie kosodrzewiny. Pęd rzucił jego płaszcz na gałęzie, a chmura śnieżnego pyłu, osiadając na nim, przykryła go zaspą grubą niemal na jego własną wysokość; ale pod płaszczem między gałęziami było bardzo dużo powietrza, zapas na wiele godzin. Derszen, kiedy tam dotarł, nie znalazł już ani śladu obu przewodników: widocznie biegli zbyt szybko i nie zdążyli się zatrzymać przed krawędzią żlebu. Natomiast nie miał najmniejszych wątpliwości, że powinien rozkopać gruby wał śniegu, który miał przed sobą. I rzeczywiście znalazł w nim to, czego szukał.

Była to, jeśli nie liczyć śmierci przewodników, seria przypadków tak szczęśliwych, że trudno byłoby uwierzyć w uratowanie się chłopca, gdyby się go nie miało żywego przed sobą. Podróżny

strącony w przepaść przez trąbę powietrzną i na dodatek przykryty lawiną wychodzi z tego wszystkiego bez szkody większej niż posiniaczona skóra... Nuno wyciągnął rękę i dotknął lekko głowy Taguna, tak jak kiedyś na statku, kiedy przemówił do niego po raz pierwszy. A potem zmrużył oczy, chroniąc je przed nagłymi blaskiem: to słońce przedarło się właśnie przez chmury i roziskrzyło śniegi. Gromada wchodziła do Jado.

Nuno rozejrzał się po niebie i szepnął tak cicho, że nawet Derszen nie słyszał:

– Czyżby naprawdę kochała go Głębia Południa?

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Wątpliwości

Tagun uleciał w górę jeszcze śpiewając i dopiero ciśnięty w dół, kiedy serce podskoczyło mu do gardła, doznał strachu. Zaraz potem był ból, zjawiający się tak szybko i w tylu miejscach naraz, że świadomość przestała to już rejestrować. Chłopiec nie wiedział odtąd, że toczy się jak kamień po stromym zboczu, że obija się o wystające skałki, że wreszcie zatrzymuje go zbłąkana jakimś cudem na tej wysokości kępa kosodrzewiny. Pierwszą rzeczą, z jakiej sobie po chwili zdał sprawę, była podwójna Obecność.

Nie umiałby tego wyrazić słowami, ale czuł bliskość jakby dwóch ogromnych rzeczy – albo może istot? albo spraw? – ogromnych przerażająco, przytłaczająco. Ogromnych jak strach w gorączce. Tagun pomyślał, że jedną z nich jest pewnie święta Góra Ndami, na której zboczu oto spoczywa bezpiecznie, a drugą – otchłanna przestrzeń poza Górą, pustka, co go o mało nie wciągnęła. Obie te potęgi stały teraz przy nim naprzeciw siebie, niebotyczne, groźne, jak gdyby skłócone. I nagle poczuł, że spierają się o niego.

– Zostaw! Jest mój. Po wszystkich lądach i morzach rozciągnąłem sieci, żeby dostać w ręce właśnie jego – i dostałem.

– Dostaniesz, ale nie tak i nie teraz. On w twoje ręce pójdzie sam, dlatego że tamtędy droga w moje.

– Do tego właśnie nie dopuszczę. Niech raczej ginie!

– Władza nad jego życiem nie została ci dana.

– Ani tobie!

– Więc spróbuj go zabić.

Tagun, nadal nie widząc nic dookoła, przywarł z całych sił do opiekuńczej Góry, czuł jednak, że przeciw takim potęgom jest bezbronny jak motyl przeciwko wicherze. Ale nie stało się nic,

tylko dwie moce wydały mu się jeszcze większe, jak zawodnicy, którzy już wstali do walki.

– Nie mój to rozkaz, i właśnie dlatego musisz go spełnić. Odejdź.

– Odejdź ty także!

– Dobrze. Mój sługa znajdzie go tutaj i odniesie na górę żywego.

– Odpokutuje za to!

– Więc tym większą otrzyma nagrodę. Czy zapomniałeś już o Tajemnych Słowach?

– Milcz! On słyszy!

Ale nie słyszał już nic więcej ani nie czuł. Ogarnęła go jakby chmura spokoju, poczucia bezpieczeństwa, uciszenia – nieznanym dorosłym, a tym bardziej dorastającym, spokój niemowlęcia śpiącego na rękach matki. To było tak, jak gdyby święta Góra Ndami uznała go za syna i przytuliła do serca. Toteż nie zdziwił się wcale, kiedy ta macierzyńska obecność, tracąc powoli swój ogrom, zaczęła się objawiać jego oczom coraz bardziej podobna do smagłej kobiety megnijskiej, pochylającej się nad nim. Najpierw widział ją jakby zza białej mgły, niejasno, potem bliżej i coraz wyraźniej. Nie była podobna do jego matki, ale kiedy wreszcie jego oczy odzyskały zdolność widzenia na tyle, że spotkały jej wzrok, szepnął odruchowo, jakby coś oczywistego:

– Mamo.

– Igawaz, nen! (Jak dobrze, maleńki) – odpowiedziała mu matczyna postać, a jej tanhidyjska wymowa jakby jeszcze potwierdzała jej tożsamość ze świętą Górą Ndami. Na czole Taguna spoczęła ciepła dłoń, a ten sam głos odezwał się znowu:

– Mei! Biegnij prędko po ojca!

Coś obok zaszeleściło i zatupotało, ale niemal jednocześnie Tagun usłyszał kroki i twarz Nuna pojawiła się obok twarzy kobiety, obie teraz już w pełni widoczne w białym świetle zimowego dnia. Znowu dwie istoty pochylone nad nim – ale żadna z nich teraz nie budzi w nim ani grozy, ani zachwytu... W pierwszej chwili nie umiał ukryć zdziwienia i stwierdził głośno, tonem ni to ulgi, ni to rozczarowania:

– To nie wy.

Nuno poruszył wargami, ale zanim się odezwał, upłynęła krótka chwila zwłoki, świadcząca, że ostatecznie powiedział coś innego, niż zamierzał.

– Jak się czujesz?

– Dobrze, ogai. Czy byłem chory?

– Nie, tylko potłuczony. Potoczyłeś się w dół po zboczu... nie bardzo daleko. Nie pamiętasz?

– Nie.

– Strachu, bólu... też nie? – Chyba nie. Może przedtem.

– Przed czym?

– Było mi tak dobrze.

Tak, nawet wyraz jego twarzy mógł świadczyć o przeżyciu czegoś radosnego i kojącego, nie zaś szoku i przerażenia. Wyglądał jak ktoś, kto się zbudził z wyjątkowo szczęśliwego snu. Nuno patrzył na niego przez chwilę w milczeniu i postanowił więcej już o to nie pytać; ale postanowił także nic chłopcu nie mówić o śmierci obu przewodników, żeby go niepotrzebnie nie straszyc.

– Jesteś pewnie głodny?

– Nie, ogai. Chciałbym trochę pomyśleć.

Wracały mu powoli wspomnienia tego, co przeżył, i z nienazwanych odczuć stawały się obrazami, domagającymi się ujęcia w słowa, w język jawy. Czuł jednocześnie, że nawet kiedy już zdoła przetłumaczyć je na ten język, nie będzie ani umiał, ani czuł się w prawie przekazać tego komukolwiek innemu, nawet samemu bardowi.

Kobieta powiedziała z uśmiechem:

– Jedno drugiemu nie przeszkadza. Nie jadłeś od wczoraj, musisz się trochę posilić, a myśleć możesz choćby do wieczora. Ilno i Mei będą dziś bardzo cicho i nie będą ci przeszkadzać.

Tagunowi dopiero teraz przyszedł do głowy spóźniony domysł, że ta Megnijka to przecież żona Nuna, a Ilno i Mei – ot, właśnie jakaś okrągła buzia pokazała się między ramionami dorosłych – to ich córeczki. Zaraz też pewnie zjawi się służba z megnijskim obiadem, tym nieskończonym ciągiem drobnych dań, wnoszonych każde osobno... Tyle istot i spraw dookoła, a on tymczasem chce wrócić

myślą tylko do dwóch, a właściwie do jednej z tych dwóch. Jakby dopiero teraz zrozumiał, co to jest prawdziwa tęsknota.

– Zarządź, co trzeba, Damil – powiedział Nuno i twarz kobiety znikła sprzed oczu Taguna. Na gest ręki ojca pobiegły za matką obie dziewczynki. Bard znowu siedział przez chwilę w milczeniu.

– Słuchaj, Tagannu – powiedział wreszcie, po raz pierwszy używając tej formy imienia chłopca – Ja wiem, jak wygląda ktoś, kto spojrział w słońce i potem przez jakiś czas wszystko wydaje mu się szare. Muszę jednak z tobą pomówić, bo czasu mamy niewiele. Lekarze twierdzą, że wszystkie kości masz całe. Czy możesz się poruszać?

Tagun usiadł natychmiast, zawstydzony, że sam o tym dotąd nie pomyślał.

– Mogę, ogai. Trochę boli, ale... – wyprostował się i wyciągnął rękę – to nic, popatrz: tylko siniaki.

– Dobrze. Słuchaj: to, co się z tobą stało, było wczoraj. A teraz jest już blisko południe i mamy właśnie święty dzień Przesilenia, najkrótszy w roku. Tej nocy musimy obaj iść na uroczyste zgromadzenie Bardów. Czy jesteś gotów powiedzieć im wszystkim o tym... o twoim Oczekiwaniu?

– Tak... – Ale w głosie Taguna nie było entuzjazmu. Chłopiec odczuł nagły strach, że każą mu słowami spłoszyć nadzieję powrotu tamtej Obecności. I wtedy właśnie zapytał sam siebie: Obecności – czyjej? Czyżby już był przez chwilę tak blisko Oczekiwanego – czyżby to jego spotkał? Ta myśl zjawiała się nagle, jak nagle zjawia się pod dnem łodzi niezauważona przez żeglarzy podwodna skała, i stała się pewnością równie nieodwracalną. I równie przerażającą. Nikt nigdy nie widział Ora dwa razy. Czyżby to już był koniec? – czyżby ustokrotniona przez to mgliste spotkanie tęsknota była już odtąd daremna?

Nie wiedział, że zbladł jak ściana i drżą mu ręce. Nuno znów patrzył na niego uważnie i milczał. W tej chwili i on także poczuł się rozdarty między pragnieniem a nowym zwątpieniem. To wszystko, co się dotąd stało, począwszy od spotkania z Tagunem na statku aż do jego wczorajszej przygody, można było rozumieć jako

zdumiewające objawienie się świadomej Mocy, dotąd ukrytej pod mitycznym imieniem Głębi Południa. Ale można było także dopatrywać się w tym ciekawego zbioru przypadków, a w chłopcu – zręcznego oszusta. Zwłaszcza ten tak wyraźny strach, okazany na wzmiankę o nieuchronnym już i bliskim badaniu jego zeznań przez Bardów! Jeszcze przed chwilą Nuno był skłonny widzieć w zachowaniu się Taguna oznaki jakiegoś swoistego wtajemniczenia. Teraz nie był już taki pewny. Od początku mógł to być strach i tylko strach – może z przerwą na chwilowy błogostan, spowodowany przez zapomnienie o zbliżającej się próbie.

Chłopca, nawet jeśli tak było, trudno było za to winić. Mały niewolnik mógł po prostu pragnąć się jakoś ratować. Polepszyć swój los. To byłoby zrozumiałe i wybaczone... Ale kiedy tak wielkie sprawy wchodzi w grę, jakiś niesmak pozostaje po miłosiernych próbach wytłumaczenia winowajcy. Czy nie są one osłoną własnego tchórzostwa obrońcy? Próbą opowiedzenia się z góry za rozwiązaniem smutniejszym wprawdzie, ale bardziej zrozumiałym i mniej stawiającym wymagań – mniej zmieniającym w życiu? Lepiej, piękniej byłoby na świecie, gdyby Tagun mówił prawdę. Wygodniej byłoby, gdyby kłamał. Jak jest w rzeczywistości? I po czym to poznać, kiedy nawet własnemu sądowi ufać trudno?

Damil wróciła, a po chwili zaczęto wносить obiad dla Taguna. Nuno zostawił chłopca opiece żony, a sam poszedł do gabinetu, bo mu się wydawało, że tam lepiej zdoła się skupić i znaleźć jeśli nie od razu rozwiązanie swojej trudności, to przynajmniej jakąś drogę do tego rozwiązania. Ale nie mógł nawet zmusić się do tego, żeby usiąść spokojnie w postawie właściwej dla medytacji. Przez dobrą godzinę chodził po gabinecie, aż wreszcie zdał sobie sprawę, że właściwie zastanawia się już tylko nad tym, do kogo mógłby zwrócić się o pomoc. Ibnu Tun? Jest już w Larri, ale nie jest sędzią bezstronnym: zbyt go zachwyciła archaiczna mowa Wyspy w ustach Taguna. Adun z Gehidy? Zanhi Tun? Kanum? Do nich wszystkich pisał, wiedzą już przynajmniej, o co chodzi. Adun jest chorobliwie podejrzliwy. Zanhi... czemuż dzisiaj wszyscy

członkowie bractwa wydają się karykaturą samych siebie?... Zanim każdą rzecz widzi przede wszystkim jako temat pieśni. I tylko to go obchodzi. Kanum –

Damil wsunęła się cicho do pokoju. Nuno zwrócił na nią pytające spojrzenie.

– On chyba zasnął – powiedziała – a w każdym razie nie odpowiada na nic. Ale... on jest bardzo nieszczęśliwy!

– Czyż ulubieniec Głębi Południa może być nieszczęśliwy? – zapytał Nuno, zwracając się jednak bardziej do ścian pokoju niż do żony. I nie czekając, aż mu ściany odpowiedzą, zaklaskał w dłonie i wezwał lektykę.

Kanum przyjął go z początku w obecności kilku ministrów, z którymi właśnie kończył omawiać jakąś sprawę – Nuno nawet nie zadał sobie trudu słuchać, jaką. Uderzył tylko czołem na progu i rozsiadł się w kącie pod oknem, rad, że nie ma tu innych przyjaciół królewskich, czekających na prywatną rozmowę. Chociaż w sali było zupełnie ciepło, dworzanin zwany Witającym podsunął mu rzeźbioną misę z żarem i Nuno wyciągnął nad nią dłonie w ceremonialnym geście przyjęcia gościny.

Czekał niedługo; wkrótce ministrowie zaczęli znikać jeden za drugim jak zdmuchiwane kolejno kaganki. Ledwo za ostatnim z nich zasunęła się kotara, Kanum podniósł się z sofy tronowej i przeszedł do okna, przy którym siedział Nuno. Był, jak na Megnitę, bardzo wysoki i zbudowany potężnie, a poruszał się szybko i precyzyjnie, jak ktoś, kto bezustannie jest świadom, że jeżeli nie będzie uważał, to zmiążdży i rozdepcze wszystko na swej drodze. Ten potomek amrańskiego niewolnika miał budowę tragarza i przenikliwość barda.

– Od wczoraj czekam na ciebie – powiedział siadając naprzeciw gościa – Wiem już, że go przywiozłeś.

Nuno skinął głową.

– Nie zabierałbym ci czasu – rzekł – skoro dziś wieczorem i tak będziesz z nami, ale opanowały mnie wątpliwości i potrzeba mi twojej pomocy.

– Mów, bracie – zachęcił go król krótko i Nuno pomyślał, że

wybrał dobrze: Kanum znany był wśród bardów ze szczególnej umiejętności słuchania. Inna sprawa, że ci, których słuchał, często mieli podczas swej mowy wrażenie, że nie słucha wcale, że zasnął. I teraz także znieruchomiał zupełnie, przymknął oczy i aż do końca opowieści nie zdradził najmniejszym nawet ruchem, że czuwa i uważa.

– Mówisz, że trąba powietrzna porwała tylko jego jednego – powiedział wreszcie, kiedy Nuno skończył – Ale przecież pośrednio spowodowała także śmierć obu przewodników.

– Czy uważasz to za dowód przypadkowości jej działania?

– Uważałbym... ale z drugiej strony on jeden właśnie wrócił cało i rzeczywiście trochę za dużo tych dziwnych przypadków. Niemniej to wszystko są tylko przypadki, niezwykle, ale wytłumaczalne, każdy osobno. Nie ma w twojej opowieści żadnych takich zdarzeń, które by były zupełnie niemożliwie i z całą pewnością cudowne. Prawda?

– Prawda, bracie.

– Więc nie ma i bezspornego dowodu. Kiedy po raz pierwszy czytałem twój list... ty go pisałeś nocą, tak?

– O ile pamiętam, tak.

– To widać po niezrównoważeniu i po ilości pośpiesznych sądów... Ale ja, widzisz, czytałem go wtedy także nocą. Uwierzyłem od razu we wszystko i gotów byłem na wszystko. Po raz pierwszy w życiu odpisałem wtedy na list natychmiast, bez namysłu: pamiętasz, jak. Już następnego dnia pożałowałem tego pośpiechu, ale nie chciałem więcej nic pisać. Czekałem na twój przyjazd i na tego chłopca. Zawiesiłem sąd do tej chwili. I, jak powiadam, widać już jasno, że nie możemy liczyć na żaden dowód wprost przez Alhoru przysłany. Mamy tylko chłopca – i problem: czy on prawdę mówi, czy kłamie.

– O ile jako bard mam o tym jakiegokolwiek pojęcie, on kłamać nie umie.

– Jesteś zupełnie pewien?

– Byłbym... gdyby chodziło o mniejszą sprawę!

– Właśnie. Pozostaje próba. Jeżeli jest oszustem i jeżeli już teraz się boi, to będzie chciał przede wszystkim uniknąć długich badań.

Trzeba mu je zapowiedzieć. A jest go czym postraszyć: słyszałeś, o czym myśmy tu dzisiaj radzili?

– Wybacz...

– Zaostrzam prawo karne świętego okręgu.

Nuno zachnął się:

– Nie! Nie teraz!

– Boisz się o chłopca?

Była chwila ciszy.

– Wiesz, że i dawniej byłem temu przeciwny – powiedział w końcu cicho Nuno. – A obecnie... masz rację: boję się o chłopca. Bo gdyby Tagun okazał się kłamcą, to byłoby to kłamstwo płynące z nieszczęścia. Żal mi go i nigdy bym sobie nie darował, że go tu przyprowadziłem jak w pułapkę. Zaufał mi...

Król milczał.

– Jeżeli Tagun okaże się kłamcą – wybuchnął Nuno – to dość już będzie, że wróci do feineńskiego kupca! A karę...

Urwał. Król nadal milczał.

– ... A karę, jeśli trzeba, ja poniosę...

Kanum spojrział mu w oczy.

– Nie mam cię za współnika oszustwa – powiedział spokojnie – ani nie twierdę, że oszustwo w ogóle miało czy ma miejsce. Zauważ, że nawet gdybym je podejrzewał, nawet gdybyśmy wszyscy byli o nim przekonani, to i tak nie byłoby na nie dowodów: myślę o dowodach sądowych. Cała ta sprawa jest zupełnie innego rodzaju: każdy z nas sam dla siebie będzie musiał zdecydować, czy da, czy nie da wiary świadectwu chłopca. I będzie prawdopodobnie tak, że jedni wyjdą z Pieczar przekonani, inni nie. Dla mnie rozstrzygnięciem o tym próba, której go poddam. Dam mu możliwość pozostania w Larri, tak jak gotów jestem zatrzymać go rzeczywiście, jeśli przynosi prawdę i nadzieję. Ale zrobię to w taki sposób, że jeśli jest oszustem, to się przestraszy i nie przyjmie. Wtedy...

Nuno wysunął ręce do przodu i pochylił się nisko w błagalnym geście.

– ... Wtedy wróci do feineńskiego kupca – zakończył król. – Nic

więcej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

W pieczarach

Była to propozycja rozsądna i spokojna i Nuno uznał po namyśle, że daje ona jakąś nadzieję dotarcia do prawdy. Pożegnał więc króla z wdzięcznością i wrócił szybko do domu, bo do nocnego spotkania Bardów zostawało już tylko parę godzin. Było już ciemno, ale ulice miasta pod wygwieżdżonym niebem rozjaśniły się mnóstwem wielobarwnych lampionów. Tłumy ciągnęły ze śpiewem w stronę świątyni; pomimo mrozu, śnieg, ugniatany tysiącami nóg i rozgrzewany bliskością tysięcy ciał, zaczął się topić na wąskich uliczkach. Niedaleko domu Nuno spotkał lektykę żony: Damil siedziała w niej w towarzystwie obu córeczek, z odsłoniętą twarzą, śliczna jak zawsze, ale chmurna. Srebrzyste, miękkie futerko, którym obramowany był jej kaptur, czyniło jej twarz jeszcze ciemniejszą i przydawałoby blasku oczom, gdyby te oczy zechciały podnieść się i uśmiechnąć do świątecznej nocy. Nuno poczuł krótki, bezsensowny odruch gniewu na Taguna, którego obecność odebrała jego żonie część jej sławionej w Larri pieśniami urody.

Chłopca zastał ubranego już do wyjścia i spokojnego, jakby obojętnego. Po chwili jednak zorientował się, że nie jest to obojętność, ale jakaś dziwna determinacja. Najwyraźniej podczas jego nieobecności Tagun powziął jakąś decyzję, postanowił coś, co było trudne i konieczne zarazem, przerażające i upragnione. To wszystko Nuno jako bard wyczuwał w nim wyraźnie, a także nadzieję – mało nadzieję: pewność, niepodważalną już pewność dojścia do celu; co by to jednak była za decyzja, tego bard przeniknąć nie umiał. Pomyślał tylko, że mimo wszystko dałby głowę za prawdomówność Taguna... i że dałby niewiele mniej za możliwość zrozumienia jego wewnętrznego świata. Ale do tego było

mu raczej coraz dalej niż coraz bliżej.

Tymczasem kazał nieść się przez dzielnicę ubogich, umyślnie po to, żeby Tagun mógł zobaczyć ich kamienne, sklepione domki, takie same, do jakich przywykł na swojej Wyspie. Chłopiec zauważył je rzeczywiście i uśmiechnął się na ten widok, ale myślami był najwyraźniej gdzie indziej. Nagle spytał:

– Ogai, mówiłeś niedawno, że na Wyspy Lodowe nikt nie jeździ, prawda?

– Nikt od wielu pokoleń – odpowiedział Nuno – Dlaczego o to pytasz?

– Zastanawiam się, gdzie mieszka Aldhiru. Mówiłeś także, że jest jakiś lud, który go czci. Gdzie ten lud żyje?

– To Galgal-pa’asz – rzekł Nuno – Mieszkają, jak i Tmutowie, na lądzie, który my nazywamy Temi. Graniczą z Tmutami od zachodu.

– Więc gdyby mnie sprzedano Tmutom, byłbym blisko nich – stwierdził spokojnie chłopiec.

– Tak, ale nie traćmy nadziei: może jeszcze uda się tego uniknąć. Zresztą nawet –

– Witaj, bracie Nuno! – zawołał ktoś na ulicy. Bard odwrócił się w tamtą stronę.

– Witaj, bracie Rha! – odrzekł wesoło. – Od kiedy to podróżujesz na własnych nogach, żeby już nie powiedzieć: na własnym brzuchu?

Tmut zaśmiał się.

– Taka cudna noc! – powiedział – Jeszcze takiej nie pamiętam w Larri. Tylko muszę wybierać boczne uliczki, gdzie śnieg jest suchy. O, książę Nehi! Witaj!

– To nie jest Nehi – rzekł Nuno, nagle poważniejąc. – Ten chłopiec nazywa się Tagun Imanu, a wieści, które przywozi, będą tematem dzisiejszej narady.

– Coś mi się już obilo o uszy, chociaż jestem w Larri dopiero od wczoraj. Więc to jest mały Tagun? Witaj!

– Witaj, ogai – odpowiedział chłopiec z uśmiechem. Ten Tmut wydał mu się od razu przyjacielem. – Ge-hek o-mdan czha! (radość

twojej księżycowej postaci).

– Ge-hek! (radość tobie) – odkrzyknął Rha – Brawo, porozmawiamy przy okazji w obu językach! Do zobaczenia w Pieczarach!

I potoczył się pod górę tak szybko, że tragarze Nuna musieliby biec, gdyby go chcieli dogonić. Z dalszej drogi Tagun zapamiętał niewiele: była długa, bo miasto było duże, i prowadziła prawie bezustannie wzwyż. Mniej więcej w godzinę po wyjściu z domu okrzyknięto ich w jakiejś bramie i podczas gdy Nuno wymieniał hasła ze strażą, Tagun wyjrzał i zauważył, że nie tylko kolorowo oświetlone miasto leży w całości poniżej ich stóp, ale nawet i niektóre gwiazdy są już w dole, hen gdzieś pod nimi i pod miastem. Widocznie ta brama znajdowała się dość wysoko nad kotliną, w której kryło się Larri, toteż było z niej widać ogrom sklepienia niebieskiego aż po horyzont morza w dole.

Jeszcze kilkanaście kroków i tragarze postawili lektykę na ziemi.

– Jesteśmy w świętym okręgu – powiedział Nuno wysiadając – W jego części najwyższej, dostępnej tylko bardom. Tutaj jest wejście do Pieczar.

Stali na niewielkim placu otoczonym z trzech stron jakimiś nieregularnymi zabudowaniami, czwartą ścianę stanowiło skalne urwisko Góry. Była w nim ogromna brama o dwu skrzydłach z jakiegoś lśniącego metalu, pokrytych skomplikowaną płaskorzeźbą. Oba stały rozsunięte, czekając na wchodzących; co chwila też jakaś ciemna postać otulona w ciepłą oponczę zniknęła w środku. Tagun, wchodząc tam u boku Nuna, znalazł się w szerokim i wysokim korytarzu, co do którego nie mógł się zorientować, czy jest to naturalna jaskinia, czy chodnik umyślnie wykuty. Prawdopodobnie był częściowo jednym, a częściowo drugim. Może dlatego właśnie, że wykorzystano istniejące szczeliny i przejścia, droga wiła się tak bardzo; na zakrętach i w ogóle co kilkanaście kroków rozświetlały ją kaganki, ustawione w małych niszach dość wysoko, ale ich światła wystarczało zaledwie na to, żeby idący nie wpadali na ściany. Przez cały też

czas szło się pod górę: czasem po łagodnym, gładkim zboczu, a czasem po stromych, umyślnie kutyh stopniach. Te były ostre i niewydeptane: czy to że skała była tutaj twardsza, czy też że ruch był nieporównywalnie mniejszy niż w tunelach prowadzących z Kom do Jado.

Nagle zabrakło nad ich głowami echa sklepienia. Znajdowali się w jakiejś ogromnej przestrzeni, tak wielkiej, że Tagun nie wiedział w pierwszej chwili, czy jest to znowu odkryta kotlina, czy też niezwyklej rozmiarów pieczara. Doszedł w końcu do wniosku, że pieczara, ponieważ w górze nie świeciły gwiazdy; przynajmniej nie było ich prosto nad głową. Natomiast wszędzie dookoła, a nawet poniżej, widać było roje drobnych, ruchomych światełek. Ku najwyższemu z nich ruszył Nuno, sam także z kagankiem w dłoni, otrzymanym od kogoś stojącego w przejściu. Po prawej ręce mieli teraz ścianę, po lewej pieczarę, a pod stopami znów stromą pochylnię. W pewnej chwili Tagun zauważył, że ściana nie jest już z kamienia, ale jakby z lodu.

Doszli wreszcie na miejsce, gdzie stały kamienne trony, wyłożone skórzanymi poduszkami. W mroku trudno się było zorientować, ile ich jest i które są już zajęte. Nuno usiadł na jednym z nich i wskazał Tagunowi miejsce, również wysłane skórą, u swoich stóp. Byli teraz u szczytu jakby ogromnej łąki, usianej setkami świecących kwiatów: to na niższych poziomach zajmowali swe zwykłe miejsca Bardowie wszystkich stopni. Panowało całkowite milczenie.

Stopniowo ruch ustawał i światełka nikły: Nuno także po przyjsciu zgasił swoje. Po jakimś czasie zapanowała ciemność zupełna i zupełna cisza. Myśli Taguna uleciały zwykłym szlakiem ku Oczekiwanemu. Jakże prosta była teraz przed nim droga! Długa na pewno, i trudna, i straszna, ale przynajmniej wytyczona raz na zawsze przez dziwne słowa, które pozwolono mu usłyszeć, a które od paru godzin paliły się w jego pamięci jak latarnie:

– „On w twoje ręce pójdzie sam, dlatego że tamtędy droga w moje”.

Na Wyspie nie wiadano nic o Aldhiru i może właśnie dlatego jej

mieszkańcy, nie znając niebezpieczeństwa, tak łatwo dali się podejść. Tagun przeczuł jego istnienie kiedyś we śnie podczas pogoni żeglarzy za delfinem; teraz zaś wiedział, że go już także spotkał. Drżał ze strachu na to wspomnienie, ale był gotów i zdecydowany iść naprzeciw nieprzyjaciela, skoro Oczekiwany taką mu drogę wyznaczył. Pozostawało jeszcze tylko jedno pytanie: gdzie nieprzyjaciel mieszka. Jeżeli na Lodowych Wyspach albo jeszcze dalej w Otchłani Północy, to trzeba by zostać w Larri (jakim sposobem?) i kogoś, może Nuna, ubłagać o jakąś łódź. Jeżeli na zachodnich wybrzeżach Temi (jak na to może wskazywał ów sen), to trzeba by się dać zawieźć Memukemu do Tmutów. Chłopiec nie wątpił, że i ta sprawa wyjaśni się w stosownej chwili. Jakże daleko już był od obawy, że on i Oczekiwany szukają się wzajemnie po wielkim świecie po omacku i chyba tylko nieprawdopodobny przypadek mógłby ich zetknąć ze sobą! W rzeczywistości Or wiedział o nim, czuwał nad nim i wyznaczył mu czas i miejsce spotkania: gdzie? kiedy? – jeszcze nie wiadomo, ale kiedyś będzie wiadomo. Może owe Tajemne Słowa, których już usłyszeć nie mógł, mają z tym coś wspólnego?

Nagle w ciemności zabrzmiało jakby brzęczenie, gdzieś bardzo daleko i nisko. W chwilę później, kiedy się nieco wzmogło, Tagun zrozumiał, że to kilka – nie, już kilkanaście co najmniej – głosów nuci jakąś melodię powolną i ponurą. Mimo, że liczba ich rosła i pieśń stawała się coraz potężniejsza, chłopiec nie mógł uchwycić słów, aż wreszcie ze zdumieniem stwierdził, że słów nie ma. I nie były potrzebne. Czy to wyrazistość samej melodii, czy kunszt jej wykonania, czy też jedno i drugie razem wystarczały zupełnie, aby słuchaczom narzucić widzenie pustych, lodowych przestrzeni, bezkresnych i ciemnych, martwych jak sama śmierć i zazdrosnych jak ona o każde najmniejsze życie. A nad bryłami lodu gotowymi przywalać i miażdżyć, nad śnieżną zawieją czyhającą tylko, by coś zasypać i zdusić, unosił się zgubniejszy jeszcze od nich cień rozpacz. Tagun zadrżał i otulił się szczelniej w burkę, mimo że przedtem nie było mu zimno. A pieśń płynęła dalej, chociaż przestała już narastać: najwidoczniej nie podjął jej nikt oprócz

stojących na samym dole. I tak jednak wystarczało jej bezlitosnej siły, by zmrozić krew w żyłach wszystkich obecnych. Najsmutniejsze pieśni Nieszczęśliwych na Wyspie w porównaniu z nią wydawały się taneczną nutą. W dodatku one miały zwykle tylko po kilka zwrotek, ta zaś zdawała się nie mieć końca. Po jakimś czasie Tagun uprzytomnił sobie, że oburącz zatyka usta, żeby głośno nie krzyczeć z rozpaczy.

Wtem tuż przy nim zabrzmiał inny głos i inna nuta: głos wysoki i pełny, o triumfalnym i radosnym brzmieniu. I ten śpiewał bez słów, ale słowa raz jeszcze były niepotrzebne: i bez nich słuchający zobaczyli światło wschodzące nad krainą lodów. Zrazu blade, niepełne i słabe, wzrastało coraz bardziej i unosiło się coraz wyżej. Tagun usłyszał, że Nuno nad jego głową podjął tę samą pieśń, a po nim jeszcze inne głosy. Jasność wyczarowanej przez nie melodii z wolna z nieśmiałego świtu stawała się dojrzałym blaskiem pełnego dnia: pękały lody i spływały śniegi, łąka pokryła się zielenią, a potem srebrzystymi kitami mietlicy. Jakby wywołane przez to widzenie zjawilo się w pieczarze światło: najpierw jedna iskierka gdzieś wysoko ponad głowami śpiewaków, a potem inne, coraz więcej i więcej. Nie były to już tym razem kaganki przeznaczone tylko do szukania swego miejsca w mroku, ale ogromne kryształowe lampiony, zwisające z wykutych w ścianach galerii, a zapalane teraz kolejno przez roje Megnitów w płomienistych szatach. Po krótkim czasie w pieczarze zrobiło się jasno jak w dzień, i teraz dopiero Tagun mógł zobaczyć, jaka była ogromna. Zrozumiał także, że tworzy ją lita skała od dołu, a lodowiec z wierzchu: była to skalna koleba na samym szczycie świętej Góry Ndami, przykryta lodową komorą. Sklepienie tej komory było tak wysoko, że pomimo rozświetlenia jej setkami lamp ginęło w mroku; ściany, tam wszędzie, gdzie nie porobiono schodów czy galerii, pozostały takie, jakimi je znaleźli przed wiekami pierwsi bardowie, którzy tu dotarli. Szorstki, szary granit połyskiwał miką; wznoszące się nad nim nieregularnymi załomami lodowe ściany były gładkie jak tafla morza podczas ciszy. Białe światło lamp zwielokrotniało się w nich, majestatyczne

i nieruchome, miejscami jednak rozszczepiało się jakby na cieniutkie strugi żywej, spływającej tęczy: to powierzchnia lodu pod wpływem czy to bliskości lamp, czy ciepła tylu oddechów, ociekała gdziegdzie wodą.

Skaliste dno koleby, spadające ostro ku wejściu, tworzyło kilkanaście tarasów, na których umieszczono kamienne ławy albo trony. Tagun zbyt mało wiedział o zwyczajach megnijskich, żeby zrozumieć znaczenie kolorów szat bardów na poszczególnych stopniach: nie układały się one dla niego w żaden czytelny szereg, na przykład od najciemniejszych do najjaśniejszych. Tuż poniżej jego miejsca płaszcze bardów drugiego stopnia stanowiły plamę ciemnej, głębokiej zieleni. Na najwyższym jednak tarasie na siedmiu tronach siedziało siedem postaci w bieli, w płaszczach zarzuconych na głowy, jak siedmiu arcykapłanów megnijskich – czy siedmiu przybyszów z Gar’Ingawi. Pięciu z nich było Megnitami. Z tych trzeci w rzędzie siedział stary Ibnu Tun, po prawej stronie środkowego tronu, po lewej zaś Nuno; przy nim ktoś wyglądający na Szentu, a wreszcie na ostatnim tronie z lewej wychylał się z białej draperii obły kształt Tmuta. Był to chyba Rha, ten sam, którego spotkali po drodze. Wszyscy oni siedzieli w zupełnym bezruchu i tylko oddech unosił lekko fałdy ich płaszczy, i tylko usta tryskały pieśnią, od której światu zdawało się wracać życie.

Teraz śpiewali już wszyscy obecni, kilkaset głosów. Tagun zauważył jednak, że ponura pieśń lodów, od której zaczęto, wcale nie ustała: płynęła nadal, stanowiąc dla radosnej melodii jakby tło czy akompaniament. Słabsza od niej, ale ciągle obecna, w jakiś tajemniczy sposób nie tylko nie mąciła jej piękna, ale nawet zdawała się potęgować jej siłą kontrastu. Każdy kolejny ton jednej pieśni był tym bogatszy, że współbrzmiał z tonem drugiej; tłumaczyły się oba wzajemnie jak ruchy tancerza i tancerki.

Wkrótce też w miejsce poprzedniej wizji zimy i wiosny w myślach Taguna pojawił się właśnie obraz tańca. Nie takiego jednak, jakie oglądał w Adongo, gdzie zwiewne, podobne do kwiatów irysa tancerki wyrażały płynnymi ruchami pierwsze

ośnienia dziewczęcego serca; ale takiego, jakiego kiedyś był świadkiem na placu targowym w Mandagoriwie. Długo wtedy nie wiedział, czy to właściwie taniec, czy zapasy; harmonijne, rytmiczne ruchy tancerzy były tyleż muzyką, co walką. I teraz także czuł coraz wyraźniej, że jest świadkiem jakiegoś ogromnego pojedynku; pojedynku, w którym cała ta pieczara i cała święta Góra Ndami nie znaczyły więcej niż niesiony wiatrem puch dmuchawca, ale pomimo to i one brały w nim udział. Tego udziału żadne żywe stworzenie nie mogło się wyrzec, ani nie miał być od niego wolny żaden ułamek czasu. Ta walka była w świecie jakby pulsem, niewidocznym wprowadzie pod skórą, ale będącym istotą życia.

I nagle Tagun pojął, że już raz kiedyś był jej świadkiem, bez żadnego ukrycia czy osłony. W tej samej chwili wszystkie barwy i światła pieczary znikły pod białą mgłą, a on znowu usłyszał Głosy:

- Nie przemożesz!
- Ani ty... bracie.
- Nie znasz jeszcze mojej potęgi! Dziś muszę znowu na czas ci ustąpić, ale przyjdzie chwila...
- Zapominasz o Tajemnych Słowach.

I wydało się Tagunowi, że już zaraz tajemnicę usłyszy, zrozumie. Ale wtedy jego myśli, nie mogąc znieść przerażenia przed jej ognistym ciężarem, opadły znowu jak ćmy z opalonymi skrzydłami. W pieczarze było jasno, bardowie nadal śpiewali. Tagun poczuł na sobie czyjś wzrok i odwrócił głowę w prawo.

O krok zaledwie od niego, na stopniu sąsiedniego, środkowego tronu, siedział tak samo jak on chłopiec w podobnej białej odzieży. Tagun, którzy rzadko oglądał odbicie własnej twarzy, miał mimo to wrażenie, że patrzy w tej chwili w megnijskie szklane lustro, tylko wyjątkowo duże. Umyślnie poruszył ręką, żeby zobaczyć czy tamten robi to samo. Drugi chłopiec jednak nie powtórzył ruchu, a tylko uśmiechnął się do niego. Była w tym uśmiechu wesoła, zawadiacka duma, była ciekawość i podniecenie, było wreszcie na końcu wyraźnie porozumiewawcze mrugnięcie – ale Tagun wyczuł

natychmiast, że ten chłopiec, chociaż patrzy i słucha, nie wie zupełnie, co przez tę pieczarę naprawdę przepływa. Jak Inutu na Placu Wschodnim. Biedny Inutu, który wziął na siebie ciężar ponad siły...

Drugi chłopiec nieznacznie wysunął do przodu dłonie i zaczął dawać nimi znaki liter. Megnijskie dzieci w Adongo robiły tak nieraz i Tagun nauczył się od nich, toteż bez trudności odczytał pytanie:

– Ty jesteś Tagun?

Odpowiedział skinieniem głowy.

– Ja jestem księżę Nehi – sygnalizował dalej tamten. – Wiem już wszystko. Zgadzam się.

– Ale ja nie wiem – zaczął odpowiadać Tagun, Nehi jednak nie czekał na koniec jego zdania, tylko przesłał następne pytanie:

– Byłeś tu już kiedy?

– Nie.

– Ja też pierwszy raz. Jesteś bohaterem?

– Nie.

– Rozumiem. Ty sam nie chciałeś. Ale ja będę –

W tej chwili na głowę niedoszęłego bohatera zsunęła się nieznacznie ręka, dotychczas spoczywająca ponad nią na poręczy tronu. Nehi błyskawicznie schował dłonie i zastygł w bezruchu, ale jednocześnie przesłał Tagunowi łobuzerski uśmiech. A w chwilę później, spod poły płaszcza, sygnalizował już znowu:

– Umiesz po tmucku?

– Trochę – dał znak Tagun wyrazem twarzy.

– A po fingajsku?

– Też.

– A po szentyjsku?

– Nie.

– A ja umiem po każdymu. Prawie. Będę udawał, że nie rozumiem, nie złapią mnie. To jest mój ojciec, król Kanum. Czy na twojej wyspie też był król?

– Nie.

– A tamten to dziadek mojej matki. Znasz go?

– Tak.

– A innych też znasz?

– Nie.

– Zanhi Tun, stryj mojej matki. I Adun z Gehidy: on jest z Chaonu. Umiesz mówić po chaońsku?

– Nie.

– Ja umiem. Ten za tobą to Tsamonume wa Tsamonume z Mandagoriwy. Jest z rasy Weha, a po naszymu Szentu. Byłeś w Mandagoriwie?

– Tak.

– Dużo jeździłeś. Teraz to ja –

Zrobiła się nagle zupełna cisza. Nehi przerwał na chwilę sygnalizację, ale zaraz podjął znowu:

– Będą śpiewać najstarsze pieśni. Chcesz słuchać?

– Tak – skinął głową Tagun, nie bez ulgi: ta ukradkowa rozmowa robiła się dość kłopotliwa. Odwrócił się w stronę dolnych tarasów i czekał na pieśni. Pomyślał, że może znajdzie w nich odpowiedź na swoje pytanie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Pewność

Miało się jednak okazać, że Nehi więcej mówił, niż naprawdę wiedział. Pieśni, takich przynajmniej, o jakich on myślał, nie było. Bardowie siedzieli pogrążeni w milczeniu; Tagun jednak po chwili zrozumiał, że oni w rzeczywistości śpiewają nadal, chociaż tym razem nie tylko bez słów, ale i bezgłośnie. Wyczuwał tę ich pieśń coraz wyraźniej i wydawała mu się jeszcze piękniejsza od tamtej. Mówiła znowu o bólu i radości, już jednak nie tak, jak może jedna istota myśląca przekazać to drugiej, choćby najbardziej zdolnej ją zrozumieć: ta pieśń zawierała nieskończenie więcej, bo to wszystko, co każdy zwykle potrafi powiedzieć tylko samemu sobie. W miarę jak rosła, albo może jak on odbierał ją coraz wyraźniej, Tagun zaczął w niej odróżniać głosy (jak to określić inaczej?) różnych ras. I wydało mu się, że Tmutowie są jak głębokie rogi, bowiem muzyka rogu kojarzyła mu się zawsze z zadumą; a Megnici są jak śpiewne struny szalánu, a inni jeszcze jak ostre i bolesne dźwięki kobzy albo wesoły, płytki głosik ksylofonu. Ale i w obrębie tej samej rasy pieśń każdego była jego własna, niepowtarzalna i nieporównywalna z żadną; inaczej dźwięczało gorzkie od doświadczeń szczęście mędrca Ibnu Tuna, inaczej zaś beztroska radość słonecznego olbrzyma Kanuma. Tak samo, jeśli nie bardziej jeszcze, różne były cierpienia obydwu.

Tagun chciał także śpiewać, ale nie mógł. Może była to umiejętność zdobywana przez bardów dopiero w czasie wtajemniczenia; chłopcu jednakże wydawało się, że tym, co go powstrzymuje, jest nie tylko niezdolność, ale i zakaz. Sądził, że gdyby wypowiedział to wszystko, co czuje, zdradziłby jakąś wielką tajemnicę, której wprowadzie jeszcze nie zna, ale na której progu

właśnie stoi: a wtedy drzwi zamknęłyby się przed nim na zawsze i pozostałaby mu już tylko lodowata ciemność. Więc raz jeszcze położył rękę na ustach i milczał.

A potem i ta pieśń ucichła i zapanowało milczenie już nawet myśli i serc. Tagun zrozumiał, że nadchodzi chwila najważniejsza. W ciszy słyszał pulsowanie własnej krwi. Aż nagle przerwało tę ciszę jedno potężne uderzenie gongu, głębokie jak echo przepaści, dźwięczne jak młody głos. Lodowe i skalne ściany odbiły je natychmiast; i długo, długo krzyżowały się po pieczarze cichnące echa, ale radość, która przeszła wszystkich obecnych wraz z pierwszym dźwiękiem uderzenia, rosła jeszcze i potężniała w miarę jak one słabły. Wreszcie znowu zapanowała cisza, ale Tagun poczuł, że ta triumfalna radość musi już teraz wybuchnąć. W tej samej chwili Kanum zerwał się z tronu, podniósł obie ręce i krzyknął donośnie:

– Północ minęła! Zwycięstwo się dokonało! Śpiewajmy!

I wtedy wybuchła pieśń, znowu bez słów, ale tym razem już pieśń czystego triumfu, bez tamtego podkładu rozpacz. Wydawała się przez to uboższa, ale zarazem zrozumialsza, bardziej porywająca. Nie trwała jednak długo. Po trzech lub czterech wyraźnie przez melodię wyodrębnionych zwrotek bardowie umilkli i Kanum powstał znowu. Teraz nie wołał już, ale mówił, chociaż i tak głos jego niósł się po całej pieczarze jak głos gongu. Powoli i miarowo płynące słowa układały się bez melodii w rytmiczny półśpiew:

– Słudzy światła i ognia, wyznawcy życia i pieśni! Otośmy cześć już oddali ożywczej Głębi Południa, oto poddaliśmy siebie pod jej radosne władanie: oto wracamy z tej góry, aby je szerzyć po świecie...

Po kilku zdaniach Tagun zgubił wątek. Czuł się rozczarowany. Bardowie byli nauczycielami, śpiewakami, poetami; niewątpliwie dużo wiedzieli i dużo robili dobrego. Ale o Obecności i tęsknocie za nią najwyraźniej nic nie wiedzieli i nie umieli powiedzieć. Nie wyglądało też na to, żeby mu mogli dopomóc w odnalezieniu siedziby nieprzyjaciela. Ich mądrość była wielka i wspaniała, ale

dla niego martwa.

Pograżony w tych myślach, nie słyszał nawet, jak Kanum przeszedł w swoim przemówieniu do żarliwej pochwały prawości i prawdomówności, a wreszcie do ogłoszenia swojego nowego edyktu. W pieczarze tymczasem panowało radosne podniecenie. Bardziej niż którykolwiek z Wielkich Bardów, Kanum potrafił porwać wszystkich członków Bractwa młodzieńczą (mimo średniego już wieku) żarliwością swojej płynnej mowy. Toteż choć bardzo wielu z nich uważało nowe prawo za zbyt ostre, uznali bez trudności, że Kanum, będąc nie tylko bardem, ale i władcą, nie może poprzestawać na nauczaniu i śpiewie, ale musi także sądzić i karać. Słusznie więc robi ogłaszając prawa, choćby i prawa surowe.

A edykt rzeczywiście był surowy. Uznawał tych wszystkich, którzy dopuścili się w obrębie świętego okręgu kradzieży, zabójstwa lub kłamstwa (zwłaszcza na kłamstwo król kładł wielki nacisk), za zbrodniarzy równych tym, z których winy zagasł święty ogień; i oddawał ich sądom krajowym na podobne ukaranie. Nikt z bardów oprócz Nuna nie wiedział przy tym, po co Kanum tak dokładnie wymienia wszystkie przewidziane dla takich przestępców męki: ten temat zupełnie nie pasował do radosnej uroczystości. Tagun natomiast nawet nie zauważył wyraźnego, chociaż krótkiego powiewu niezadowolenia w tłumie. Przyszło mu właśnie do głowy, że być może wyjaśnienia, na które tak czeka, nie są mu wcale potrzebne. Dotychczas przecież wędrował po świecie bez własnej woli i decyzji, a jednak wszystko tak się układało, że coraz wyraźniej rysowała się przed nim droga i coraz pewniejsze było osiągnięcie celu. Może więc i tym razem fala zdarzeń poniesie go znowu we właściwym kierunku? Może... ale jest przecież różnica między jego położeniem poprzednim a obecnym. Na statek Memukego zawleczono go w więzach, tu rozmawiają z nim jak z wolnym. Wtedy nie wiedział jeszcze nic, dziś wie już bardzo dużo. Czy ma prawo stać beczynnym i czekać, jak taki, który nic nie wie? Ale z drugiej strony, czy ma prawo działać, jak taki, który wie wszystko? Zastanawiając się nad tym, nie zauważył nawet, kiedy

po Kanumie zaczął mówić Nuno.

A Nuno opowiadał dzieje swoich badań nad urywkami starych, zapomnianych pieśni i nad źródłami zwyczajów i obrzędów Bardów; a potem dzieje zrodzonej z tych badań tęsknoty, która zagnała go aż na Gar'Ingawi. Tam bowiem, jak wynikało z niepewnych i niesprawdzonych zresztą przekazów, miała osiedlić się gromada wychodźców megnijskich, którzy w zamierzchłych czasach pozęglowali na wschód. Przyczyny tej wędrówki nie sposób dziś dociec; pewna legenda powiada, że zostali oni z Megni wypędzeni za odmowę oddawania czci świętemu Ogniewi, ale ta legenda jest dość późna i przypuszczalnie jej autor przypisuje wcześniejszym czasom to, co działo się w jego własnych. Według innej klechdy, znanej obecnie już tylko w jednej górskiej wiosce, mieli oni wyruszyć w drogę na rozkaz Południowego Wiatru. Otóż jakkolwiek od niepamiętnych pokoleń wtajemniczeni bardowie nie wątpią, że zarówno Ogień jak i Południe same przez się nie są niczym, a tylko w obrazowej mowie istot myślących oznaczać mogą szczęście albo prawość, i jedynie w tym sensie są święte – on, Nuno, pomimo to dopatrywał się w starych tekstach czegoś, co mu się wydawało śladami pradawnego Wtajemniczenia, innego niż obecne. A było tych śladów dość dużo, żeby rozpocząć poszukiwania.

I dalej opowiadał, jak wyruszył na Wyspę Szczęśliwą, jak znalazł na niej wbrew swojej nadziei lud niepomny przeszłości, a nawet wszelkim wzmiankom o niej niechętny – jak wreszcie w powrotnej drodze wsiadł na feineński statek i na nim właśnie spotkał jedyną istotę, która jeszcze mogła i chciała przekazać mu prastare tradycje Gar'Ingawi: tego oto chłopca, Taguna Imanu.

Dopiero na dźwięk własnego imienia Tagun przebudził się ze swej zadumy. Zaraz potem kazano mu mówić. Była to jedna z najtrudniejszych chwil w jego życiu, bo walczyła w nim litość dla istot, które nie znają Oczekiwania, z rosnącą potrzebą zachowania tego, co wiedział, w tajemnicy. W rezultacie opowiedział tylko, bardzo krótko i prosto, o tym, o czym na Wyspie i tak jeszcze dotąd wiedział każdy: o Powrotach. Zamilczał natomiast o tym

wszystkim, czego sam się już podczas podróży dowiedział albo domyślił. Na pytania też, których następnie padło dużo, często albo nie umiał odpowiedzieć, albo dawał odpowiedzi niczego właściwie do rzeczy niedodające. Starał się przy tym nie okazywać, że mówi niechętnie; bardowie jednak, nawet ci niższych stopni, zorientowali się w tym bez trudności.

I dziwna rzecz: to właśnie dodawało wiarygodności jego słowom. Charakterystyczne jednak dla bardów było, że zanim przystąpili do tego, co dla nich samych mogło być w tej sprawie najważniejsze, zajęli się najpierw losami małej społeczności na Gar'Ingawi. Nuno i Tagun musieli im opowiedzieć całą historię Fałszywego Ora i zmiany zwyczajów na Wyspie: tu zeznanie Taguna potwierdziło to wszystko, co Nuno wydobyl z Memukego. Daleko, bo na jednym z najniższych poziomów siedzący, ale dobrze widoczny w jasnym świetle, bard Derszen powstał teraz i opowiedział o celu podróży swojej i swoich dwóch towarzyszy.

– Gordo syn Dżauriego Zdobywcy – mówił – władca połączonego państwa Gór i Równin, który w Dżug-byr i Daggesz ma trony, poszukuje po całym świecie swojego siostrzeńca, Dżauriego syna Tanmuka. Ja byłem posłany do Ambaramego syna Fianarany, władcy Szentów, który ma tron w Mandagoriwie, aby zapytać, czy poszukiwany nie zawędrował aż do nich. I otrzymałem od jego syna i następcy, od Tsaunarany syna Ambaramego, słowo potwierdzone przysięgą: że mianowicie tam go nie widziano. Ale gdym właśnie szukał łodzi na drogę powrotną, czcigodny brat nasz Nuno Lagmi kazał mi jechać ze sobą aż do Adongo i wziąć udział w wielkim święcie. Nie tłumaczył, dlaczego tak każe, a jam też posłuchał nie pytając. Dzięki temu więc dowiedziałem się teraz, gdzie przebywa ten, którego poszukuje mój pan, Gordo syn Dżauriego. Ponieważ jednak czcigodny brat Nuno mógł mi to sam powiedzieć już w Mandagoriwie, ale nie powiedział, a zamiast tego sprowadził mnie aż tutaj – mniemam, że nie powinienem bez zgody Bractwa donosić mojemu panu tego, co usłyszałem jako jeden z wtajemniczonych. Dlatego proszę was, dostojni bracia, abyście teraz postanowili, czy mam milczeć, czy mówić: bo zaiste nie

w łagodności ani w przyjaźni Gordo syn Dżauriego poszukuje swojego siostrzeńca, i nie spotkają się ci dwaj bez rozlewu krwi.

Po tej przemowie, gdy ją przetłumaczono na język megnijski (bo Derszen wolał prosić o tłumaczenie niż zamącić uroczystość nieskładną mową) bardowie przez czas jakiś siedzieli w milczeniu, zastanawiając się nad odpowiedzią. Kiedy wreszcie zaczęli zabierać głos, okazało się, że pomimo wpajanej członkom bractwa łagodności było wśród nich wielu przekonanych o potrzebie usunięcia Dżauriego z Gar'Ingawi rękami jego wuja.

– Czymkolwiek w rzeczywistości jest nadzieja ludu tej wyspy – mówił Tsamonume – czy jest zdumiewającą prawdą, czy też zbiorem starych mitów (a niejedną cechą mitu słonecznego dałoby się w niej odnaleźć), jedno jest pewne: że lud ten żył dotychczas według bardzo słusznych praw i bardzo wzniosłych obyczajów. Przybycie Dżauriego syna Tanmuka odmieniło ich na gorsze. On to krzewi u nich całe to zło, z którym my od wieków walczyliśmy wśród wszystkich ludów, walczyliśmy z wielkim trudem, a jakże często z niewielkim skutkiem. Dlatego będzie z korzyścią nie tylko dla ludu Wyspy, ale i dla innych ludów, jeżeli gorszyciela dosięgnie karząca ręka Gorda syna Zdobywcy. Albowiem lud ten na pewno jeszcze nie zdążył zmienić się tak bardzo, żeby powrót do starych obyczajów był już niemożliwy. Niech zginie ten, co zło sieje, i niech na Wyspę wyruszą światli bardowie, a może uda się tam przywrócić dawny porządek: wtedy wszystkim innym ludom będzie można ją stawiać za przykład...

Tak mówił Tsamonume syn Tsamonumego z Mandagoriwy, a wielu bardów przytakiwało jego słowom. Ale natychmiast po nim zabrał głos stary Ibnu Tun i mówił z oburzeniem:

– Powiedziano w naszych ustawach: „Nie będziecie zabijać ani wy, ani wasi słudzy”. A kimże, jeśli nie sługą bardów, byłby Gordo syn Zdobywcy, gdybyśmy go użyli do zabicia kogoś, kto nam jest niewygodny? Mówisz, bracie Tsamonume, że po przywróceniu ładu na Wyspie będzie ją można stawiać wszystkim innym ludom za przykład: to prawda. Ale pytam cię: kto będzie stawiał? Bo przecież nie bardowie, którzy po dokonaniu zbrodni nie będą już mieli

prawa uczyć kogokolwiek! A byłaby to zbrodnia podwójnie podła, bo w kimś, kto idzie z mieczem na nieprzyjaciela, można przynajmniej podziwiać dzielność, ale ten, kto nieprzyjaciela pozbawia życia podstępem, cudzymi rękami, godzien jest tylko pogardy. Tak właśnie uczynił Dżauri syn Tanmukowy, zabijając starego Dejna Imanu. Gdybyśmy poszli za jego przykładem, kto, pytam, będzie miał z kolei obowiązek – i czyimi rękami – zabić nas? Dobrze i słusznie uczynił brat Nuno, że nie udzielił tej wiadomości wysłańcom dżugidzkim poza Bractwem; a ja powiadam, niech ona tu umrze! Bo należy nam rozważać najpierw nie to, jakie nasz czyn będzie miał skutki, ale jaką on sam ma wartość w oczach Prawa. Inaczej poilibyśmy nasze ludy z pustego dzbana.

Tagun słuchał z przejęciem, bo mu się wydawało, że słowa starego arcykapłana mogą okazać się wskazówką i dla niego. Nie wie oto, czy obrać drogę na północ czy na zachód, i najprawdopodobniej nie może się spodziewać, że mu ją ktoś jasno wskaże. Ale między dokładną znajomością a zupełną nieznajomością drogi jest jeszcze coś pośredniego: znajomość najbliższego kroku. Więc jeżeli się na przykład okaże, iż nie mógłby zostać w Larri nie narażając Nuna na złamanie słowa, to musi jechać do Lhed – i mieć nadzieję, że wybór prawy okaże się też wyborem trafnym...

Po Ibnu Tunie przemawiali inni bardowie i przytakiwali jego słowom, ale też jednocześnie wypowiadali swoją troskę o Gar'Ingawi, której – chociaż dotychczas przez całe wieki bytowała w zapomnieniu – nie chcieli teraz pozostawić własnemu losowi. Aż wreszcie Kanum przemówił w tej słowa:

– Bracia, wielu z was uważa mnie za okrutnika i ma mi za złe obostrzenie prawa. Co innego jest trzymać żelazną ręką lud własny, a co innego sądzić i karać tych, nad którymi sąd nie do mnie należy. Powiadam więc: przestępców, których bym złapał na winie w granicach mojego państwa, a tym bardziej świętego okręgu, będę w tych granicach badał i ścigał choćby przez lata całe, i karał bez litości. Ale poza tymi granicami, na cudzych ziemiach,

nie będę badał ani ścigał: nawet swoich, a cóż dopiero obcych. Bo tam moje prawo nie sięga. Dlatego teraz rozstrzygam wasz spór w ten sposób: Bardów obowiązuje prawo łagodności. Nie wydasz, bracie Derszenie, Dżauriego syna Tanmuka w ręce jego wroga, twojego pana. Co zresztą osiągnęlibyśmy w ten sposób? Sercem tego zła, które dzieje się na Gar'Ingawi, nie jest sam Dżauri, ale Ungana Nile. A ten, być może, nawet by się cieszył z takiego obrotu sprawy: bo sądzę, że Dżauri jest mu potrzebny tylko na krótki czas. Wrócisz, bracie Derszenie, do twojego pana i powiesz mu tak: „Bardowie, którzy są w świętym Larri, wiedzą, gdzie jest Dżauri syn Tanmuka. Ale zapieczętowali tę wiedzę i złamią pieczęć dopiero wtedy, kiedy zapewnisz ich królewskim słowem, że go przyjmiesz jak syna, drugiego po twoim następcy”. A jeśli by Gordo już nie żył, kiedy powrócisz do Dżugne – bo niejednakowo los dosięga – to dołożysz starań, by zaprowadzić pokój pomiędzy jego następcą a Dżaurim. Ten obowiązek wkładają na ciebie twoi bracia, bardowie. Ażebyś jednak nie musiał dźwigać go samotnie, pojedą z tobą na wschód trzej bracia różnych stopni: osiedlą się oni na Gar'Ingawi, skąd tobie będą służyć radą i pomocą, a jednocześnie zbadają sytuację tamtejszego ludu i możliwość przywrócenia mu dawnych obyczajów. Czy przyjmujecie takie rozwiązanie, bracia?

W odpowiedzi zerwała się ze wszystkich ust Pieśń Przyświadczenia: bez słów, jak wszystkie tej nocy, ale nawet przypadkowy słuchacz z łatwością by w niej uchwycił tony ulgi, zgody, potwierdzenia. Kiedy przebrzmiała, Kanum mówił dalej:

– Teraz zostaje nam jeszcze zastanowić się nad tym, co nam tu przyniesiono jako prastarą wiedzę Wyspy Szczęśliwej. Kiedy nasz brat Nuno po raz pierwszy doniósł mi o tym, przyznaję, bracia, że moje serce zadrżało: jest to bowiem wiedza zdolna wstrząsnąć sercem. Kto by ją przyjął, musiałby się jej oddać cały i nie pożałowałby tego... jeśli okaże się prawdziwa. Ale właśnie dlatego, że jest to rzecz tak wielka, wymaga długich badań, wymaga wielu lat poświęconych owocnym dociekaniom. Nie da się jej rozstrzygnąć w ciągu tej nocy, ani w ciągu tej zimy, ani nawet

najbliższego roku. Chłopcu, który nam tę wiadomość przyniósł, musimy zadać jeszcze bardzo wiele pytań; zadawać je po wiele razy i porównywać odpowiedzi, a każde jego słowo roztrząsać miesiącami, aby z niego pozdzierać łupiny i błonki, a wydobyć na jaw żywą prawdę...

Nehi szepnął do Taguna:

– Nie bój się.

Tagun spojrział na niego zdziwiony. Tu, w tej pieczarze świętej góry, cóż mogło mu grozić? To, czego bał się, leżało poza nią – ale było i tak nieuchronne.

– Wiecie jednak – mówił dalej Kanum – że ten chłopiec jest niewolnikiem feineńskiego kupca i że nasz brat Nuno mógł go tu przyprowadzić tylko za cenę obietnicy złożonej temuż kupcowi. Rzekł mu więc, iż chłopca nie odkupi, nie porwie ani nie wtajemniczy do Bractwa, i w Adongo potwierdził tę obietnicę urzędowo przed gubernatorem. Nie widział bowiem innego wyjścia, skoro chciał dla naszego dobra przyprowadzić go tutaj na święto. Ale jednej rzeczy świadomie mu nie obiecał, a kupiec tego nie spostrzegł: że chłopca nie zamieni. Bracia, od pierwszej chwili brat Nuno zauważył, że mały Tagun jest dziwnie podobny do mojego syna i następcy, księcia Nehi: widzicie sami...

Wstał i ujął obu chłopców za ręce, stawiając ich obok siebie na stopniu tronu. Ubrani w jednakowe, białe płaszcze, jednakowego wzrostu i postawy, byli i z twarzy do siebie tak podobni, że wielu z bardów zakrzyknęło ze zdziwienia. A Kanum ciągnął:

– Wielu nie ośmieliłoby się nawet myśleć o tym, ale brat Nuno zna mnie dobrze i wie, że jak innych, tak i siebie nie zwykłem oszczędzać, gdy chodzi o wielkie dobro. A tu chodzi o dobro największe. Wyznał mi więc swój pomysł, a ja i syn mój Nehi wyraziliśmy zgodę. Tobie, Tagunie Imanu, gościu z Wyspy Szczęśliwej, tobie, który do Larri przyniosłeś wielką nowinę, pozostaje teraz zdecydować i wybrać. Zostawiam ci wybór, ponieważ rozkazywać ci nie mam prawa. Czy więc chcesz wracać do feineńskiego kupca, czy też zgodzisz się zostać z nami, abyśmy mogli spokojnie, długo i dokładnie badać twoje słowa? A zamiast

ciebie pojedzie do Lhed syn mój Nehi, pojedzie jako niewolnik, tak właśnie, jak kiedyś praojciec mój Kame przybył do Larri. Patrz: oto wszyscy bardowie czekają twojej decyzji...

Czekali rzeczywiście, i to w napięciu o wiele większym, niż się poprzednio sami spodziewali. Ale czekali długo. Tagun był tak zdumiony, że w pierwszej chwili nie mógł zebrać myśli. Czuł na sobie wzrok wszystkich bardów, a w tym wzroku niepewność jednych, gotowość innych, tu i tam wyraźną jak plama błota na śniegu podejrzliwość... Dobrze byłoby im pokazać... Czuł, mimo dzielącej ich odległości dwóch kroków, jak za nim drży z przejęcia, z nadziei i z obawy wielki Nuno Lagmi... Czuł i widział wlepiony w siebie wzrok Kanuma: chłodny i ostry teraz, badawczy, jakby król próbował odnaleźć pod pokrywą lodu coś, co latem jeszcze upuścił do rzeki. Dobrze byłoby pokazać i jemu! Tagun nagle o mało się nie roześmiał, bo w tej chwili zobaczył, że to jest próba i że król bard będzie go miał za oszusta, gdyby propozycji nie przyjął. A właśnie wtedy zrozumiał, że jej przyjąć nie może.

Bo obok stał także Nehi. Przejęty, ważny po dziecinnemu we własnych oczach, gotów wyzwać los i złożyć z siebie ofiarę... jak Inutu... Niby równolatek, a o ileż doświadczeń młodszy. Nie wie, co to naprawdę jest wygnanie, samotność, niewola. Bierze na siebie ten los z całą szczerością, ale bierze na siebie zbyt wiele: więcej, niż mógłby unieść. Jak Inutu. I jak Inutu załamie się, gdyby mu na to pozwolić.

Tagun odetchnął z ulgą: wybór stanął więc przed nim w kształcie zrozumiałym. Dotyczył najbliższego kroku. Byłoby niesprawiedliwością pozwolić się zastąpić temu dziecku: więc –

– Królu – usłyszeli bardowie – chcę wrócić do feineńskiego kupca.

I była długa cisza.



ANNA BORKOWSKA

(s. Małgorzata Borkowska OSB)

polska mniszka klauzurowa, benedyktyнка, historyk i znawczyni życia zakonnego, doctor honoris causa KUL (2011), autorka wielu książek.

Kiedy J.R.R. Tolkien pracował nad *Władcami pierścienia*, hitlerowscy barbarzyńcy stali u bram Albionu. W tolkienowską narrację wkradła się niepewność jutra cywilizacji, z którą identyfikował się Profesor.

Gdy Anna Borkowska pisała *Gar'Ingawi*, Polskę nakryła noc stanu wojennego. A jednak spod jej pióra wyszła opowieść, w której lud zamieszkujący tytułową wyspę wyczekuje z nadzieją na powrót Dobra – tajemniczego Ora – Jasnego Brata. I ten powrót rzeczywiście następuje, a nadzieja staje się jednym z bohaterów wyspiarskiej opowieści o *Gar'Ingawi*.

W „Twarzach ojców pustyni“, autorstwa Anny Borkowskiej, opisujących pierwszych mnichów chrześcijańskich, spotkamy abba Ora.

Powiadano, że abba Or ani nie skłamał nigdy, ani nie przysiągł, ani nikomu nie złorzeczył, ani w ogóle nie mówił bez potrzeby. Czy zbieżność imion z najważniejszą postacią Gar'Ingawi – Jasnym Bratem - Orem jest przypadkowa?